GDY HOŁOWNIA MÓWIŁ JAK KAZNODZIEJA – NOWE, JESZCZE CIEKAWSZE CYTATY!

PREMIER MORAWIECKI APELUJE: WIEM, ŻE JEST CIĘŻKO, ALE WYTRZYMAJMY JESZCZE TROCHĘ

GÓRNY O APOSTAZJI: SKUTKI POWAŻNIEJSZE, NIŻ MYŚLĄ

SKĄD NAPRAWDĘ WZIĄŁ SIĘ TEN WIRUS? PILNUJEMY TEMATU

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 6 (428) 2021
8–14 lutego 2021
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

AKCJA SPOŁECZNA

NIE W NASZYM IMIENIU!

TE KOBIETY MÓWIĄ: DOŚĆ! AWANTURNICY SPOD ZNAKU PIORUNA NAS NIE REPREZENTUJĄ. DOROTA ŁOSIEWICZ ZAPRASZA: DOŁĄCZ DO NAS

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269106 06

eprasa.pl 309770cdcb

Zaprezentowano kanały z różnych ofert telewizyjnych. Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej i kablowej IPTV z Pakietem M oraz internetowej z Pakietem Komfortowym przy umowach ze zobowiązaniem od 30 zł/mies. i z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. „Bez opłat" nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera, usług dodatkowych na czas nieokreślony oraz opłat za internet. Usługa telewizji kablowej IPTV działa z internetem stacjonarnym Plusa, Netii i Orange. Usługi telewizji internetowej i telewizji kablowej IPTV wymagają łącza o min. prędkości 8 Mb/s na dekoder. Szczegóły w Warunkach Oferty, Regulaminie Promocji i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl.
„Mroczne materie II" © 2020 Home Box Office Inc. Wszelkie prawa zastrzeżone. Serie A TIM w ELEVEN SPORTS | Zdjęcia: Getty Images.
Oferta ważna na dzień 3.02.2021 r.

Siewcy społecznego rozczarowania

Ruszyła nowa fala celebryckich deklaracji o opuszczeniu „tenkraju". Bo reżim, bo duszno, bo nie da się wytrzymać. Wiele już było tych gróźb o wyjeździe. Skończyło się na gadaniu. Bo może wcale nie o czyny tu chodzi, a jedynie o ferment, o podsycanie atmosfery, o utrzymywanie opinii publicznej w odpowiedniej temperaturze i strachu?

Maciej Stuhr kolejny raz zapłakał nad swoim losem. „Zastanawiam się nad tym, na ile mamy jeszcze siły, czy nam się jeszcze chce walczyć o ten kraj. Jeśli mam szczerze odpowiedzieć, jaka była moja pierwsza myśl [po publikacji wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji – przyp. red.], to była ona taka: czy mnie się jeszcze w ogóle chce być patriotą? Czy mam w sobie wystarczająco dużo determinacji, by toczyć bój o sprawy, o które w mojej opinii walczyć trzeba? Czy zostawić to innym? Bo ileż można się kopać z koniem?" – wyznaje w rozmowie z tygodnikiem „Wprost". Szkoda, że rozmowa nie poszła głębiej, bo może dowiedzielibyśmy się, jak ten patriotyzm rozumie i czego od kraju oczekuje. Widać, że świadomość aktora ślizga się po powierzchni faktów i nie dotarła do niego treść uzasadnienia TK. Tzw. Strajk Kobiet mocno wdrukował ludziom przekonanie, że „PiS całkowicie zakazał aborcji" i „kobiety będą konać w męczarniach". Próżno tłumaczyć, że z trzech przesłanek dopuszczających w polskim prawie zabicie dzieci nienarodzonych zniknęła tylko jedna – z uwagi na niepełnosprawność lub podejrzenie niepełnosprawności dziecka. Pozostałe dwie – aborcja ze względu na ciążę powstałą w wyniku czynu zabronionego lub z uwagi na zagrożenie zdrowia lub życia matki – pozostały utrzymane. Wyjaśnienia te nie mają najmniejszego znaczenia, bo przecież Marta Lempart i jej rozwrzeszczane kompanki chcą bezpłatnej aborcji na żądanie do 14. tygodnia ciąży. Poza tym aborcja jest tylko pretekstem. Tu chodzi o zakończenie epoki konserwatyzmu, na co liczą ośrodki centralne z Brukselą na czele.

Maciej Stuhr idzie jednak tym wytyczonym szlakiem niczym „pożyteczny idiota" mający odegrać rolę siewcy społecznego rozczarowania. Nie podoba mu się „ten kraj". Wolał ten za Platformy, gdy pupilom władzy żyło się świetnie. Żaden celebryta nie groził wtedy wyjazdami. Emigrowali za to masowo Polacy, którzy w państwie pełnym układów nie radzili sobie finansowo. W poszukiwaniu lepszego życia za poprzednich rządów opuściło Polskę ponad 2 mln ludzi. Wyjeżdżali głównie młodzi, z całymi rodzinami, by szukać lepszego życia.

O co więc chodzi tej wiecznie niezadowolonej elicie, patrzącej z wyższością na „katolicki motłoch" głosujący na PiS? Brzydzą się konserwatywną Polską. Światowcy. Chcą powrotu dawnych, dobrze znanych układów. A że głos ten doskonale wpisuje się w globalistyczne oczekiwania światowych elit i ich ekspozytur w Polsce, będzie odpowiednio wykorzystywany do formowania opinii publicznej. Niby to głosy niezależne, ale jakże nośne i przydatne. Bo jak pisał Vladimir Volkoff, siła dezinformacji jest tym większa, im większe jest oddalenie „pożytecznych idiotów" od źródła agentury. Stają się dzięki temu nie tylko skuteczni, lecz jeszcze bardziej wiarygodni. Świadomi agenci i „agenci idioci" tworzą tzw. orkiestrę, której przekaz ma zmienić opinię publiczną. Zbiorowe niezadowolenie ma zostać przekute przez anarchistyczne bojówki tzw. Strajku Kobiet w rewolucyjny czyn, a od ulicznych zadym, wspieranych przez opozycję, do próby obalenia rządu jest już całkiem blisko.

Tak właśnie rysuje się plan, przećwiczony z powodzeniem na Zachodzie. I tylko w Polsce od lat nie może zadziałać. Nadal konserwatywna większość okazuje się silniejsza i odporna na manipulacje. Trzeba się więc spodziewać coraz drastyczniejszego przesuwania granic i utrzymać gotowość do jeszcze bardziej stanowczej ich obrony.

Marzena Nykiel

Reklama | 6/0121/F

SIECI

spis treści

28 *Upadek uniwersytetu* *Stanisław Janecki*

31 Nieznośna lekkość apostazji *Grzegorz Górny*

60 Nowa era podróży *Jacek Pałkiewicz*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **WALENTYNKA DLA WYAUTOWANEJ**
Krzysztof Feusette

9 **NA CENZUROWANYM**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **CEPY CENIĄ KŁONICE**
Jan Pietrzak

12 **PROZDROWOTNY NIKOTYNIZM**
Dominik Zdort

13 **CO ZROBIĆ Z SĘDZIAMI**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA JANA POSPIESZALSKIEGO**
Michał Korsun

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **MIASTO KWADRANS**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **„CHAMULEC BEZPIECZEŃSTWA"**
Tomasz Łysiak

TEMAT TYGODNIA

20 **NIE W NASZYM IMIENIU**
Dorota Łosiewicz

KRAJ

24 **Z MATEUSZEM MORAWIECKIM**
rozmawia Michał Karnowski

28 **UPADEK UNIWERSYTETU**
Stanisław Janecki

31 **NIEZNOŚNA LEKKOŚĆ APOSTAZJI**
Grzegorz Górny

34 **HOŁOWNIA I JEGO PERSPEKTYWY**
Marek Pyza, Marcin Wikło

37 **KOMSOMOŁ, ABORCJA, WOLNA MIŁOŚĆ**
Konrad Kołodziejski

40 **Z DR. DARIUSZEM MADAJCZAKIEM**
rozmawia Dorota Łosiewicz

PANDEMIA COVID-19

44 **SZCZEPIONKOWE PASMO POMYŁEK**
Jan Rokita

47 **NA TROPIE WIRUSA**
Marek Budzisz

HISTORIA

50 **GRABOWSKI KONTRA REDUTA**
Piotr Gontarczyk

ŚWIAT

53 **Z DR. JACKIEM BARTOSIAKIEM**
rozmawia Kamil Kwiatek

OPINIE

56 **PSYCHUSZKI DLA NORMALNYCH**
Jakub Augustyn Maciejewski

58 **SCHIZOFRENIA WODZIREJA**
Goran Andrijanić

60 **NOWA ERA PODRÓŻY**
Jacek Pałkiewicz

SIECI KULTURY

63 **R JAK REBROW. I RAMBO**
Jolanta Gajda-Zadworna

65 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

66 **Z JOANNĄ JURGAŁĄ-JURECZKĄ**
rozmawia Goran Andrijanić

67 **CZARODZIEJSKA RÓŻDŻKA DYLANA**
Adam Ciesielski

68 **DYSMORFIA SNAPCHATOWA**
Robert Tekieli

69 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

70 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

KUCHNIA

72 **MOJE SMAKI: KAMILA I NOEMI GÓRNY**
Jolanta Gajda-Zadworna

73 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

76 **CIĄGLE CZAS PRZESZŁY**
Hanna Karp

78 **KONFLIKT INTERESÓW**
Maciej Pawlicki

80 **BARBARYZACJA JĘZYKA**
Lech Makowiecki

80 **GŁOWA Z DZIURĄ**
Piotr Cywiński

81 **W WIERSZACH I W LISTACH...**
Leszek Długosz

82 **„CYWILIZACJA" WŁADZY NAD ŻYCIEM**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 22/0121/F

eprasa.pl 309770cdcb

TOTALIZATOR SPORTOWY

NAJWIĘKSZY MECENAS SPORTU I KULTURY

TOTALIZATOR SPORTOWY

65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

#WielkieChwile

eprasa.pl 309770cdcb

Sygnalista nadaje

Maciej Stuhr zastanawia się, co dalej. „Może trzeba rzucić kraj, wyjechać w cholerę, żyć gdzie indziej, przestać się zamartwiać tym, co się dzieje w Polsce?" – mówi, dodając: „Bo czy nie szkoda życia na to? Właśnie takie miałem myśli po przebudzeniu, choć pewnie one zaraz mi przejdą". Aktor twierdzi, że ma wielu znajomych, którzy albo już wyjechali, albo się do tego szykują. Na usta cisną się dramatyczne pytania: Czy Polska przeżyje ten exodus? Co z nami będzie? Jak sobie poradzimy?

W obronie wyśmiewanego dość okrutnie Stuhra stanęła posłanka PiS ***Joanna Lichocka***: „Od dawna mam ochotę napisać kilka słów w obronie Macieja Stuhra. Spotyka się z ostrym hejtem za to, że wyraża swe poglądy i ma odwagę ich bronić, jest w tym konsekwentny. Czasem przegina, ale na hejt nie zasługuje". Ładny gest. Czy Stuhr też potrafi spojrzeć na świat z innej strony? Jeśli chce, może zacząć od przeprosin za kpiny z tragedii smoleńskiej.

Waldemar Kuczyński znów się naraził mentalnym totalitarystom spod znaku pioruna (obecnie znak tzw. Strajku Kobiet, dawniej na sztandarach Hitlerjugend). „Popieram prawo kobiety do decyzji o przerwaniu ciąży, ale nie pogląd, że aborcja jest OK, a szokuje mnie, gdy wykrzykują je na ulicach bezmyślnie malolatki, prawie dzieci" – stwierdził publicysta. Cóż, refleksja słuszna, ale jest już za późno: lewica wyhodowała potwora i szybko się go nie pozbędzie.

Węgry kupują chińską szczepionkę. Premier Orbán tak mówił o tej sprawie: „Wychodzę z założenia, że ponieważ Chińczycy znają tego wirusa najdłużej, to prawdopodobnie również wiedzą o nim najwięcej. Poczekam na swoją kolej i jak będę mógł wybrać, poproszę o chińską". Ciekawy punkt widzenia. Mimo wszystko – sprawdźcie ją dobrze, kochani przyjaciele.

Druga fala protestów proaborcyjnych okazała się dużo słabsza niż pierwsza. Ekstremizm i wulgarność liderek ruchu zrobiły swoje. „Twarz Marty Lempart, niestety mówię to z przykrością, na czele Strajku Kobiet stała się nieco kłopotliwa. Ten radykalizm na dłuższą metę ludzi nie porywa i to widać teraz po protestach, które są o wiele mniej liczne" – oceniła Katarzyna Skrzydłowska-Kalukin, dziennikarka „Kultury Liberalnej". Uwaga celna, ale trochę spóźniona.

Sama Lempart też nie ma o sobie najlepszego zdania. „Ja nie jestem osobą z natury sympatyczną do głębi, nie ma co udawać. Ludzie są bardzo różni. Moja ekspresja i moje emocje pasują wielu osobom, ale wielu osobom pasują emocje i ekspresja dziewczyn, które są w innych miejscach. To, co jest naszą rolą, to pokazywanie różnych nurtów, ludzi, emocji. To, że mój sposób walki wysuwa się na główny obraz, jest dla nas trudne" – stwierdziła. Prawdziwie leninowskie dylematy.

Lempart wyraźnie liczy, że zostanie zatrzymana bądź aresztowana: „Jak mnie zabraknie, a zabraknie, bo w końcu władza zmieni zdanie odnośnie tego, żeby mnie nie dotykać i udawać, że nie istnieję i nie zatrzymywać mnie, cokolwiek bym robiła", „Mnie zabraknie na pewno na jakimś etapie. Władza próbuje różnych technik, więc to się też wydarzy". W sprawie dotykania władza zdania raczej nie zmieni.

eprasa.pl 309770cdcb

Jarosław Kuźniar w taki oto sposób nawiązał do wyrwanego z kontekstu fragmentu wypowiedzi rzeczniczki Ministerstwa Sprawiedliwości Agnieszki Borowskiej (mówiła o hospicjach prenatalnych): „Te Narodowe Płakalnie dla matek, które zmusiliście do urodzenia karykatur człowieka, będą w każdym województwie, mieście, gminie czy tylko przy resorcie niesprawiedliwości?". Ktoś, kto nazywa chore dzieci „karykaturą człowieka", upadł naprawdę blisko III Rzeszy.

Doczekaliśmy się pierwszej „naukowej" pracy dotyczącej ostatnich protestów. W analizie Przemysława Czaplińskiego, sygnowanej przez Fundację Batorego, czytamy: „»Jesień kobiet« postrzegać należy jako kolejny bunt społeczny wymierzony nie tylko w rządzącą partię polityczną [...]. Celem wystąpień jest szukanie – drogą protestów ulicznych – sposobu odrodzenia więzi i metod ukonstytuowania podmiotu zbiorowego". Tylko jak ten nowy byt będzie z sobą rozmawiał, skoro umie się wyrazić jedynie poprzez przekleństwa i wulgaryzmy?

W proteście po publikacji uzasadnienia Trybunału Konstytucyjnego wziął udział ***Rafał Trzaskowski***. „Jesteśmy w samym środku Warszawy. Jako prezydent miasta przyglądam się temu, co tutaj się dzieje, dbam o bezpieczeństwo. Oczywiście solidaryzuję się ze Strajkiem Kobiet" – chwalił się w mediach społecznościowych. To chyba jedyny prezydent w cywilizowanym świecie, który wspiera ruch demolujący jego własne miasto. W wielu miejscach już można poczuć się jak w slumsach. Dobrze, że nie dostał całej Polski.

Po stronie życia stanął aktor ***Chuck Norris***, znany z serialu „Strażnik Teksasu": „Wstrząsająca jest dla mnie myśl, że od tego czasu ponad 62 mln Amerykanów straciło z tego powodu życie w łonie matki. [...] Ktoś może czuć się dobrym człowiekiem, uśmiercając własną matkę lub nienarodzone dziecko, ale użycie plastikowej zamiast bambusowej słomki jest dla niego moralnie złe. Co z Wami, ludzie? Cenicie wyżej rurki do picia niż życie?". Takich mężczyzn nam trzeba!

Tygodnik „Polityka" ubolewa nad fatalną sytuacją demograficzną kraju, stawiając przy okazji kuriozalną tezę, że „dzietność spada dramatycznie", ponieważ „Polki boją się macierzyństwa" („W takim kraju nie rodzę!"). Dziennikarz „Gościa Niedzielnego" Jakub Jałowiczor podsumował: „Jest aborcja – są dzieci. Nie ma aborcji – nie ma dzieci. Proste jak błyskawica". Ale nie ma się z czego cieszyć. Nie mamy – jako społeczeństwo – dzieci, to będziemy mieli masową imigrację.

Krzysztof Bosak pokłada nadzieję w konserwatystach: „Wyższa rozrodczość osób z dobrymi przekonaniami to akurat dobra wiadomość. Jeden z ekonomistów pisał, że w USA to zbadano i wyszło, że konserwatyści stale korygują w górę swój odsetek społeczny poprzez wyższą dzietność od liberałów. Oby i w Polsce tak było". Oby, ale to wątpliwe. Od dzieci odwracają się właściwie wszystkie warstwy i grupy społeczne. Tak jakby ktoś nas zaczarował, zatruł nasze dusze. Nie chcemy istnieć?

„Gazeta Wyborcza" zorganizowała debatę Adama Michnika z Donaldem Tuskiem. W zapowiedzi czytamy: „Wstrząs, jaki wywołała pandemia, pogłębia fakt, że w Polsce rząd podniósł rękę na prawa kobiet i wysłał przeciwko nim policjantów z pałkami i gazem. Kryzys w Polsce się pogłębia, kraj coraz bardziej oddala się od norm obowiązujących w UE. Władza nie panuje nad epidemią, odwraca uwagę, wzmaga represje, szykuje rozprawę z niezależnymi mediami". No prawie jak w marcu 1968 r. Na pewno poziom zakłamania organizatorów podobny.

Lech Wałęsa po raz kolejny narzeka na swoją sytuację finansową. „Nie wiem, co robić, bo nie mogę latać na wykłady, a muszę jakieś pieniądze zarabiać, bo żona wydaje więcej, niż mamy. I nie wiem, jak dalej przeżyję". Wałęsa zastanawia się nawet nad powrotem do wyuczonego zawodu: „Najlepiej się czuję jako elektryk! Jeszcze pamiętam prawo Ohma, prawo Kirchhoffa i jeszcze parę rzeczy. Tylko, cholera, zmienił się prąd i nie wiem, czy te maszyny by mnie nie zabiły teraz...". Może czas znów zagrać w totka?

Tygodnik „Polityka" twierdzi, że propaganda w PRL była lepsza niż obecnie: „W rzeczywistości stary reżim – niezależnie od obiektywnych możliwości – przede wszystkim był w tej sztuce znacznie bieglejszy. Po okresach burzliwych przesileń następowały bowiem okresy »normalizacji«, w czasie których programowo odchodzono od ortodoksji". No tu się nie można zgodzić. Wiele stacji komercyjnych zdołało zachować ciągłość i twórczo, z sukcesami, rozwinęło tamten dorobek.

Fot. Andrzej Wiktor (3), carrie-nelson / Shutterstock.com

eprasa.pl 309770cdcb

Walentynka dla wyautowanej

KRZYSZTOF FEUSETTE

Szanowna pani Lemparto, przepraszam, pani Marto, to z nerwów, które, jak pani się domyśla, też są niemałe. Pani postać, to znaczy format pani postaci, to znaczy, sam już nie wiem, co chciałem powiedzieć. To znaczy napisać. Może zacznę od początku. Piszę do pani, tak, tak, z okazji zbliżających się walentynek. Właśnie, a czy pani wie, że św. Walenty wcale nie jest patronem zakochanych, tylko ludzi chorych psychicznie? Tym bardziej uspokoiła mnie wiadomość pochodząca z kręgów zbliżonych do trzeciej osoby w państwie pisowskim, czyli doktora Grodzkiego, iż protesty, które są organizowane przez opozycję sejmową, uliczną i zagraniczną, nie przynoszą wzrostu zakażeń covidem. To nie są, na szczęście, ani zabójcze koperty, mordujące przy 200 zakażeniach dziennie, ale przy 10 tys. dziennie już nie. To nie są siewcy śmierci, którzy chcieli wyborów przy 340 zakażeniach dziennie, choć gromadzenie się jest bezpieczne dopiero od kilkunastu tysięcy na dobę. Tym bardziej też cieszę się słyszeć panią w dobrym zdrowiu, przynajmniej wokalnym. Reszta przyjdzie sama. Jak to mówią, do wesela się zagoi. Wiem, że to teraz ostatnia rzecz, o której pani myśli, ale przecież lata lecą, a jednopłciowych małżeństw w Polsce wciąż na horyzoncie nie widać. Poza tym, jak to wygląda, żeby wolność wiodąca lud na barykady sama siebie przedstawiała jako „wyautowana lesbijka"? Za panią powinien przemawiać obraz. Nie ten Delacroix, bo to jest dzieło feministycznie wątpliwe, ale wizerunek pani jako takiej. Takiej jak my – pan, pani, społeczeństwo – panią widzimy! Bo koń, jaki jest, każdy widzi. A pani nas porwała do galopu. Jeszcze nie wszyscy rozumieją, że aborcja jest OK. Jeszcze są tacy, którym przeszkadza, gdy na ulicy bluzgają dzieci, jeszcze hasło „Wypierpapier" nie przebiło się tak mocno do języka elit, jak „dzień dobry" czy „wszystkiego najlepszego", ale to przecież tylko kwestia czasu.

Dlatego myślę, że będę wyrazicielem opinii nas wszystkich, mężczyzn z macicami i bez, kobiet bez macic i z nimi nad głową, a często, po prostu, zamiast niej – gdy wyrażę, z okazji Dnia Zakochanych, opinię taką, iż jest pani totalnie wyjątkowa. Jakiego trzeba ducha, że o ciele nie wspomnę, by w środku pandemii przekonać ludzi, iż są rzeczy i sprawy dla nich ważniejsze od zdrowia i życia ich samych, a przede wszystkim – ich najbliższych. Jakże myśmy się wzruszali, gdy pani opowiadała, że zamiast dzieci, których nie lubi, bo są nudne, wychowuje pani psy. I że one mówią do pani „Mamo". A w każdym razie mogłyby mówić, bo to są dla pani i tej drugiej pani, z którą pani mieszka, „jakby dzieci". Urodziły się zdrowe, więc żyją. Życzę pani, ale przede wszystkim im samym, by nigdy nie zachorowały.

A jak pani wspaniale przekonała rzeszę, no, powiedzmy, rzeszkę, ludzi, że naprawdę „tak właśnie mówią w domu", jak krzyczą za panią na ulicy. „Chcesz kawę, k...?". „Wyp...alaj", „J...bnąć ci?", „Pier...ol się" itd. Czy pani ma świadomość, ile miłości wniosła w nasze ponure życie? Ludzie w tej pandemii już nie wiedzieli, jak się do siebie zwracać, a teraz jeszcze PiS chce zdelegalizować rozwody, czy tam dowody, nie wiem. W każdym razie u nas na ryneczku jedna studentka mówiła, która wcześniej opowiadała, że od szczepionek włosy pod pachami siwieją i że ona tego jeszcze nie brała, a skutki uboczne ma od dekady. Proszę bez fałszywej skromności przyznać – kto wniósłby do polskiej debaty polityczno-publicznej tyle świeżego powietrza?

Mnie to osobiście strasznie irytuje, gdy każą pani, właśnie pani, chodzić w maseczce. Irytuje mnie, bo wiem, ile europejskiego natchnienia pod tą maseczką zostaje. Pani i tak jest bardzo odważna, przecież w każdym szanującym się reżimie już dawno byłoby po pani. Albo chustka na twarz czymś nasączona, albo sto innych sposobów, ostatecznie prawomocny zakaz bluzgania – wystarczyłyby, by panią uciszyć. A jednocześnie ucieszyć, bo przecież sama pani już tyle razy prosiła, żeby „przyszli po panią". I nic, cisza. Jakby pani w ogóle nie dostrzegali! Jakby w ogóle dało się pani nie dostrzec! Ja bym zaniósł, gdzie by pani chciała, chociaż nawet nie wiem, gdzie pani mieszka i czy w ogóle, gdzieś oprócz ulicy, można panią spotkać. Pamiętam, jak mówiła pani, że ktoś ujawnił pani dane adresowe i że w związku z tym pani nie może tam wracać. Proszę się na tych ludzi nie gniewać, taka jest cena sławy. Zwłaszcza że wcześniej wydawała się pani gorącą zwolenniczką nie tylko chodzenia pod prywatne domy ludzi, na których punkcie ma „kręćka", ale i wyrzucania pod ich oknami wszystkiego, co leży na wątrobie. Oczyma duszy już widzę te przyszłe arcydzieła malarstwa europejskiego, na których „Wolność" nie wiedzie już ludu na barykadę, ale po prostu siedzi na niej okrakiem. Jak bohaterki obrazów Jerzego Dudy-Gracza. Przy aplauzie dzieci wrzeszczących, że „aborcja jest okej", przy wtórze dziennikarzy wyjących o bandytach, którzy wtargnęli na Kapitol, i obrońcach praworządności, którzy wtargnęli do Trybunału Konstytucyjnego. Szkoda naprawdę wielka, że tak mało ludzi panią rozumie. I że naród nie poznał się na pani ani w wyborach samorządowych trzy lata temu, ani w europejskich dwa lata temu, ani w ogóle w żadnych innych.

Ale teraz już się pozna. A wtedy, kto wie? Może nawet, głośno i wyraźnie, odkrzyknie pani ulubione hasło?

eprasa.pl 309770cdcb

WIEŻA BAB

Na cenzurowanym

Niestety ciałem stała się grudniowa zapowiedź prezesa Naczelnej Izby Lekarskiej o przesłuchiwaniu i żądaniu wyjaśnień od lekarzy, którzy postanowili wyłamać się z głównego nurtu myślenia i do tematu szczepień podeszli krytycznie, formując swoje wątpliwości, uwagi czy pytania.

Przypomnijmy swoistą obietnicę, którą złożył prof. dr hab. Andrzej Matyja, prezes Naczelnej Izby Lekarskiej, podczas grudniowej parlamentarnej komisji zdrowia, a którą to wypowiedź upublicznił w programie „Warto rozmawiać" z 14 grudnia ub.r. Jan Pospieszalski: „Coraz więcej pojawia się w różnych informatorach, mediach sceptyków co do szczepień, mówiących o zagrożeniach. Na tej liście są także lekarze. Żebyście państwo mieli świadomość – my wszystkich tych lekarzy, brzydkiego słowa użyję, będziemy teraz przesłuchiwać czy wzywać do złożenia wyjaśnień z ich postawy przed organy odpowiedzialności zawodowej".

Proces swoistego polowania na czarownice, czyli na lekarzy, którzy mieli czelność wyrażać wątpliwości w kwestii szczepień, już się zaczął. Naczelna Izba Lekarska wszczęła postępowania w sprawie osób popierających m.in. „List otwarty polskich lekarzy, naukowców i pracowników służby zdrowia do polskich władz i mediów". Do sieci wyciekł list (pojawił się m.in. na profilu dr. n. med. Zbigniewa Martyki), który dostali niektórzy medycy, a w którym naczelny rzecznik odpowiedzialności zawodowej informuje o wszczęciu postępowania wyjaśniającego.

Takie zastraszanie lekarzy to zwykły skandal przypominający głęboką komunę. To zamach na wolność słowa i sumienia lekarzy. To także dzielenie środowiska lekarskiego, wybitnie szkodliwe w czasie pandemii.

Nie można odmawiać lekarzom prawa do zadawania pytań i wyrażania wątpliwości. Tym bardziej że na świecie, także w Polsce, pojawiają się przypadki zgonów po podaniu szczepionki. Poza tym wiele pytań jest wciąż aktualnych. Szczególnie w kontekście cyberataku na Europejską Agencję Leków (EMA). Po ataku do sieci wyciekły poufne dokumenty dotyczące szczepionek przeciwko COVID-19. Wyciek obejmował m.in. wewnętrzną i poufną korespondencję elektroniczną z listopada ub.r. dotyczącą procesów oceny szczepionek przeciw COVID-19. Z doniesień ujawnionych przez Witolda Gadowskiego za „Le Monde" wynika, że w korespondencji wysoki przedstawiciel EMA informował o istnieniu znaczącej różnicy jakościowej między szczepionkami używanymi w badaniach klinicznych a ich partiami komercyjnymi. EMA tuż po wycieku tłumaczyła, że „część korespondencji została zmanipulowana przez sprawców przed publikacją w sposób, który mógłby podważyć zaufanie do szczepionek". Jeśli jednak nie została zmanipulowana, czy opinia publiczna nie ma prawa o tym wiedzieć? Czy lekarze nie mają prawa zadawać pytań, wyrażać wątpliwości, zwłaszcza jeśli działają w najlepiej pojętym interesie swoich pacjentów?

Nie do końca wiem, w czyim interesie natomiast działają niektórzy eksperci. Nurtuje mnie swoista wojna, jaką amantadynie wypowiedział prof. Andrzej Horban. Rada Medyczna przy Premierze RP wydała właśnie stanowisko o nieskuteczności i niezalecaniu stosowania amantadyny w leczeniu COVID-19. To o tyle ciekawe, że badanie prof. Konrada Rejdaka z Lublina dopiero się właściwie rozpoczęło, a zupełnie świeża jest informacja o tym, że będzie także drugie badanie. Projekt „Skuteczność leczenia amantadyną chorych na COVID-19" uzyskał pozytywną recenzję ABM i został dopuszczony do finansowania. To ten projekt, gdzie w komitecie naukowym zasiądzie doskonale znany państwu z naszych łamów dr Włodzimierz Bodnar, pulmonolog z Przemyśla, a badaniem pokieruje prof. Adam Barczyk, pulmonolog z Górnośląskiego Centrum Medycznego. Dlaczego Rada Medyczna wydała swoją opinię, zanim wyniki obu badań ujrzały światło dzienne, skoro od miesięcy ludzie i tak leczą się tym lekiem? Bo cóż innego mają robić?

Z ust prof. Horbana często padają słowa o toksyczności tego leku i jego skutkach ubocznych. W sieci znalazłam jednak dokument z 20 listopada 2009 r., podpisany przez prof. Andrzeja Horbana, dotyczący zasad stosowania leków w leczeniu przyczynowym grypy i jak wół stoi w nim: „Pacjentom o ciężkim lub postępującym przebiegu należy rozważyć podawanie ponadto dodatkowo jednego z dwóch inhibitorów M2 (amantadyna lub rimantadyna)". Co takiego się zdarzyło, że parę lat temu pan profesor ten lek polecał, nawet do stosowania u dzieci i kobiet w ciąży, a dziś uważa go za truciznę?

Może zamiast ścigać lekarzy, którzy ratują życie, nasi naukowcy powinni zacząć patrzeć sobie wzajemnie na ręce? Jeśli nie, opinia publiczna zrobi to za nich.

Dorota Łosiewicz

Powrót do przyjaźni

Niemcy

Pogorszenie relacji z Ameryką w okresie prezydentury Donalda Trumpa wywołało w Niemczech strategiczny kryzys – czytamy w styczniowym raporcie German Marshall Fund. Tymczasem – jak piszą analitycy – bez USA nie będzie zachodniego sojuszu ani stabilnej zjednoczonej Europy. Cała więc nadzieja w nowym prezydencie Joem Bidenie oraz w przywództwie i politycznej woli następcy Angeli Merkel, która jesienią odejdzie z niemieckiej polityki.

Niemcy chcą wrócić do sojuszu transatlantyckiego, ale na nowych zasadach. „Sądzę, że nic nie będzie takie samo, nawet z prezydentem Bidenem. My, Europejczycy, musimy również zaoferować coś dla partnerstwa transatlantyckiego" – podkreśliła kanclerz Niemiec po inauguracji Bidena. Na przykład wydawać więcej pieniędzy na obronność. Nie oznacza to jednak, że Niemcy zamierzają zrezygnować z realizacji własnych interesów. Pod koniec stycznia podczas forum ekonomicznego w Davos Angela Merkel wyraźnie dała do zrozumienia, że Europa nie powinna „wybierać stron" w sporze handlowym między Waszyngtonem a Pekinem. „Wolałabym uniknąć utworzenia się dwóch (zimnowojennych) bloków" – podkreśliła. Apel o świat bardziej solidarny, wielobiegunowy i praworządny ponowiła na łamach dziennika „Frankfurter Allgemeine Zeitung". Pod apelem podpisali się m.in. prezydent Francji Emmanuel Macron oraz szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen.

Poseł FDP Alexander Graf Lambsdorff tak widzi przyszłe relacje z Ameryką: „Niemcy i USA będą dobrymi przyjaciółmi wtedy, gdy będzie to możliwe, czasem uczciwymi konkurentami, ale zawsze sojusznikami w walce o wolność". Berlin liczy na to, że biograf Bidena Evan Osnos nie kłamał, pisząc, że Niemcy zajmują ważne miejsce w myślach nowego prezydenta USA. Rozległe kontakty z obecną administracją w Waszyngtonie zachowały się w Berlinie z czasów, gdy Biden był wiceprezydentem. „Znam prawie wszystkich pracowników Bidena. To dobry warunek wstępny" – podkreślił Wolfgang Ischinger, szef monachijskiej konferencji bezpieczeństwa.

Niemcy liczą więc, że teraz uda się rozwiązać spory z Waszyngtonem o stosunki z Chinami oraz o Nord Stream 2. W tej ostatniej kwestii pojawiły się informacje, że Waszyngton byłby gotów zrezygnować z sankcji w zamian za koncesje Berlina. Jakie? Niemcy mają zwiększyć nakłady na NATO oraz udzielić gwarancji, że Rosja nie użyje gazociągu przeciwko Ukrainie ani krajom regionu. Doniesienia zdementował rzecznik ambasady USA w Berlinie, a Niemcy – jak dotąd – też nie odpowiedziały na rzekomą ofertę. Pewne jest jednak, że za kulisami Berlin prowadzi intensywną kampanię w celu zmiękczenia stanowiska Waszyngtonu wobec Nord Stream 2. Jej wynik będzie pierwszym sprawdzianem nowych relacji transatlantyckich.

Aleksandra Rybińska

Fot. Nuno21/Shutterstock.com

Kulą czy mieczem?

Arabia Saudyjska

Obrońcy praw człowieka na świecie zauważają, że pandemia ma także swoje dobry strony. Jedną z nich jest radykalny spadek liczby egzekucji w Arabii Saudyjskiej. W 2020 r. odnotowano ich tylko 27 w porównaniu z rokiem 2019, gdy kaci aż 184 razy ścinali głowy skazańcom. Oznacza to spadek wykonanych kar śmierci aż o 85 proc. Wspomniane zjawisko wynika z dwóch faktów. Po pierwsze, władze w Rijadzie wprowadziły moratorium na wykonywanie kary śmierci za przestępstwa związane z narkotykami. Po drugie, lockdown spowodował spadek przestępczości, a tym samym mniejszą liczbę wydawanych wyroków.

Malejąca liczba egzekucji odsuwa od saudyjskich władz widmo zmian, które część muzułmanów uważa za niezgodne z religią. Według wymogów prawa koranicznego egzekucja musi bowiem zostać dokonana jednym cięciem miecza. Coraz mniej osób wybiera jednak zawód kata. Wymaga on bowiem ciężkiego treningu, zręcznego posługiwania się bronią i zimnej krwi. Wielu nie wytrzymuje też zbyt częstych egzekucji. W związku z tym kilka lat temu władze dopuściły możliwość wykonywania kary śmierci przez rozstrzelanie, jednak sądy preferują ścinanie mieczem w miejscach publicznych.

Dziś w monarchii Saudów najwyższy wymiar kary przewidziany jest za morderstwa, napady z bronią w ręku, gwałty, czary i akty homoseksualne. W przypadku egzekucji na gejach saudyjscy wahabici różnią się od salafitów z ISIS – o ile ci pierwsi pozostają wierni tradycji ścinania głów mieczem, o tyle drudzy dopuszczają inne metody uśmiercania, np. w Iraku zrzucali homoseksualistów z wysokiej wieży.

Nieco łagodniejsze pozostaje sądownictwo w muzułmańskiej Indonezji. Niedawno zapadł wyrok w sprawie dwóch gejów z miasta Aceh, których przyłapano na odbywaniu intymnych stosunków. Zostali skazani na karę publicznej chłosty. Każdy z nich otrzymał 80 uderzeń w plecy ratanowym kijem. Obaj tak krzyczeli z bólu, że matka jednego z nich straciła przytomność.

W tym kontekście pozostaje tajemnicą, dlaczego wiele organizacji LGBT oskarża o homofobię Kościół, a milczy o islamie.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 309770cdcb

Koniec eksperymentu

Wojskowy zamach stanu w Mjanmie (d. Birmie) stawia pod znakiem zapytania trwającą od dekady epokę stopniowej demokratyzacji tego południowo-azjatyckiego kraju. Siły zbrojne wprowadziły tam w ubiegły poniedziałek stan wyjątkowy i aresztowały kierownictwo Narodowej Ligi na rzecz Demokracji (NLD) w tym jej liderkę, laureatkę pokojowej Nagrody Nobla, Aung San Suu Kyi (na zdj.).

Mjanma

Zamach został przeprowadzony na kilka godzin przed pierwszym posiedzeniem wybranego w listopadzie parlamentu, w którym formacja zdobyła 396 mandatów na 476 miejsc. Naruszyło to kruchą równowagę sił, która była warunkiem rozpoczętej przed dziesięcioma laty demokratyzacji. W ramach zawartego wówczas porozumienia z juntą wojskową, rządzącą krajem w różnych konfiguracjach personalnych od lat 60., po zwycięskich wyborach w 2015 r. władzę objęły siły polityczne skupione wokół Aung San Suu Kyi, ale przedstawiciele sił zbrojnych zachowali kontrolę nad resortami siłowymi i mieli zagwarantowaną reprezentację parlamentarną.

Wynik następnych wyborów okazał się jednak zagrożeniem dla pozycji armii i wojskowi zdecydowali się przerwać demokratyczny „eksperyment". Na czele puczystów stanął 64-letni głównodowodzący siłami zbrojnymi Min Aung Hlaing, formalną funkcję prezydenta objął zaś emerytowany generał i dotychczasowy wiceprezydent Myint Swe.

Ze względu na swoje strategiczne położenie Mjanma jest krajem uznawanym za klucz do Azji. Stanowi chińską bramę do Oceanu Indyjskiego umożliwiającą Pekinowi ominięcie ewentualnej blokady Cieśniny Malakka i oddziela Indie od państw Półwyspu Indochińskiego. Z tego powodu pucz może się okazać nie najlepszą wiadomością dla Pekinu. Indyjski dziennik „East Asia Times" twierdzi bowiem, że stojący na czele puczystów Min Aung Hlaing utrzymuje znakomite relacje z premierem Indii Narendrą Modim. Generał krytykował też Pekin za wsparcie udzielane przez Chiny rebelii muzułmańskiego ludu Rohingjów, brutalnie zresztą spacyfikowanego za czasów Aung San Suu Kyi, co kosztowało laureatkę Nagrody Nobla utratę sporej części międzynarodowego prestiżu.

Zarówno Indie, jak i Chiny wydały na razie bardzo powściągliwe oświadczenia na temat zamachu stanu. Przed podobnym dylematem, jak uważają specjaliści, stoi też administracja Joego Bidena. Musi odpowiedzieć sobie na pytanie, co jest dla niej ważniejsze – demokracja czy utrzymanie wpływów w tym strategicznie położonym kraju.

Marek Budzisz

Fot. 360b/Shutterstock.com

Rząd kontra korporacje

Australia

Po bezprecedensowej cenzurze, jaka spotkała w mediach społecznościowych byłego prezydenta USA Donalda Trumpa, coraz lepiej widać, jak wielką i nieograniczoną władzę posiadły dziś wielkie korporacje z Doliny Krzemowej. I nie chodzi tu tylko o ideologię czy politykę, ale również o pieniądze, którymi koncerny technologiczne nie chcą się z nikim dzielić.

Według australijskiego ministra skarbu Josha Frydenberga Google i Facebook przejęły już ponad 70 proc. rynku reklamowego w Australii. Dlatego w zeszłym roku rząd w Canberze zaplanował powołanie specjalnej instytucji, która ustali wysokość opłat, jakie Facebook lub Google będą musiały zapłacić lokalnym wydawcom za korzystanie z ich treści (np. w wyszukiwarkach). Złamanie tych regulacji miałoby skutkować karą w wysokości 10 proc. przychodów osiąganych przez amerykańskie koncerny na australijskim rynku.

Ten pomysł wywołał wielkie oburzenie po drugiej stronie Pacyfiku. Zarówno Facebook jak i Google zapowiedziały retorsje, jeżeli zostanie wprowadzone nowe prawo. Facebook pogroził, że zablokuje użytkownikom w Australii dostęp do newsów pochodzących od tamtejszych wydawców i uniemożliwi dzielenie się linkami, a władze Google miały – według serwisu Breitbart News – straszyć, że usuną z Australii wszystkie swoje serwery. Gdyby do tego doszło, Australijczycy zostaliby odcięci nie tylko od najpopularniejszej przeglądarki internetowej, lecz również od YouTube'a czy Google Maps. Jednak australijski premier Scott Morrison odrzucił te groźby, przypominając korporacjom, że – jak na razie – to „parlament ustala prawo w Australii".

Po ostatnich wyborach prezydenckich w Ameryce i zbyt ostentacyjnym zaangażowaniu w politykę wielkie korporacje nieco zmieniły taktykę. Dlatego też prezes Facebooka Mark Zuckerberg postanowił zadziałać dyskretniej i nieoczekiwanie zasiadł do stołu negocjacyjnego. Jednak jego spotkanie z Joshem Frydenbergiem, do którego doszło w ostatnich dniach stycznia, niczego nie przyniosło. Australijski minister stwierdził bowiem, że Zuckerberg nie zdołał przekonać go do swoich racji.

Na razie więc australijski rząd nie poddaje się i w najbliższych miesiącach zamierza wprowadzić nowe regulacje. Ale skala pogróżek i presji wywieranej przez korporacje internetowe każe z niepokojem spoglądać w przyszłość.

Łukasz Adamski

eprasa.pl 309770cdcb

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Cepy cenią kłonice

Jan Pietrzak

Trust mózgów w składzie red. Lis i skandalista Palikot pracuje nad strategicznym planem dla opozycji. M.in. mają nowatorski projekt sprowadzający się do zwiększenia produkcji fałszu na głowę mieszkańca. Doszli do wniosku, że bez pomnożenia ilości kłamstw i oszustw w medialnej chmurze nad Polską nie uda się pokonać obecnej władzy.

Nowatorstwo polega na tym, że tego rodzaju postępowanie jest na ogół skrywane za maskującą siatką pozorów, dyskwalifikuje bowiem załganego osobnika jako postać publiczną, a ci panowie z dumą głoszą swoim zwolennikom, że zamierzają jeszcze bardziej łgać. Po prostu takich mają zwolenników. Tłum wyjący na placach i ulicach paskudne wyrazy to jest ich baza intelektualna. Prymitywne cepy doceniają chamskie kłonice. Nie zamierzają czekać na odległe wybory, bo teraz właśnie pojawiła się korzystna sytuacja. Z powodu zabójczego wirusa rośnie liczba rozhisteryzowanych osobników, co sprawia, że emocje łatwiej przekierować w stronę rządu.

Prawdę mówiąc, mnie też szlag trafia, że nie mam możliwości koncertowania, ale nigdy nie uwierzę, że panowie Li+Pa chcą i potrafią zrobić coś dobrego dla Polski, nawet jeżeli dobiorą Tuska z Michnikiem. Za rok... za dwa lata, wraz z poprawą sytuacji zdrowotnej i gospodarczej koniunktury, przepadnie im okazja przejęcia kraju. Muszą się spieszyć nieboraki, nie zważając na demokrację i konstytucję. Po raz kolejny chcą dokonać puczu, coup d'État przy pomocy osławionej „ulicy i zagranicy".

Kilka razy próbowali bez powodzenia, ale zebrali sporo doświadczeń. Nauczyli się organizować wściekłość. Ładować akumulatory nienawiści. Potrzebna tylko iskra, by sprawy potoczyły się w kierunku chaosu, anarchii, amoku. Na to czekają ludzie złej woli... ci, którzy kłamią o autorytarnym rządzie, o braku praworządności, o „polskich obozach śmierci", o strefach LGBT... itd. Ciągle potrzebują więcej haków na Polskę... Tyle że te wszystkie dywersyjne poczynania toczą się na powierzchni... A co pisał wieszcz? „Naród nasz jak lawa,/ Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa;/ Lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi,/ Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi".

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Prozdrowotny nikotynizm

Dominik Zdort

W czasach rozszalałej poprawności politycznej najgorszym problemem dla jej wyznawców są choroby. No bo człowieka, który nie potrafi wykrzesać z siebie wystarczającego szacunku dla mniejszości czy odmienności, można zastraszyć, złamać mu życie i karierę. A co zrobić z wirusem, który najsilniej wycina akurat te grupy, które przez poprawnościowców stawiane są na piedestale?

Problem pojawił się już 40 lat temu, kiedy okazało się, że HIV woli homoseksualistów. Oczywiście to nie był wybór wirusa, ale członków tej właśnie grupy zainteresowań. Nie wchodząc w obrzydliwe szczegóły: geje uprawiający niestandardowe rodzaje seksu zarażali się 10-krotnie częściej niż pary mieszane przywiązane do tradycyjnych zachowań w łóżku.

Tymczasem już w latach 80. XX w. na Zachodzie trwała walka o przywileje dla pederastów (jak wtedy mawiano), a konstatacja, że to oni – przez swoje seksualne metody – są najbardziej narażeni na złapanie wirusa, brzmiała jak uznanie, że AIDS to kara boska za grzechy. Nic dziwnego, że wydano grube miliardy dolarów na to, by zwalczyć chorobę (współcześnie dzięki terapiom antyretrowirusowym z AIDS da się żyć) oraz pogląd, że to geje roznoszą zarazę.

Politycznie niepoprawny okazał się też COVID-19. W wielkich miastach Zachodu, w których dużą część populacji stanowi ludność kolorowa (Londyn, Nowy Jork), okazało się, że to ona jest proporcjonalnie znaczniej bardziej narażona od obywateli o białym kolorze skóry. Krótko mówiąc: covid woli Murzynów. Dlatego burmistrz brytyjskiej stolicy Sadiq Khan zapowiadał, że najpierw trzeba będzie zaszczepić kolorowych z grupy BAME (Black, Asian, Minority Ethnic). Gdy napisał o tym Filip Memches w „Tygodniku TVP", politpoprawne internetowe trolle starały się go rozjechać.

Ale na tym niepoprawność koronawirusa się nie kończy. Już z wczesnych analiz wynikało, że palenie tytoniu może chronić przed covidem. Przeciwnicy nikotynizmu natychmiast tę tezę zakrzyczeli, twierdząc, że dane są niereprezentatywne. A media pokornie zamknęły buzię.

Ale co teraz, kiedy badania Uniwersytetu Medycznego z Łodzi tę tezę potwierdziły? I napisała o tym najsłuszniejsza polska gazeta (w swoim łódzkim wydaniu). Może należałoby w końcu pochwalić palaczy za odpowiedzialne zachowania prozdrowotne? Może zachęcać niepalących do korzystania z uroków (niewątpliwych) wdychania nikotyny?

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 309770cdcb

BRONISŁAW WILDSTEIN

Co zrobić z sędziami

Pisałem już o dwóch wyrokach najwyższych organów sędziowskich III RP, które faktycznie uderzają w porządek ustrojowy III RP. Sąd Najwyższy ogłosił, że ustawę dezubekizacyjną zastosować można wyłącznie w odniesieniu do tych funkcjonariuszy, którym udowodnione zostanie łamanie praw człowieka. Wprawdzie działanie SB w całości wymierzone było w prawa człowieka, ale wskazanie, który konkretnie funkcjonariusz jest za to odpowiedzialny i w jakim stopniu, wydaje się niemożliwe. A SN nakazał przywrócenie im przywilejów, czyli ogromnych emerytur, oraz wypłacenie odszkodowań za czas, w którym byli ich pozbawieni.

Natomiast Naczelny Sąd Administracyjny uznając, że ochrona danych osobowych zawarta w rozporządzeniu unijnym RODO obowiązuje także IPN, w rzeczywistości uderzył w zdolność do pełnienia swoich funkcji przez tę instytucję.

Oba te wyroki podważają ustawodawczą rolę parlamentu. Nie są one przypadkiem ani brakiem świadomości sędziów, którzy się pod nimi podpisują. Prawniczy establishment III RP prowadzi wojnę z legalnie wybraną partią, chcąc pozbawić ją możliwości rządzenia. Szokować może, jak duża grupa sędziów nie tylko nie liczy się z porządkiem prawnym naszego kraju, a więc demokracją, ale zyskuje przy tym aplauz dominujących ośrodków opiniotwórczych. Chociaż dziwić się nie warto. Skoro siły III RP w obronie swojej pozycji oraz interesów wypowiedziały wojnę polskiej demokracji, nic już nie powinno nas zaskakiwać. W czasie wojny, jak się okazuje, milkną nie tylko muzy, ale i prawo.

Pierwsze ostentacyjnie polityczne wyroki pojawiły się jeszcze przed wyborami 2015 r. Uniewinnienie przyłapanej na przyjmowaniu łapówki posłanki PO Beaty Sawickiej przez sędziego Pawła Rysińskiego; wystąpienie Igora Tulei, który wydał symboliczny wyrok na lekarza Mirosława Garlickiego za udowodnioną mu korupcję, ogłaszając jednocześnie, że ścigający ją funkcjonariusze państwa działali jak stalinowscy oprawcy, czy wreszcie kilkuletnie wyroki bez zawieszenia, na które Wojciech Łączewski skazał szefów ABW za zgodne z prawem i autoryzowane przez sędziów antyprzestępcze działania – to przykłady skrajnego i nieliczącego się z niczym upolitycznienia polskich sądów. Po zwycięstwie PiS sytuacja uległa tylko zaostrzeniu. Jak to powiedział Sławomir Neuman, jeden z liderów PO, na temat zachowania sądów wobec działaczy swojej partii przed kolejnymi wyborami: „Sądy dzisiaj, ja ci gwarantuję, nie rozstrzygną żadnej sprawy przed wyborami. Żadnej. Przez rok nie zrobią... nic. Będą prowadzić sprawy – i chuj".

Łamanie prawa przez przeciwników PiS nie jest penalizowane. To nie tylko sławne uniewinnienie Władysława Frasyniuka, który naruszył serię paragrafów, ale bezkarność Obywateli RP blokujących i atakujących legalne demonstracje. To sądowa zgoda na barbarzyństwo, czyli odmowa karania bojówek, które uniemożliwiają Jarosławowi Kaczyńskiemu odwiedziny grobu jego brata. To faktyczne wsparcie przestępczego procederu, aby tylko utrącić decyzje PiS, bo do tego sprowadzić można uchylanie decyzji komisji weryfikacyjnej w sprawie reprywatyzacji i zwrot oszustom zagarniętych przez nich kamienic. Na podobnej zasadzie Tuleya blokował proces „obcinaczy palców" wysyłając tzw. prejudycjalne pytania do Trybunału Sprawiedliwości UE. Podobnie zachowywali się jego koledzy.

Obecnie hurtowo uwalniani są od odpowiedzialności agresywnie zachowujący się wobec policji, niszczący mienie społeczne i naruszający obowiązujące przepisy uczestnicy nielegalnych demonstracji tzw. Strajku Kobiet, a policja musi płacić im odszkodowania. To dla niej kolejna lekcja, że manifestacje przeciw rządzącej prawicy nie muszą przestrzegać prawa.

Oczywiście wszystkie te zjawiska nie są bezwyjątkowe. Trafiają się odważni sędziowie, którzy również w tych wypadkach traktują prawo poważnie, ale jest ich mniejszość.

Wiele razy pisałem o tym, jak destrukcyjna dla państwa i wspólnoty narodowej jest postawa sędziowskiego establishmentu. Problem w tym, że władza obecna nie potrafi sobie z nią poradzić. Zgódźmy się, że jest to trudne, ale ponad pięć lat to polityczna epoka. Strategia stosowana przez ministra Ziobrę wyraźnie nie przynosi efektów. Czy nie należy zastanowić się nad jej zmianą, zanim nie okaże się, że całość rządów prawicy jest niweczona przez wpływową grupkę? Najlepsze normy prawne nie będą funkcjonowały, jeśli natrafią na opór dominującego środowiska prawników. Warto się zastanowić, jak zmienić jego skład, gdyż o moralnej naprawie obecnego establishmentu nie ma co marzyć, a przyzwoitych sędziów można przecież w Polsce znaleźć.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 309770cdcb

Walizka Jana Pospieszalskiego

muzyka, dziennikarza

Podróże są wpisane w zawód dziennikarza, a dla muzykanta są właściwie stanem naturalnym (raczej były, bo od 10 miesięcy muzycy, jak przedstawiciele wielu innych zawodów, mają wolne). Kiedyś, gdy na świecie odbywały się koncerty, a muzycy i publiczność legalnie gromadzili się w salach, zespoły i orkiestry podróżowały od miasta do miasta. Muzycy wsiadali do autokaru, zabierając instrumenty, bagaż i niezbędne akcesoria. Miałem szczęście tak przemierzyć całą Amerykę Północną: od Edmonton do Miami, i od Montrealu do San Diego. Także w wielu europejskich krajach, szczególnie tych sąsiadujących z Polską, grałem koncertowe trasy. Autokar ma pod podłogą sporą przestrzeń, więc tam lądowały wzmacniacze, stołki, statywy i większe walizki. Na górę braliśmy delikatne instrumenty, plecak z książką, komputerem, słuchawkami i estradowe ciuchy.

GITARA AKUSTYCZNA

Gdy na początku lat 90. zaczęło się szaleństwo grania unplugged (na instrumentach akustycznych), mój przyjaciel, który był przedstawicielem Yamahy na Polskę, ściągnął tę gitarę i przekonywał mnie, że właśnie na takim instrumencie Eric Clapton rzekomo nagrał swoją płytę „Unplugged".

JAZZOWA GITARA

Ćwierćpudłowa gitara Epiphone Custom Casino, o której marzy każdy gitarzysta. Jest to klasyk, na którym zaczynał się pierwszy rock'n'roll. Na takim instrumencie grali Elvis Presley, Beatlesi. Na o wiele droższych i mistrzowskich egzemplarzach tego typu grają teraz najwybitniejsze gwiazdy jazzowe, np. John Scofield.

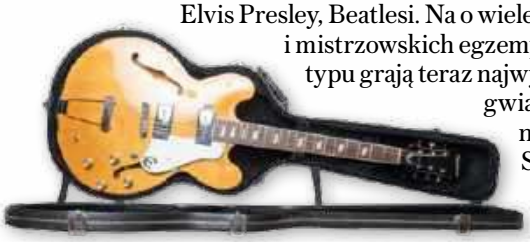

ZAPASOWA GITARA

Ten instrument łączy dwa żywioły, jest to bowiem gitara elektryczna, która brzmi jak akustyczna. Producent i wynalazca firmy Washburn zastosował dosyć skomplikowaną elektronikę piezo i uzyskał bardziej dźwięczne brzmienie. Manualnie jest dosyć trudna, ponieważ ma płaski gryf, ale ją lubię – towarzyszy mi od 30 lat.

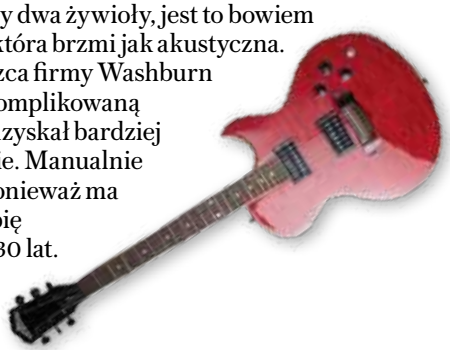

eprasa.pl 309770cdcb

KONTRABAS ZAPASOWY

Z lat 60. produkowany przez Musimę, manufakturę w NRD, o który w czasach niedoborów peerelowskich też trzeba było mocno zabiegać. To był popularny instrument, który trafiał do Polski Ludowej w czasach, gdy istniał Polmuz – Polska Centrala Handlu Muzycznego. Smyczek do kontrabasu to delikatny i kosztowny gadżet, nieraz droższy niż gitara.

TWARDY I MIĘKKI FUTERAŁ

Miękki futerał jest poręczny na plecy i do zapakowania w samochodzie. Z kolei drewniany futerał z aluminiowymi narożnikami przydaje się do samolotu, gdzie w luku bagażowym dobrze zabezpiecza gitarę.

ŚPIEWNIK KS. SIEDLECKIEGO

Klasyka. Nieoceniona pomoc dla wszystkich, którzy chcą się włączyć do liturgii śpiewem. Staram się go mieć ze sobą, bo trasy koncertowe to również niedziele.

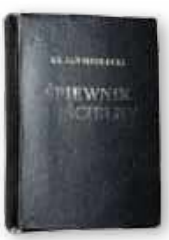

WZMACNIACZ

Laboga – kultowy wzmacniacz. Choć rozmiarem niewielki, ale strasznie ciężki, bo lampy, chassis, z solidnym transformatorem i całą masą prawdziwych bebechów muszą ważyć. Niedostępność w PRL profesjonalnego sprzętu w latach 70. zmusiła Adama Labogę do klecenia własnych wzmacniaczy. Gdy zaczęły królować tranzystory, Adam, znów z braku dostępu do podzespołów, pozostał wierny, wtedy już anachronicznym, wzmacniaczom lampowym, z ogromną determinacją udoskonalając produkty. Po latach muzyczny świat Zachodu, znudzony płaskim tranzystorowym brzmieniem, na nowo odkrył lampy i nagle się okazało, że wzmacniacze Made in Poland od Adama Labogi to ekstraklasa. Dziś na sprzęcie z Wrocławia grają topowe metalowe kapele na całym świecie. (no i ja:-)

BREWIARZ

Nie tylko od święta – potrzebny także w tygodniu.

PREPARAT DO KONSERWACJI

Sztyft w małym pudełeczku nasączony specyfikiem, którym przed graniem i po nim trzeba przeciągnąć struny.

LAKIERKI

Na estradzie najważniejsze są buty. Wiem to od dziecka, bo w filharmonii siadałem w pierwszym rzędzie, żeby lepiej widzieć. No i widziałem... zniszczone i nie zawsze czyste buty biednych częstochowskich filharmoników.

STATYWY DO GITAR

Złapanie za kontrabas wymusza odstawienie gitar, a więc zabieranie statywów... Z przerażeniem patrzę, jak na scenie wokół mnie robi się coraz mniej miejsca.

ZŁÓBCOKI

Sentymentalna pamiątka z Zakopanego, którą zamówił nam u swojego kuzyna Bartek Kudasik (obecnie Zakopower). Gęśle nie potrzebują futerału – są szczupłe na tyle, że mieszczą się do rękawa góralskiej cuchy.

SŁUCHAWKI

To nie są zwykłe słuchawki – to miniaturowy wzmacniacz (z korekcją barwy i pogłosem), do którego podłączam gitarę, żeby nie przeszkadzając innym, pograć w hotelu lub w garderobie...

Wysłuchał: Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 309770cdcb

OGNIEM NA WPROST

Myślozbrodnia

W szeregach opozycji dezorganizacja i jatka. A to zwolennicy opozycji zaczęli zarzucać „faszystowską przeszłość" Giertychowi, używając w stosunku do niego słów: „Cicho być, brunatny dziadersie!", a to oberwie się Owsiakowi. Wszystko w kontekście problemu z orzeczeniem TK w sprawie aborcji. Juras dostał z dwóch stron. Od przedstawicielki intelektualnej elity celebrycko-aktorskiej Pauliny Młynarskiej z jednej i europosłanki Sylwii Spurek z drugiej. A wszystko to za stwierdzenie: „Nie jesteśmy świrami, wariatami, którzy mówią, że aborcja ma być na pstryknięcie. To jest absolutnie nadużycie. Myślenie o tym jest absolutnym nadużyciem". „Jesteś dziadersem" – skomentowała wypowiedź Owsiaka Młynarska, która mord na dzieciach w łonie matek uważa za przejaw nowoczesności i postępu. Z kolei Spurek uważa nawet, że Owsiak zgrzeszył podwójnie. Raz – używając pogardliwej retoryki dotyczącej praw kobiet („aborcja na pstryknięcie"), dwa – „stygmatyzując osoby chorujące psychicznie" („Nie jesteśmy świrami, wariatami"). Nie dość, że popełnił myślozbrodnię, to jeszcze przekuł ją w słowa, nieumiejętnie posługując się językiem. Jednocześnie tow. Spurek ze względu na wielkie zasługi pana Jurka dla sprawy jest gotowa pomóc osobiście w odrobieniu lekcji organizatorowi WOŚP z „praw człowieka" oraz podszkolić go w używaniu lewackiej nowomowy w kwestiach opisów rzeczywistości.

Kto wie, gdzie leży Szprotawa? Tego nie wie prawie nikt. Dlaczego? Ponieważ jak do tej pory nic się tam ciekawego nie wydarzyło i w związku z tym położenie tej miejscowości mało kogo obchodzi. Do czasu. Naprzeciw tej sytuacji postanowiła wyjść Rada Miejska Szprotawy, przegłosowując deklarację solidarnościową z osobami LGBT+. Będzie ona gwarancją prowadzenia polityki wolnej od uprzedzeń, a gminne instytucje mają być przyjazne osobom nieheteronormatywnym. W treści tej wiekopomnej, bo postępowej, deklaracji napisano: „Gmina Szprotawa zobowiązuje się do przestrzegania podstawowych zasad równości i poszanowania różnorodności wszystkich osób, bez względu na płeć, rasę, wiek, niepełnosprawność, pochodzenie etniczne, wyznanie, światopogląd i orientację seksualną". Brawo, Szprotawa! Tak trzymać! Stare hasło z komuny: „Nowoczesność w domu i zagrodzie", ciągle aktualne. A ja już wiem – Szprotawa leży w Lubuskiem.

Coraz więcej rzeczy i wydarzeń z WOŚP nadaje się do rubryk o humorystycznym zacięciu. 2 lutego skończyła się aukcja pióra wiecznego marszałka Senatu Tomasza Grodzkiego wraz z egzemplarzem Konstytucji RP. Ten zestaw egzotyczny (przestrzeganie ustawy zasadniczej przez opozycję) poszedł za 9,3 tys. zł. Jakby tego było mało, za jedyne 55,1 tys. zł jakiś fanatyk wylicytował kolację z marszałkiem Senatu. W skład drugiego zestawu wchodzi jeszcze wspólne zwiedzanie gmachu Sejmu i Senatu, pamiątkowe zdjęcie oraz upominki od izby wyższej polskiego parlamentu. Osobiście najbardziej zazdroszczę wspólnego zdjęcia z tym wielkim bojownikiem o wolność i demokrację, które bym chętnie powiesił jako ozdobę małżeńskiej sypialni. Jest tylko jeden warunek. Szczęśliwiec, który wylicytował ten upojny wieczór, powinien na spotkanie dostarczyć gotówkę w kopercie.

Noel Brown to dyrektor nowojorskiego biura Programu Narodów Zjednoczonych ds. Ochrony Środowiska (UNEP). Ale nie tylko. Podobnie jak wielu specjalistów od klimatu posiadł dar przepowiadania. W czerwcu 1989 r. ogłosił, że „rządy mają 10-letnie okienko na rozwiązanie problemu efektu cieplarnianego, zanim wykroczy on poza kontrolę człowieka". Gdyby tak się nie stało, zdaniem tego poważnego urzędnika, miała nastąpić apokalipsa. Stopnieją pokrywy lodowe, poziom oceanów podniesie się o metr, a woda zaleje Malediwy, szóstą część powierzchni Bangladeszu i deltę Nilu. Tak brzmiały wówczas wyniki wspólnych badań UNEP i Agencji Ochrony Środowiska USA. Miliony ludzi pozbawionych domu miały się błąkać po świecie w poszukiwaniu nowego miejsca życia. Od tamtej przepowiedni minęło już – chwalić Boga – ponad 30 lat i co? I nic. O, przepraszam, prawie nic. Spełniła się bowiem przepowiednia co do milionów uchodźców, ale to raczej z innego powodu.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 309770cdcb

Miasto kwadrans

Marta Kaczyńska-Zielińska

Pandemia przyspieszyła proces cyfryzacji życia społecznego. Wiele usprawnień prowadzenia działalności zdalnej pozostanie na trwałe wpisanych w naszą codzienność. Koncepcje urbanistów zmierzające do ograniczenia emisji spalin w miastach i przekształcenia ich w bardziej zielone i przyjazne zarówno człowiekowi, jak i naturze mogą również prędzej znaleźć zastosowanie właśnie za sprawą zmiany naszego sposobu funkcjonowania wymuszonego przez pandemię i konieczności ograniczenia przemieszczania się oraz unikania znacznych skupisk ludności.

Według prognoz miasta mają przestać pełnić funkcję dużych ośrodków zatrudnienia, otoczonych rozproszonymi wspólnotami mieszkaniowymi. Przyszłością ma być praca w lokalizacji hybrydowej, wykonywana przy użyciu coraz bardziej zaawansowanych technologicznie środków porozumiewania się na odległość, a korzystanie z biur ma przybrać inną formę niż dotychczas.

Prof. Carlos Moreno z Sorbony jest autorem koncepcji „Miasta 15 minut". Francuski naukowiec uważa, że nie ma już powrotu do życia w mieście, jakie było przed uderzeniem koronawirusa, i opowiada się za stworzeniem miasta dzielnic, w których mieszkańcy będą mieli zapewnioną pracę, edukację, opiekę zdrowotną, możliwość zrobienia zakupów i aktywność sportową lub kulturalną w zasięgu odległości od domu możliwej do pokonania pieszo lub rowerem w ciągu kwadransa. Urzeczywistnienie wizji wymaga inwestycji w zakresie odpowiedniej infrastruktury. Lokalne biurowce mają być kameralne i pełnić funkcję miejsc służących budowaniu relacji społecznych i kulturowych, które mają inspirować do innowacji. Oznaczać ma to koniec z typowymi dla korporacji dziesiątkami gęsto ustawionych biurek i stworzenie przestrzeni składającej się z kombinacji sal konferencyjnych, stref do współpracy i nauki.

Nowy model planowania urbanistycznego ma zostać wdrożony w Paryżu, gdzie idea „Miasta 15 minut" stała się głównym punktem zeszłorocznej kampanii samorządowej. Pierwsze kroki w zakresie przeorganizowania przestrzeni miejskiej zostały już poczynione. Zakazano wjazdu do centrum aut przekraczających określone limity emisji spalin, od kilku lat 5 proc. wydatków stolicy Francji jest rozdysponowywanych w ramach budżetu partycypacyjnego, nabrzeża Sekwany zostały przeznaczone wyłącznie dla pieszych i rowerzystów. Stworzono wiele małych terenów zieleni, a 40 paryskich szkół zostało wzbogaconych o zieleń. Do 2024 r. każda ulica w Paryżu ma być przyjazna dla rowerzystów. Propagowane jest upiększanie ulic, placów i ogrodów.

Założeniem jest stworzenie z Paryża wzoru dla innych miast, wzoru o wzmocnionych społecznościach lokalnych, ze zmniejszonym poczuciem anonimowości typowym dla wielkich aglomeracji i lepszą jakością życia w poszczególnych dzielnicach. Zdaniem psychologów badających skutki pandemii poczucie przynależności do wspólnoty lokalnej poprawia kondycję psychiczną i wzmacnia odporność na trudne sytuacje.

Transformacja stolicy Francji jest już w toku, a wolę zaczerpnięcia z jej doświadczeń zadeklarowały m.in. Madryt, Mediolan, Ottawa i Seattle. Jesienią 2020 r. przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen zaapelowała o powstanie nowej idei projektowania, którą określiła jako Nowy Europejski Bauhaus.

Wiele pomysłów, dla których klamrą jest idea 15-minutowego miasta, znajduje zastosowanie także w Polsce. Od wielu lat funkcjonują budżety obywatelskie, miasta ograniczają ruch samochodowy w centrach, dokonuje się wielu nowych nasadzeń, otwierane są mikroparki, a niektóre ulice są przekształcane w strefy przeznaczone głównie dla ruchu pieszego i rowerowego, cyfryzacja administracji publicznej, samorządowej i ochrony zdrowia została usprawniona i wiele spraw można załatwić, nie wychodząc z domu. Niektórzy eksperci sądzą jednak, że urzeczywistnienie koncepcji prof. Moreno nie jest w pełni realne. Choćby tylko dlatego, że nie każdy mieszkaniec będzie mógł znaleźć pracę w dzielnicy, w której mieszka, ani dysponować warunkami do pracy zdalnej w miejscu zamieszkania.

REKLAMA

49/0121/F

eprasa.pl 309770cdcb

RZECZY POSPOLITE

„Chamulec bezpieczeństwa”

Tomasz Łysiak

„Chamstwu w życiu należy się przeciwstawiać siłom i godnościom osobistom” – mówił Jan Kobuszewski do Wiesława Gołasa w słynnym skeczu Kabaretu Dudek. Zwrot ten stał się swego rodzaju przysłowiem powtarzanym niegdyś często, gdy się miało do czynienia z chamstwem. Jednak w skeczu i w tym tekście był ukryty sens drugi – bo ten, kto chamstwo krytykuje, nie wyraża się czystą polszczyzną i na tym polegał cały wist.

Przypomniał mi się Kobuszewski i jego tekst w dobie, w której faktycznie chamstwo króluje coraz bardziej, wylewa się na ulice i niszczy dobry obyczaj. Zresztą nawet chyba mało kto pamięta, kogo niegdyś uważało się za chama i prostaka. W każdym razie odwrotnością chama był zawsze ktoś dobrze urodzony: szlachcic, arystokrata, człowiek wykształcony (inteligent) czy pochodzący z dobrego domu. Chama od dżentelmena rozpoznawało się m.in. po sposobie ubierania się oraz wysławiania. Elita pokazywała kierunek i ton. Cham bluzgał, klął, i to nawet w towarzystwie, przy damach, pluł na ulicę i generalnie zachowywał się tak, iż na pierwszy rzut oka widać było brak wychowania i dobrych manier.

Dzisiaj niestety wychowujemy kolejne pokolenia pozbawione kindersztuby – dzieci nie są już uczone tego, iż jeśli wchodzi się do pomieszczenia, w którym są dorośli, należy powiedzieć „Dzień dobry”, że kobiety przepuszcza się w drzwiach, a przy wysiadaniu z autobusu można wyjść pierwszym, a potem podać dłoń damie (tego uczyła wszystkich chłopców wychowawczyni w szkole podstawowej, do której chodziliśmy z moją żoną), ba!, że kobietom czy osobom starszym należy ustępować miejsca w tramwaju. Od tego się wszystko zaczyna.

Co jest potem? Potem te dzieci dorastają i uznają, że chamstwo jest naturalne i jest metodą na życie. Można na ulicy wrzeszczeć „wyp....ć”, pluć, rozbijać szyby kijami bejsbolowymi itd. Ale jeśli tak właśnie robią dorośli, jeśli klną elity, jeśli znana aktorka mówi w mediach, iż czuje, jakby ktoś na nią nas...ł, kiedy „elity” (z premedytacją piszę w cudzysłowie), naukowcy, nauczyciele akademiccy czy artyści używają wulgarnego języka jako dozwolonej formy dialogu, to do czego dojdziemy?

Gdzie skończą te biedne (naprawdę włos mi się zjeżył na głowie, jak to zobaczyłem) dzieci zabierane na manifestacje z błyskawicą? Da się gdzieś w tym wszystkim pociągnąć za jakiś „chamulec bezpieczeństwa”?

Rozważny i romantyczny

Z Andrzejem Lampertem, śpiewakiem operowym, wokalistą, kompozytorem, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Na romantyczny wieczór najlepszy jest „Napój miłosny” Gaetana Donizettiego?

Andrzej Lampert: To opera komiczna (w reż. Karoliny Sofulak) z mnóstwem zabawnych nieporozumień, ale przede wszystkim pełna znakomitej muzyki. Żałuję, że nie możemy się spotkać z widzami na żywo, ale serdecznie zapraszam 14 lutego o godz. 18 na transmisję live z Dużej Sceny Opery Śląskiej w Bytomiu (https://vod.opera-slaska.pl). W spektaklu tym występuję w roli Nemorina.

Od kilku lat śpiewak operowy, tenor... Jaki ma pan dzisiaj PIN?

Na szczęście wciąż go pamiętam [uśmiech]. Zarówno ten „osobisty numer identyfikacji”, którego nie zdradzę, jak i reaktywowany (wraz z Alkiem Woźniakiem i Sebastianem Kowolem) zespół PIN. Wystąpiliśmy na festiwalu w Opolu 2020 w koncercie premier i był to impuls, by po siedmiu latach przypomnieć się fanom.

Plany na 2021 r.?

Pracujemy nad nową płytą, ale chciałbym też wydać solowy krążek. Mam nadzieję, że w końcu się uda. Równolegle do planów estradowych zapraszam do Opery Śląskiej w Bytomiu, a także do śledzenia repertuaru innych teatrów operowych w Polsce i za granicą, gdzie występuję. W listopadzie czeka mnie premiera spektaklu „Poławiacze pereł” w austriackiej Graz Opera, o ile sytuacja na świecie na to pozwoli. Jak widać, estrada i opera uzupełniają się w moim życiu, ale pierwszą i najważniejszą moją pasją i „profesją” jest bycie tatą [od grudnia ubiegłego roku już czwórki latorośli – przyp. red.].

Fot. Jacek Kurnikowski/AKPA

eprasa.pl 309770cdcb

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ARCHIWUM PRYWATNE, ANDRZEJ WIKTOR

nasz sondaż

pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

Proszę sobie wyobrazić, że w wyborach startują poniższe partie. Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę?
(bez niezdecydowanych)

Kto według Pani/Pana obecnie najbardziej zasługuje na miano lidera opozycji w Polsce?

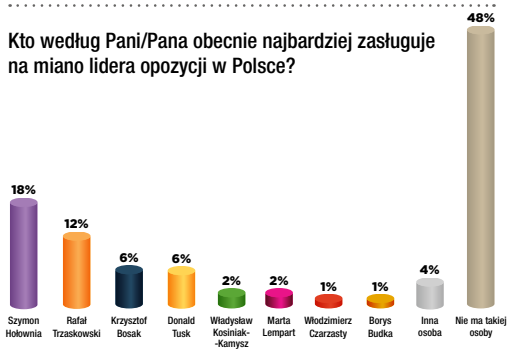

Czy popiera Pani/Pan działania polskiego rządu, który sprzeciwił się odłączeniu Polaka od aparatury podtrzymującej życie w Anglii i podjął walkę o jego życie i jak najszybsze przetransportowanie go do Polski?

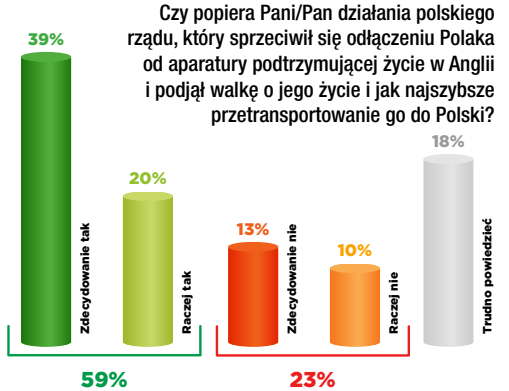

Co według Pani/Pana powinien zrobić polski rząd w zakresie obostrzeń wprowadzonych w związku z epidemią koronawirusa?

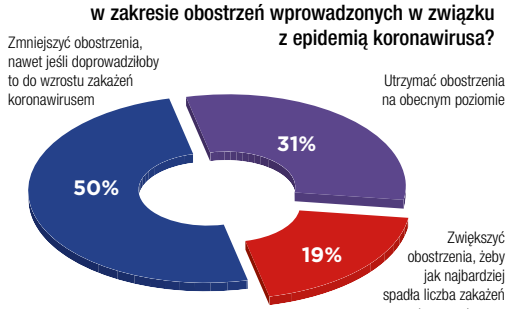

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1074.

Zakres czasowy badania 29 stycznia–1 lutego 2021 r.

eprasa.pl 309770cdcb

Anna Jaki, pedagog

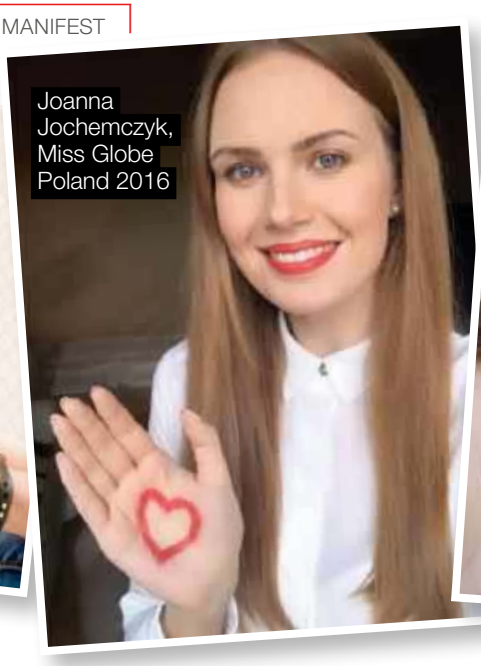
Joanna Jochemczyk, Miss Globe Poland 2016

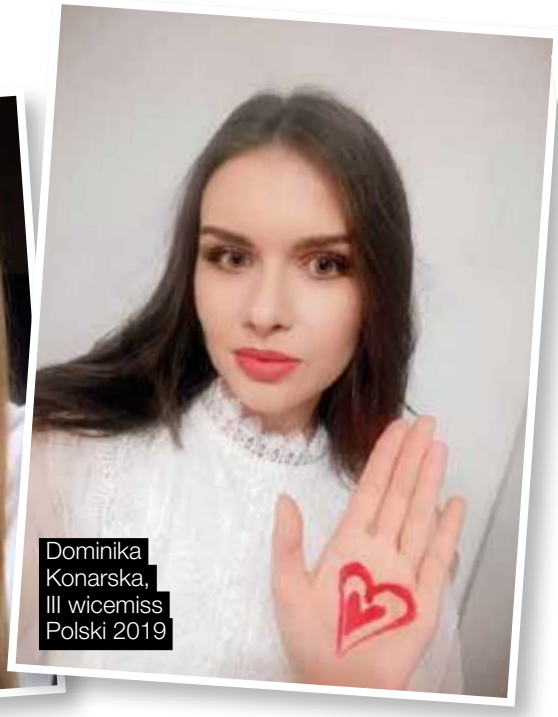
Dominika Konarska, III wicemiss Polski 2019

#Nie w naszym

Awantura, którą rozpętał na ulicach tzw. Strajk Kobiet, to w istocie nic innego jak protest zwolenników aborcji

W chwili gdy Trybunał Konstytucyjny ogłosił uzasadnienie do swojego wyroku z 22 października 2020 r., w którym sędziowie orzekli, że przepis tzw. ustawy antyaborcyjnej z 1993 r., zezwalający na aborcję w przypadku ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu, jest niezgodny z konstytucją, a wyrok został opublikowany w Dzienniku Ustaw, na ulicach polskich miast znów gromadzili się demonstranci pod szyldem Strajku Kobiet. Jednak ta nazwa nie jest uprawniona.

Gdy na ulicach pojawiają się wulgarne hasła, dochodzi do dewastacji mienia, podżegania do anarchii, a piorun wydaje się symbolem dominującym przestrzeń publiczną, jednocześnie w sieci pojawiają się tysiące zdjęć kobiet, które rysują na dłoni serce i deklarują, że są za życiem i nie strajkują. Zło

Fot. Andrzej Wiktor, Archiwum prywatne (8)

eprasa.pl 309770cdcb

Agata Pniewska i Maria Noculak, dziennikarki Radia Warszawa

Katarzyna Laskowska, śpiewaczka operowa

imieniu

jest głośne i dlatego mamy wrażenie, że dominuje. Dobro jest ciche i mniej atrakcyjne dla mediów, dlatego się wydaje, że jest go mniej. Ale tak nie jest. Akcją #niewnaszymimieniu chcemy wesprzeć te ciche, mądre, wrażliwe, kibicujące dobru kobiety i jednocześnie powiedzieć, że uliczni awanturnicy nas nie reprezentują.

Protesty zwolenników aborcji są #niewnaszymimieniu, ponieważ:

1. Są skierowane przeciw życiu

W uzasadnieniu wyroku Trybunału Konstytucyjnego czytamy, że człowiek od momentu poczęcia ma prawo do życia, a każde życie ma taką samą wartość. Zgadzamy się z tym. Zdajemy sobie sprawę, że w życiu ludzkim zdarzają się trudności, choroby, scenariusze, których dramatyzmu nawet nie potrafimy sobie wyobrazić. Jednak gdy choruje już narodzone dziecko, rodzice nie postulują jego eutanazji, gdy zachoruje mąż czy żona, matka czy ojciec, nie próbujemy go dobić, tylko otaczamy troskliwą opieką. Choć to często wymaga od nas zmiany stylu życia i przyzwyczajeń, czasem może heroizmu. Nie prowadzimy jednak wówczas dyskusji, czy pozostawić bliskich przy życiu, czy ich go pozbawić, ponieważ człowiek nie ma

Dominika Chorosińska, posłanka

Zofia Klepacka, sportowiec

Katarzyna Supel-Zaboklicka, dziennikarka Radia Warszawa

eprasa.pl 309770cdcb

Magda Ogórek, dziennikarka TVP

Ewa Pietrzak, dziennikarka Radia Warszawa

Weronika Kostrzewa, szefowa publicystyki Radia Plus

Edyta Hołdyńska, dziennikarka telewizji wPolsce.pl

prawa pozbawić życia drugiego. W ulicznych protestach nie chodzi jednak o to, by pomóc kobiecie w trudnej sytuacji, dać jej wsparcie. Chodzi o aborcję na życzenie, tak by unicestwienie życia poczętego było możliwe w każdych okolicznościach i w każdej sytuacji.

2. *Są antydemokratyczne*

Celem ludzi występujących pod auspicjami Strajku Kobiet jest obalenie demokratycznie wybranego rządu, co te osoby głośno wykrzykują podczas kolejnych manifestacji. Rozumiejąc niechęć do władzy, informujemy, że w demokratycznych państwach zmiana rządu dokonuje się przy urnie wyborczej, poprzez oddanie głosu, a nie w drodze rewolucji. Demokracja polega na tym, że decyduje większość głosujących i nawet jeśli duża grupa społeczeństwa pozostaje niezadowolona, to szanuje wolę większości i czeka na kolejne wybory.

3. *Są wulgarne*

Język, którym posługują się protestujący, jest skrajnie wulgarny i obsceniczny. Słuchając wykrzykiwanych haseł i czytając treści wypisane na transparentach, ma się wrażenie, że stojący za nimi ludzie reprezentują środowisko rynsztoka, ulicy, a nie interes jakiejś grupy społecznej. Wszechobecne bluzgi, które w żaden sposób nie skłaniają do dialogu, nie są językiem, w jakim chcemy się komunikować z otoczeniem. To nie jest język, którym chcemy, by mówiły nasze dzieci.

4. *Są agresywne*

Trudno nie odnieść wrażenia, że podczas trzech miesięcy – od wydania wyroku do wydania uzasadnienia – wśród protestujących doszło do radykalizacji postaw. Na ulicy zostały środowiska najbardziej agresywne, wulgarne i wręcz ekstremistyczne. Podczas protestów dochodzi do podżegania do agresji (np. wobec dziennikarzy, rządzących). Uczestnicy manifestacji zieją nienawiścią wobec katolików, Kościoła, obozu władzy i wszystkich, którzy się z nimi nie zgadzają, odbierając innym prawo głosu. Czasem trudno się oprzeć wrażeniu, że chodzi wręcz o eutanazję wszystkich, którzy myślą inaczej niż protestujący.

5. *Są antyrodzinne*

Organizatorki marszów wielokrotnie przyznawały publicznie, że nie mają ani nie chcą mieć dzieci, a nawet, że dzieci nie lubią. Publicznie deklarując homoseksualizm, nie planują pewnie zakładania tradycyjnie rozumianej rodziny. Trudno się więc dziwić, że nie rozumieją, czym jest rodzina ani jak ważna jest dla prawidłowego rozwoju dziecka. Stąd pewnie postulaty, by odbierać rodzicom prawo do wychowania dzieci, plany wyciągania dzieci spod kurateli rodziców i zapowiedź pośredniczenia w tym procederze. To czysty zamach na tradycyjną rodzinę.

6. *Posługują się kłamstwem*

Podczas protestów zwolenników aborcji permanentnie dochodzi do wypaczania i odwracania znaczeń. Ludzie, którzy są przeciw życiu, którzy są za zabijaniem dzieci chorych, nazistami i faszystami nazywają tych, którzy życia bronią. Mówi

eprasa.pl 309770cdcb

Marzena Nykiel, redaktor naczelna portalu wPolityce.pl

Magdalena Korzekwa-Kaliszuk, publicystyka

Marta Piasecka, dziennikarka TVP Info

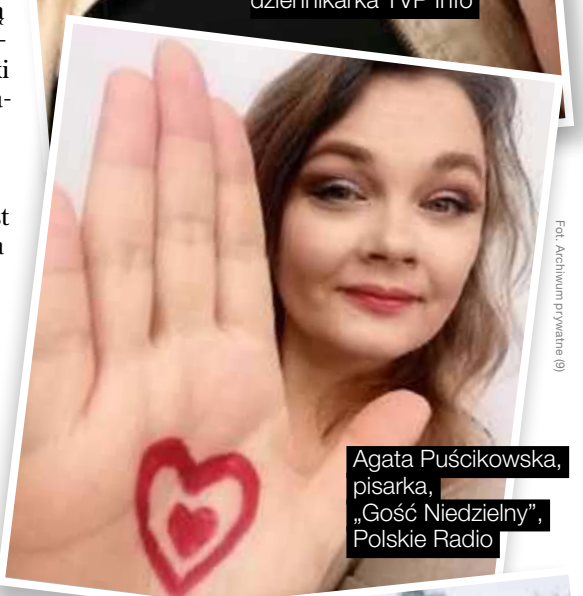
Agata Puścikowska, pisarka, „Gość Niedzielny", Polskie Radio

Fot. Archiwum prywatne (9)

Anna Maria Siarkowska, polityk

się o opresji matki, a co z opresją dziecka? Mówi się o prawie do decydowania o własnym ciele, ale to o ciało drugiego człowieka w istocie chodzi. Mówi się o prawach człowieka, ale nigdzie nie zapisano, że aborcja należy do katalogu praw człowieka. Poza tym: co z prawem do życia tego najmniejszego człowieka?

7. Uderzają w niepełnosprawnych

Chore dzieci oraz niepełnosprawni dorośli, którzy mogą mijać demonstrujących bądź śledzą przekaz medialny, dostają komunikat: jesteś niepotrzebny, nie chcemy cię, lepiej, żebyś się nigdy nie narodził. Organizatorzy protestów nie wiedzą, jak wielkie cierpienie sprawiają tym ludziom. Na pewno nie wiedzą też, ile radości i miłości mają w sobie dzieci z zespołem Downa.

8. Biorą w nich udział mężczyźni

Na protestach pojawiają się osoby, które twierdzą, że mają macicę, ale nie są kobietami, oraz mężczyźni, którzy uliczne strajk wspierają. Już sam ten fakt każe sądzić, że nie mamy do czynienia z „protestami kobiet", tylko protestami zwolenników aborcji. Prawdziwy mężczyzna wspiera swoją partnerkę w trudnych życiowych sytuacjach, nie zachęca jej do aborcji. Trudno się oprzeć wrażeniu, że wielu mężczyzn wychodzi na ulice we własnym interesie, by nie „musieć się martwić", „uwolnić się od odpowiedzialności".

9. Promują zło

Trudno się oprzeć wrażeniu, że protesty zwolenników aborcji to czysta promocja zła. Widok małych dzieci skandujących hasła, że aborcja jest OK, stawia włosy na głowie i mrozi krew w żyłach. Dzieci, które dziś krzyczą na ulicach, że popierają aborcję, za kilkadziesiąt lat nie zobaczą nic złego w eutanazji. Ataki na kościoły i katolików są tak zajadłe, jak nie były w czasach PRL.

10. Są antykobiece

Podczas protestów promowany jest permisywizm seksualny, który ma zastąpić miłość, odpowiedzialność, wzajemny szacunek. Obraz kobiety rozwiązłej, która szuka tylko okazji do współżycia, bez refleksji, bez emocji, bez potrzeby bezpieczeństwa, jest daleki od prawdziwego obrazu kobiety, która chce szczęśliwej rodziny i godnego zaufania partnera u boku. Protestujące często używają hasła: „Jesteś przeciw aborcji, to jej sobie nie rób". Idąc tym tokiem myślenia, można powiedzieć: „Nie chcesz mieć dziecka, to go sobie nie rób – zabezpiecz się".

* * *

Od dziś rusza nasz redakcyjny mail pod adresem: **niewmoimimieniu@fratria.pl.**

Zachęcamy do wsparcia naszej akcji i podpisania się pod manifestem #niewnaszymimieniu. Można to również zrobić za pośrednictwem naszych mediów społecznościowych lub tradycyjnie drogą pocztową. Stwórzmy długą listę nazwisk za życiem.

Dorota Łosiewicz

eprasa.pl 309770cdcb

Wytrzymajmy jeszcze

Epidemia nauczyła mnie ostrożności w prognozowaniu, ale mam ogromną nadzieję i pewne przesłanki, żeby sądzić, iż jesteśmy bliżej końca

Michał Karnowski rozmawia z premierem Mateuszem Morawieckim

Na jakim etapie walki z epidemią i jej skutkami jesteśmy? Jak daleko do końca? Jak pan premier to widzi, mając przecież więcej danych niż większość z nas?

Mateusz Morawiecki: Mam ogromną nadzieję i pewne przesłanki, żeby sądzić, iż jesteśmy bliżej końca, w szczególności dzięki programowi szczepień. Tutaj jesteśmy uzależnieni od tempa dostaw dawek, ale to, co było do zrobienia z naszej strony, jest gotowe. Przygotowaliśmy mechanizm, który pozwala szczepić kilkaset tysięcy osób dziennie.

Dziennie?

Tak, dziennie. Mamy 6 tys. punktów szczepień, statystycznie w każdym z nich możemy zaszczepić 60 osób. Mnożąc to przez 30 dni w miesiącu, otrzymujemy tę liczbę: możliwość zaszczepienia ponad 10 mln osób miesięcznie. Czekamy zatem niecierpliwie na dostawy szczepionek, bo od tego zależy precyzyjna odpowiedź na pana pytanie, kiedy się to wszystko wreszcie skończy. Bardzo bym chciał, żeby jak najszybciej, ale też epidemia nauczyła mnie jednego: miej nadzieję na lepsze, ale szykuj się też na najgorsze. Teraz też mamy niepokojące doniesienia o bardziej złośliwych mutacjach wirusa. Na szczęście obecne szczepionki są skuteczne także wobec nich.

Czyli stwierdzenie, że to ostatnia prosta, byłoby przesadą, ale powiedzenie: wytrzymajmy jeszcze trochę, bo być może koniec jest blisko, już tak?

To dobre ujęcie. Stąd mój apel: drodzy państwo, wytrzymajmy jeszcze trochę. Za kilka tygodni, może parę miesięcy, powinno być lepiej. Choć niestety nie można wykluczyć, że echa tej trzeciej fali – proszę popatrzeć, co dzieje się w Portugalii, Hiszpanii, Wielkiej Brytanii – dotrą i do nas. Dlatego mimo nieco lepszych danych epidemicznych nadal uważnie patrzymy na wiele parametrów i przyglądamy się, co można otworzyć, a co jeszcze musi pozostać w zamrożeniu. Miałem

eprasa.pl 309770cdcb

trochę

Fot. KPRM

niedawno długą dyskusję z doradczą Radą Medyczną na ten temat. Będziemy oczywiście dostosowywać tempo zmian do tego, co dzieje się u nas, ale także patrzymy na otoczenie międzynarodowe.

Nie można szybciej otwierać? Trochę zaryzykować?

Odpuszczenie może skutkować bardzo niebezpiecznymi efektami. Jeśli dane epidemiczne nagle by się pogorszyły, mogłoby się okazać, że będziemy musieli znowu dokonywać jakiś głębszych zamknięć gospodarki w marcu. Staramy się zatem ostrożnie podejmować te decyzje, a tym najbardziej poszkodowanym branżom dostarczać już dzisiaj pomoc finansową. W przyszłości zaś nie tylko rybę, ale i wędkę, używając znanej wszystkim metafory.

Wykorzystując frustrację społeczną, opozycja prowadzi krytykę rządu dwiema równoległymi ścieżkami. Z jednej strony podsyca niepokój zamkniętych branż, sugerując, że to nie jest konieczne, z drugiej krytykuje opóźnienia w dostawach szczepionek. Z dzisiejszego punktu widzenia wejście we wspólny unijny mechanizm zakupów szczepionek było słuszne?

Przypomnę, że wszyscy w Unii Europejskiej kilka miesięcy temu umówiliśmy się, że będziemy w sposób solidarny dokonywali tych zakupów. Co by się działo, gdybyśmy wtedy, a nawet 10 dni temu, wyłamali się z tego mechanizmu? Gdybyśmy powiedzieli: my kupujemy sobie szczepionki sami, co dziś podpowiada opozycja? Jestem przekonany, że zwaliłaby się na nasze głowy lawina oskarżeń, że łamiemy solidarność europejską. Zgodzi się pan?

Bez wątpienia tak by było.

Właśnie. A dzisiaj słyszymy z nagła głosy odwrotne. Starzy polityczni wyjadacze dowodzą, że oni wiedzą, iż szczepionki można sobie kupić samemu na świecie. Nie wiem, czy chcą nas przekonywać do szczepionki Sputnik czy innej. Ja codziennie przynaglam Komisję Europejską, rozmawiam z innymi przywódcami UE, żeby nie odpuszczać producentom. Także Grupa Wyszehradzka bardzo mocno dopinguje instytucje brukselskie, żeby nie odpuszczać, żeby te szczepionki do nas jak najszybciej dotarły. Mam nadzieję, że to chwilowe problemy. Najważniejsze, że jesteśmy gotowi na masowe szczepienia i one ruszą, jak tylko dotrą dostawy. Dzisiaj jest już zaszczepionych 94 proc. lekarzy, 80 proc. mieszkańców rezydentów domów pomocy społecznej. Co ważne, kiedy byliśmy namawiani, żeby nie trzymać tej drugiej dawki i od razu podawać całość, nie ulegliśmy. Ten bezpieczny sposób podejścia sprawił, że nie zmarnowaliśmy kilkuset tysięcy dawek.

Czy nasza gospodarka wytrzymuje te napięcia? Opozycja sufluje Polakom, że za chwilę zbankrutujemy.

Gdyby to brać na serio, to my właściwie co roku powinniśmy bankrutować. A tak naprawdę to zbankrutowała jedynie ich neoliberalna polityka gospodarcza. Cały kłopot w tym, że oni naszą politykę finansową, nasze podejście do finansów publicznych, inwestycji i spraw społecznych mierzą swoją miarą.

Prywatyzacja i wyprzedaż jako generalna recepta?

Nie rozumieją, że na sprawy gospodarcze trzeba patrzeć w sposób całościowy, bo to jest mechanizm naczyń połączonych. My wiedzieliśmy, że gdy uderzyła epidemia, trzeba było natychmiast ratować przedsiębiorstwa, bo to jednocześnie jest ratowanie miejsc pracy, dostępu do rynków zbytu. Dziś słuszność tych kroków potwierdzają dane gospodarcze. Mogę panu ujawnić, że deficyt budżetowy za cały rok ubiegły będzie o ok. 25 mld zł niższy niż zaplanowany w znowelizowanej ustawie budżetowej. To świadczy o pewnym zdrowiu finansów publicznych. Także płytkość tej recesji w zeszłym roku zaskoczyła bardzo wielu obserwatorów i jest dobrym prognostykiem na obecny. Już wiemy, że w czwartym kwartale tego roku mamy szansę przebić okres gospodarczy sprzed pandemii. Niektóre kraje cofną się o 11, o dwadzieścia parę lat, nawet w Europie znajdą się kraje, które będą przez dekadę albo i dłużej goniły wzrost gospodarczy z roku 2019.

Czyli recesji w tym roku mieć nie będziemy? To tak można rozumieć?

Nie tylko recesji nie będziemy mieć, ale będzie to silne odbicie gospodarcze, myślę, że co najmniej w okolicach 4 proc. A dzięki środkom z Nowego Ładu, z krajowego programu odbudowy, w którym zawrzemy pieniądze wywalczone na szczycie europejskim w grudniu, ten wzrost w najbliższych kilku latach będzie bardzo, bardzo korzystny.

Panie premierze, padło tutaj sformułowanie „Nowy Ład". Proszę powiedzieć, co się za tym kryje? Nazwa to oczywiste nawiązanie do polityki prezydenta Roosevelta, który przebudowując ład gospodarczy i społeczny w latach 30. ubiegłego wieku, wyciągnął Stany Zjednoczone z Wielkiego Kryzysu.

eprasa.pl 309770cdcb

Z historii wiemy, że po wielkich załamaniach potrzebny jest mocny pomysł, jak ruszyć do przodu. To jest ten moment. Dziś Europa i świat przechodzą największy gospodarczy kryzys od II wojny światowej. Taka jest w każdym razie perspektywa większości państw Zachodu, bo my akurat po drodze mieliśmy okres marnotrawstwa, złodziejstwa, zależności od ZSRR aż do 1989 r. Jednak na pewno dla nas również od 30 lat jest to największe wyzwanie gospodarcze. Gdzie leży istota sprawy? Otóż obecnie przedsiębiorcy mają bardzo duży problem z inwestowaniem, ponieważ boją się tego, co będzie się działo, mają bardzo wiele znaków zapytania wokół siebie, i to w większości branż. Za nami pierwszy etap fali – te firmy w zdecydowanej większości przetrwały.

A wiadomo, że wiedza i umiejętności firm są dziś w gospodarce najcenniejsze. Raz utracone niezwykle trudno odtworzyć.

Tak, to łatwo zgubić, a bardzo długo się odbudowuje. Musimy to nadal chronić, ale i ruszyć do przodu. Musimy widzieć zachodzące zmiany: ludzie inaczej będą podchodzić do handlu, do produkcji, do kontaktów międzyludzkich, postępuje cyfryzacja wielu dziedzin. W ramach Nowego Ładu chcemy sprawić, żeby gospodarka polska była jak najlepiej przygotowana do tego nowego, do tego, co nastąpi. Ale też chcemy, żeby w momencie niepewności, gdy inwestorzy będą czekać z decyzjami, weszło aktywnie państwo, samorządy, środki budżetu państwa polskiego i europejskie. Niestety te europejskie wejdą nieco później, bo tam machina rozpędza się wolniej, ale tym bardziej trzeba polskich inwestycji, mądrych, dobrych inwestycji w rozwój, w naukę, w infrastrukturę, w ochronę zdrowia.

To dla przedsiębiorców? Czy Nowy Ład będzie też ofertą dla Polaków?

Jak najbardziej, to przede wszystkim ma być dla obywateli, dla ludzi, dla pracowników. Kiedy pracownicy mogą z powrotem liczyć na wzrost wynagrodzeń, na zwiększenie liczby miejsc pracy? No właśnie wtedy, kiedy przyciągniemy nowe inwestycje, kiedy stworzymy nowe warunki dla inwestycji. Ale będą tam także propozycje w obszarze podatkowym, w obszarze cyfryzacji, edukacji, ochrony zdrowia czy kultury.

> Te demonstracje, zwłaszcza jesienne, w wielu miejscach w Polsce charakteryzowały się bardzo prowokacyjnym charakterem. Dochodziło do aktów wandalizmu. Teraz było spokojniej. Uważam, że jak na skalę i na bardzo dużą różnorodność tych wydarzeń, reakcje policji są właściwe i cieszę się z tego wyważenia

To jest moment, w którym pewne rzeczy można, potocznie mówiąc, posprzątać? Może trzeba na pewne obszary spojrzeć od nowa po 30 latach? Kto ile płaci podatków, czy są grupy uprzywilejowane albo dyskryminowane?

Tak właśnie na to też popatrzyliśmy i pewne propozycje w tym zakresie też się znajdą.

Portal wPolityce.pl podał informację o planach wprowadzenia solidarnościowego podatku od mediów. Niektóre z tych koncernów setki milionów wywożą z Polski z minimalnym opodatkowaniem. Czy pan premier może potwierdzić, że jest plan wprowadzenia takiego podatku?

Tak, to jest przygotowywane, znajduje się już w procesie przedlegislacyjnym. Ale to nie jest niczym nowym, to jest sprawa, na którą w UE umówiliśmy się już jakiś czas temu. To jest coś, co było nazywane podatkiem cyfrowym dla części internetu. Swoją drogą, niektóre wielkie platformy zachowują się dzisiaj jak cenzura w czasach PRL. Zamknąć konto prezydentowi USA, to jest jednak coś niebywałego.

Wracając do pańskiego pytania, to dziś mamy do czynienia z ogromną nierównowagą. Globalne korporacje medialne dominują i mogą jeszcze bardziej dominować poprzez swoją siłę kapitałową i ta – jak pan nazwał – opłata solidarnościowa ma służyć właśnie temu, żeby zapobiegać reklamom produktów niekoniecznie służących ludziom, czyli okładać je większą daniną, a z drugiej strony tworzyć lepsze warunki do rozwoju dla wolnych mediów. Przy czym chcę tu też podkreślić, że jest to coś, co w UE bardzo wiele krajów już wdrożyło. Inne to planują.

Jeśli już o mediach, to jak pan premier przyjął zakup przez PKN Orlen wydawnictwa Polska Press? I też pytanie, jak pan patrzy na ten cały proces budowy dużego koncernu międzynarodowego, który laureat tegorocznej nagrody, tytułu Człowiek Wolności tygodnika „Sieci" za rok 2020, prowadzi. Czy to jest zgodne z pana intencjami? Jarosław Kaczyński, prezes Prawa i Sprawiedliwości, powiedział mi w ostatnim wywiadzie, że zakup Polska Press przez Orlen to jedna z najlepszych informacji ostatnich lat.

Dla mnie to też bardzo dobra informacja. Media nie powinny, zwłaszcza w takim zakresie jak to jest w Polsce, należeć do właścicieli zagranicznych, bo mają ogromne znaczenie dla kształtowania opinii publicznej. Można powiedzieć tak: powiedz mi, kim jest właściciel kapitału stojący za mediami, to powiem ci – mówię do hipotetycznego rozmówcy – jakie będzie reprezentował poglądy. I to się zgadza.

Młodzi dziennikarze w to nie wierzą, ale po pewnym czasie rozumieją, że tak właśnie jest.

eprasa.pl 309770cdcb

Tak, po pewnych doświadczeniach to staje się jasne. Przejęcie Polska Press wpisuje się też w całą strategię koncernu PKN Orlen, który idzie w kierunku rozbudowy sieci sprzedaży detalicznej, wcześniej przejął przecież Ruch. A więc bardzo cieszę się zarówno z tej transakcji, jak i z tego, że firma Orlen patrzy na ten nowy świat po epidemii w sposób ambitny, jednocześnie nie zapominając o swoich zasadniczych kompetencjach, czyli o budowie koncernu multienergetycznego.

Niektóre media rysują wizję konfliktu między panem a prezesem Danielem Obajtkiem. Jak pan na to odpowie?

Media lubią rysować różne osi konfliktu i linie podziałów, od tego pewnie też są. Podchodzę do tego z uśmiechem. Z prezesem Obajtkiem bardzo blisko współpracujemy w wielu tematach i cieszę się, że mamy tak sprawnego menedżera.

Panie premierze, zmieniając temat: za nami kolejna seria, wyraźnie już mniejszych, demonstracji ulicznych po wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie ochrony życia. Uważa pan, że jest szansa na uspokojenie emocji?

Przede wszystkim wyrok zapadł w oparciu o polską konstytucję, napisaną przecież nie przez prawicę, ale panów Kwaśniewskiego, Cimoszewicza, Mazowieckiego. Jeśli ktoś polską konstytucję naprawdę czyta, to wie, iż wyrok nie mógł być inny. Potwierdzają to także poprzedni prezesi TK, w tym kierunku szło orzecznictwo także za ich czasów. Znamy już pisemne uzasadnienie i widzimy, że pewne obawy były dalece przedwczesne. Wiemy, że w przypadku zagrożenia zdrowia i życia kobiety przerwanie ciąży nadal jest dopuszczalne. Ale też chciałbym zwrócić uwagę na to, że musimy pomagać kobietom jeszcze więcej i stąd nasz program, który przygotowała pani minister Marlena Maląg, program, który ma wspierać kobiety, które w tej trudnej sytuacji chcą się jednak zdecydować na urodzenie dziecka.

Program „Za życiem"?

Tak, ale będą też rozwijane i wspomagane hospicja perinatalne. W tych sprawach potrzebna jest wrażliwość, dyskusja, dialog, ponieważ naprawdę trzeba rozumieć kobiety, które mają obawy, które się boją. Podkreślam raz jeszcze: na pewno uzasadnienie tego wyroku, które zostało opublikowane, rozwiewa pewne wątpliwości, utrudnia politycznie motywowane rozgrzewanie tematu. Mam zatem nadzieję, że nastąpi uspokojenie sytuacji.

> Mamy 6 tys. punktów szczepień, statystycznie w każdym z nich możemy zaszczepić 60 osób. Mnożąc to przez 30 dni w miesiącu, otrzymujemy tę liczbę: możliwość zaszczepienia ponad 10 mln osób miesięcznie. Czekamy zatem niecierpliwie na dostawy szczepionek

A przyglądał się pan premier tym demonstracjom także pod tym kątem, czy policja reaguje właściwie?

Te demonstracje, zwłaszcza jesienne, w wielu miejscach w Polsce charakteryzowały się bardzo prowokacyjnym charakterem. Dochodziło do aktów wandalizmu. Teraz było spokojniej. Uważam, że jak na skalę i na bardzo dużą różnorodność tych wydarzeń, reakcje policji są właściwe i cieszę się z tego wyważenia. Osobom, które zarzucają brutalność postępowania policji, radziłbym się przyjrzeć, jak działa policja francuska, hiszpańska, belgijska czy amerykańska.

Na koniec wróćmy do polityki. Czy pan zakłada jakieś zmiany wewnątrz Rady Ministrów? Epidemia była przecież testem sprawności.

Wszyscy jako politycy jesteśmy stale poddawani testowi, przede wszystkim społecznemu, ale też testom politycznym. Generalnie rozdział pt. „Rekonstrukcja" przeszliśmy latem zeszłego roku i nie chciałbym za szybko wracać do tego ponownie. Ale oczywiście każdy z nas stale podlega ocenom.

Według pana premiera Zjednoczona Prawica może wygrać wybory w 2023 r.?

Uważam, że jest szansa nie tylko na tę jedną kadencję, ale na kolejne, przy czym trzeba oczywiście wsłuchać się w ton, w problemy, które płyną do nas od społeczeństwa. Nowy Ład ma być taką odpowiedzią i liczę, że lata 2022 i 2023 będą dla wszystkich czasem rozwoju. Będziemy się wsłuchiwać w głosy Polaków, w ich potrzeby, w ich oczekiwania, w obawy społeczne. Będziemy się starali na nie w najlepszy możliwy sposób odpowiedzieć. Nie chwaląc się, pokazaliśmy w poprzednich latach, że potrafimy zarządzać finansami publicznymi, przeznaczyć ogromną część środków na politykę społeczną i jednocześnie wykazać w budżecie niski deficyt. To świadczy o jakości zarządzania.

To wszystko zgoda, tylko zawsze jest pytanie, czy ktoś nie nałoży na to jakichś emocji, podziałów światopoglądowych i tym wygra wybory.

Oczywiście, dlatego powiedziałem o wsłuchiwaniu się w głos społeczeństwa, bo bronimy oczywiście wartości, tradycji, kultury polskiej, ale świat się zmienia. To nie jest Polska XIX- czy XX-wieczna. W XXI w. musimy odpowiedzieć na wyzwania XXI w. Chcemy kultywować i krzewić wolność, nie odrzucamy odwagi w podejmowaniu nowych wyzwań, nawet czasami w eksperymentowaniu. To wszystko będzie częścią Nowego Ładu.

Współpraca Mateusz Majewski

Zapis rozmowy przeprowadzonej dla telewizji wPolsce.pl

eprasa.pl 309770cdcb

Upadek uniwersytetu

Bez odbudowy uniwersytetu i przywrócenia pełnej wolności badań Polska przegra w międzynarodowej konkurencji i cywilizacyjnym wyścigu

STANISŁAW JANECKI

Co ma największy wpływ na jakość życia i demokracji w Polsce (i wszędzie indziej)? Edukacja i nauka. Zła edukacja fatalnie wpływa na poziom nauki, zła nauka degraduje i degeneruje edukację i samą siebie. Od czasu gdy prawie każda uczelnia nazywa się uniwersytetem (od łacińskiego: universitas magistrorum et scholarium), jest w tych placówkach coraz mniej tego, co stanowi istotę uniwersytetu. A istota to badania, systematyzowanie wiedzy, przekazywanie jej na możliwie najwyższym poziomie, kształcenie i reprodukcja elit, podnoszenie poziomu wiedzy w społeczeństwie, a przez to podejmowanie przez obywateli optymalnych wyborów i wnoszenie wartościowego wkładu do wspólnoty.

Nową i obowiązującą w wielu uczelniach definicję uniwersytetu podali jesienią 2020 r. „akademicy i akademiczki z Uniwersytetu Szczecińskiego", broniąc swojej prof. Ingi Iwasiów, ekscytującej się pojęciami „je...ać" i „wyp...ać". To dość powszechna obecnie wśród profesury fascynacja, demonstrowana całkiem niedawno m.in. także przez prof. Ewę Graczyk z Uniwersytetu Gdańskiego. Otóż uniwersytet tworzy „wyrazisty potencjał emancypacyjny, przejawiający się w podwójnym ruchu: od akademii do aktywizmu, i odwrotnie". Tyle że uniwersytet niczego takiego nie tworzy ani nie powinien, a jeśli to robi, staje się naukową wydmuszką i forum ideologicznych oraz kulturowych wojenek. To, co się działo na uniwersytetach jesienią 2020 r. i na początku 2021 r., dowodzi, że bardzo zaawansowany jest proces upadku uniwersytetu. Mimo reformy Jarosława Gowina (wdrażanej od 1 października 2018 r.). Zmiany zapowiadane przez ministra Przemysława Czarnka też mogą nie być efektywne. Nie z powodu niedostatecznej skali, głębokości czy podstawowych celów, lecz tego, jak bardzo uniwersytety się w ostatnich latach zepsuły.

EMANCYPACJA ZAMIAST BADAŃ

Na początek trzeba przyjąć do wiadomości, że w międzynarodowej konkurencji polskie uczelnie się nie liczą. W tzw. rankingu szanghajskim za 2020 r. mamy taki oto „dorobek" najlepszych polskich uczelni: Uniwersytet Warszawski – miejsce 301.–400., Uniwersytet Jagielloński – 401.–500., Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie – 701.–800., Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu – 801.–900., Politechnika Gdańska – 801.–900., Politechnika Warszawska – 801.–900., Śląski Uniwersytet Medyczny – 901.–1000., Warszawski Uniwersytet Medyczny – 901.–1000. W innych rankingach jest nawet gorzej. Także z tego powodu, że uniwersytety zbytnio się zajmują „emancypacją", a coraz mniej badaniami i przekazywaniem wartościowej wiedzy. Liczba czysto ideologicznych listów otwartych, stanowisk, opinii (często udających ekspertyzy) i apeli autorstwa przedstawicieli wydziałów, instytutów, specjalności czy po prostu grup naukowców dalece przekracza liczbę wartościowych publikacji naukowych. Ich język w dużym stopniu psuje jakość debaty publicznej, dając zły przykład tym, którzy akademików uważają za autorytety. A ataki personalne na instytucje państwa podważają kwalifikacje moralne sygnatariuszy. Liczba wartościowych prac w naukach społecznych stanowi ekstremalnie mały odsetek (liczony w promilach) liczby bezwartościowych listów, stanowisk, opinii i apeli.

Wygląda to tym gorzej, że owe listy, apele, opinie i stanowiska są interdyscyplinarne, gdy chodzi o sygnatariuszy, choć wielu z nich nie ma pojęcia, czego dotyczą sprawy będące pretekstem do tej specyficznej „produkcji". To tym bardziej kompromituje naukowców jako ludzi, którzy powinni demonstrować swoje kompetencje, a nie niekompetencję. Nie ma takiego głupstwa, którego nie sygnowaliby swoimi podpisami utytułowani formalnie polscy naukowcy. I wprawdzie nie ma to bezpośredniego wpływu na przedmiot ich badań (z nauczaniem jest już różnie), ale ma wpływ na to, jak są postrzegani (a przez to jakość ich wykładów i ćwiczeń), skoro pozwalają sobie na tak częste kompromitacje.

UCIECZKA OD WOLNOŚCI

Tym, co wyjątkowo obciąża i rujnuje wizerunek uniwersytetu, jest ograniczanie wolności słowa i badań, choć powinien być on filarem w tych dziedzinach. Pierwszy drastyczny przykład w Polsce po 1989 r. mieliśmy w 2009 r., gdy ówczesna minister nauki Barbara Kudrycka zleciła kontrolę na Wydziale Historii UJ. Powodem było

eprasa.pl 309770cdcb

opublikowanie książki (na podstawie pracy magisterskiej obronionej na tym wydziale) Pawła Zyzaka „Lech Wałęsa. Idea i historia". Wadą pracy magisterskiej była zasadniczo nieprawomyślność. Ówczesny premier Donald Tusk stwierdził wtedy: „Nikt nie ma prawa zatruwać życia publicznego za pieniądze podatnika". Trucizną była praca magisterska Zyzaka przygotowana na państwowej uczelni (pieniądze podatnika). Kryterium – subiektywna ocena wpływu na życie publiczne. Argumenty z najgorszych czasów stalinowskich i gomułkowskich.

Ale typowe, uniwersytet od co najmniej kilkunastu lat coraz bardziej zajmuje się bowiem „emancypacją" w wersji od marksistowskiej do genderowej, po drodze z naciskiem na zwalczanie rasizmu, antysemityzmu, ksenofobii, homofobii (ostatnio transfobii), nacjonalizmu, wszelkich form dyskryminacji, dominacji, wyzysku. A coraz mniej uniwersytet zajmuje się nauką i nauczaniem. I to wszystko, co się wiąże z „postępem", jest pod szczególną ochroną uniwersytetu. A nawet działa tu system swego rodzaju punktów za pochodzenie, czyli znacznie łatwiej jest zrobić karierę naukową w dziedzinach nazywanych „modnymi bzdurami" – jak to ujęli Alan Sokal i Jean Bricmont. Wystarczy prześledzić karierę naukową Rafała Pankowskiego czy Agnieszki Graff-Osser. „Modne bzdury" nie tylko są premiowane, lecz znajdują się pod specjalną ochroną: zawsze jest miejsce na uniwersytecie na konferencje, wykłady czy spotkania naukowców związanych z „modnymi bzdurami" i zawsze napiętnowani są ci, którzy kwestionują naukowość tych dziedzin oraz „badań", a nawet tylko ironizują na ich temat. To przypomina „przymusową" obecność na uniwersytetach oraz uprzywilejowanie w czasach PRL marksizmu i jego pseudonaukowych form, czyli naukowego komunizmu oraz naukowego socjalizmu. Zjawisko wypychania z uniwersytetu z powodu niepoprawności nie dotyczy tylko Polski, o czym przekonał się prof. Ryszard Legutko, filozof z UJ. W kwietniu 2019 r. władze amerykańskiej uczelni Middlebury College odwołały, po donosie studentów, jego wykład nie informując zainteresowanego, choć dostał od tych władz oficjalne zaproszenie.

Zawężanie sfery wolności nauki (i słowa) ma taką postać, jak w wypadku socjolog dr hab. Ewy Budzyńskiej. Na Uniwersytecie Śląskim prowadziła ona m.in. zajęcia „Międzypokoleniowe więzi w rodzinach światowych". Po zajęciach na temat rodziny w ujęciu chrześcijańskim (w grudniu 2019 r.) grupa studentów złożyła do władz uczelni donos na Ewę Budzyńską. Głównie za to, że nazywała istotę w prenatalnej fazie rozwoju dzieckiem oraz za taką definicję rodziny, jaka występuje w polskiej konstytucji. Na podstawie donosu wszczęto postępowanie wyjaśniające dotyczące, jak to ujęli studenci, „narzucania ideologii anti-choice, poglądów homofobicznych, antysemityzmu, dyskryminacji wyznaniowej, informacji niezgodnych ze współczesną wiedzą naukową oraz promowania poglądów radykalno-katolickich". Skarga i atmosfera, jaką wtedy rozpętano, przypomina donosy studentów z czasów stalinowskich, np. donos (z 27 marca 1950 r.) na prof. Władysława Tatarkiewicza za „przekroczenie granic krytyki filozofii proletariackiej", podpisany m.in. przez rodziców reżyser Agnieszki Holland. Prof. Tatarkiewicza odsunięto wtedy od zajęć będących „czysto politycznymi wystąpieniami o charakterze wyraźnie wrogim budującej socjalizm Polsce".

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 309770cdcb

Ewa Budzyńska odeszła sama, gdyż uznała, że postępowanie dyscyplinarne ubliżałoby jej godności. Poza tym, że nie miałoby nic wspólnego z wolnością badań naukowych. Jeszcze mniej wspólnego z wolnością badań ma przypadek prof. Aleksandra Nalaskowskiego, pedagoga z UMK w Toruniu. Został on zawieszony w prawach wykładowcy za felieton (w tygodniku „Sieci"). Nigdy nic nie spotkało natomiast w ich macierzystych uczelniach za bardzo brutalne, wręcz odmawiające człowieczeństwa ataki na elektorat PiS profesorów Jana Hartmana, Ireneusza Krzemińskiego czy Zbigniewa Mikołejkę. To, że uniwersytet stał się zakładnikiem lewicy w stopniu większym nawet niż w czasach PRL (poza okresem stalinowskim), jest niebywałe i skandaliczne.

RÓWNO I ŹLE

Wielu polskich naukowców ma pełną świadomość upadku uniwersytetu. I wskazuje przyczyny. Warto odnotować choćby list 16 naukowców ze stycznia 2019 r. do kolegów z uniwersytetów. Można tam przeczytać: „Znaczna część publikacji to prace, których nikt nie czyta i nie cytuje, mało jest także użytecznych patentów, a prace naukowców na ogół nie budzą zainteresowania gospodarki czy instytucji publicznych". Autorzy zauważają, że „nasze uniwersytety fatalnie wypadają w praktycznie wszystkich międzynarodowych rankingach, co przekłada się na małe zainteresowanie studiowaniem u nas zdolnych młodych ludzi zza granicy, a także zniechęca globalne koncerny do lokowania w Polsce centrów badawczo-rozwojowych". Ale jaki ma być uniwersytet, skoro nie jest realizowana nawet „podstawowa misja społeczna profesora", czyli „działanie na rzecz podnoszenia jakości badań, w tym stwarzanie najlepszych warunków pracy swoim młodszym kolegom i koleżankom oraz kształcenie swoich następców". Do tego dochodzą „plagiaty, mobbing i nepotyzm". Rację miał prof. Karol Modzelewski, gdy w 2015 r. pisał: „Za kryterium oceny polskich uczonych przyjęto także liczbę zdobytych grantów. To też jest symulator rynku, szczególnie szkodliwy i demoralizujący dla młodych uczonych. Powinni oni pisać oryginalne prace, a nie opasłe podania do ministerialnej lub brukselskiej biurokracji. Co ważniejsze, warunki konkursów grantowych wywierają przemożny wpływ na dobór problematyki badawczej, czyli na pytania wyznaczające kierunek naukowych poszukiwań. To groźne dla wolnej myśli w nauce".

Po 1989 r. powstało w Polsce wiele uczelni prywatnych i publicznych, ale po kilku latach, kiedy musiały być konkurencyjne, zaczęły równać w dół. Kształcenie uniwersyteckie zyskało wprawdzie masowy zasięg, ale jakość zaczęła spadać na łeb. Tzw. współczynnik skolaryzacji brutto, czyli wyrażony procentowo stosunek liczby wszystkich osób uczących się na poziomie akademickim do całej populacji osób będących w wieku nominalnie przypisanym temu poziomowi kształcenia (w wypadku szkolnictwa wyższego to 19–24 lata), w III RP wręcz wystrzelił w kosmos. O ile w roku akademickim 1990/1991 ten współczynnik wynosił 12,9 proc., o tyle w roku akademickim 2010/2011 osiągnął rekordowy poziom 53,8 proc. I nic dobrego z tego nie wynika. Kształcimy równo i dużo, tylko na fatalnym poziomie. Słusznie socjalista z przekonania, prof. Karol Modzelewski, apelował o „uratowanie elitarnego kształcenia uniwersyteckiego w najlepszych placówkach". Dlatego, że jeśli „walec równości przetoczy się po najlepszych polskich uniwersytetach, będziemy krajem wykonawców i podwykonawców, społeczeństwem pozbawionym kreatywności, więc niekonkurencyjnym". Ten walec wciąż się toczy. A sytuację pogarsza pandemia, sprawiająca, że nauczanie stało się całkowicie nieefektywne, nie mówiąc o tym, że to zdalne jest często prowadzone na żenująco niskim poziomie.

> Liczba czysto ideologicznych listów otwartych, stanowisk, opinii i apeli autorstwa przedstawicieli wydziałów, instytutów, specjalności czy po prostu grup naukowców dalece przekracza liczbę wartościowych publikacji naukowych

JAK W MIĘDZYWOJNIU

Nędza uniwersytetu jest tym drastyczniej widoczna, gdy porównamy obecny stan z tym, czym był uniwersytet w dwudziestoleciu międzywojennym. To na uczelniach II RP działał drugi obok Koła Wiedeńskiego najbardziej znaczący w Europie ośrodek twórczy w dziedzinie matematyki, logiki i filozofii, czyli tzw. szkoła lwowsko-warszawska. To ta szkoła wydała tak wybitnych uczonych światowej rangi jak: Kazimierz Twardowski, Stanisław Leśniewski, Jan Łukasiewicz, Alfred Tarski, Stefan Banach, Karol Borsuk, Stefan Kaczmarz, Kazimierz Kuratowski, Stefan Mazurkiewicz, Stanisław Mazur, Władysław Orlicz, Wacław Sierpiński, Hugo Steinhaus czy współtwórca bomby atomowej Stanisław Ulam. To w II RP Rudolf Weigl miał cenione na świecie osiągnięcia w badaniu chorób zakaźnych (wynalazł szczepionkę przeciw tyfusowi), Kazimierz Funk w badaniach nad witaminami, a Ludwik Hirszfeld w dziedzinie immunologii. To w II RP skonstruowano cenione na świecie samoloty z serii RWD, bombowce „Łoś" czy myśliwce PZL-P-24. To wtedy pod nadzorem Jerzego Rudlickiego rozpoczęto produkcję polskich samolotów pasażerskich. W II RP Marian Rejewski, Jerzy Różycki i Henryk Zygalski skonstruowali urządzenia do odczytywania niemieckich szyfrów wojskowych kodowanych przez Enigmę. To wtedy Jan Czochralski stworzył podstawy współczesnej elektroniki (układy scalone). Bez odbudowy uniwersytetu i przywrócenia pełnej wolności badań Polska przegra w międzynarodowej konkurencji i cywilizacyjnym wyścigu.

eprasa.pl 309770cdcb

Fot. Shutterstock

Nieznośna lekkość apostazji

Ludzie dokonują dziś apostazji, często nie mając świadomości religijnych skutków, jakie pociąga za sobą taka decyzja

GRZEGORZ GÓRNY

Niedawno na popularnym profilu na Facebooku „Kobiety Lewicy" pojawił się znamienny wpis: „Obrzydliwy skandal w jednej z łódzkich parafii!!! Ksiądz nie pozwolił zostać chrzestną naszej koleżance tylko dlatego, że dokonała dwa miesiące temu apostazji!!!!!!!!!!".

Powyższy wpis zdradza niezrozumienie tego, czym jest akt apostazji i jakie konsekwencje pociąga za sobą. Podobne niezrozumienie wykazała niedawno trójka oburzonych kandydatów do bierzmowania, od których proboszcz z Ropicy Polskiej koło Gorlic zażądał podpisania deklaracji, że nie popierają „tzw. Strajku Kobiet: postulatów i żądań sprzecznych z treścią i zasadami naszej katolickiej wiary". Niektórym trudno jest zrozumieć, że nie da się jednocześnie zjeść ciastko i mieć ciastko. Przystępować do bierzmowania i publicznie popierać aborcję. Porzucić Kościół katolicki, a potem jak gdyby nigdy nic chcieć być matką chrzestną.

EKSKOMUNIKA NA WŁASNE ŻYCZENIE

Warto zatem przypomnieć, czym jest apostazja, oznaczająca dobrowolne, świadome i całkowite odstępstwo ochrzczonego od wiary. Taki akt od początku istnienia chrześcijaństwa był uważany za najcięższe przestępstwo kościelne i za grzech śmiertelny. Oznaczał zerwanie łączności z Kościołem i automatycznie pociągał za sobą ekskomunikę. Można więc powiedzieć, że apostazja to ekskomunika (czyli całkowite odłączenie od Kościoła) na własne życzenie. Ten, kto decyduje się na taki krok, musi wiedzieć, że od tej pory nie może przystępować do

eprasa.pl 309770cdcb

sakramentów, być rodzicem chrzestnym lub świadkiem na ślubie kościelnym, mieć katolickiego pochówku etc.

Niektóre z osób dokonujących apostazji mówią, że chcą przez to unieważnić akt swojego chrztu. Zgodnie z doktryną katolicką jest to jednak niemożliwe, ponieważ duchowe znamię tego sakramentu pozostaje nieusuwalne. Tak więc katolik, nawet gdy porzuca wiarę i publicznie jej się wyrzeka, nadal pozostaje osobą mającą status ochrzczonej.

Prawo kanoniczne przewiduje trzy powody wystąpienia z Kościoła. Pierwszym jest herezja, czyli nieuznawanie prawd wiary oraz uporczywe i publiczne obstawanie przeciwko nim, drugim – schizma, czyli odrzucenie autorytetu i władzy papieża oraz biskupów, połączone najczęściej z przyłączeniem się do innej wspólnoty chrześcijańskiej, w końcu trzecim – apostazja. Niegdyś o odstępstwie decydowały względy czysto religijne, np. niewiara w dogmaty katolickie. Taka była np. motywacja prof. Jana Baudouina de Courtenay, językoznawcy z Uniwersytetu Warszawskiego, który w 1927 r. poprosił o „urzędowe wystąpienie z Kościoła".

IDEOLOGICZNE TŁO APOSTAZJI

Obecnie argumentacja stricte religijna należy do rzadkości. Tak było w przypadku ks. Tomasza Węcławskiego, dziś noszącego nazwisko Polak – rektora seminarium duchownego w Poznaniu i członka Międzynarodowej Komisji Teologicznej w Rzymie, który porzucił Kościół w 2008 r. Decyzja o apostazji była dlań logicznym skutkiem jego drogi duchowej, podczas której stracił wiarę w Jezusa jako Boga. Tym poglądom pozostaje wierny do dziś, przedstawiając je konsekwentnie w swoich kolejnych pracach.

Obecnie powody odchodzenia od Kościoła mają głównie charakter polityczny lub ideologiczny. Ludzie w Polsce dokonują apostazji nie z przyczyn czysto religijnych, ale dlatego że nie podoba im się np. stosunek Kościoła do aborcji czy homoseksualizmu albo zjawisko pedofilii wśród księży. Niekiedy mają żal do konkretnego kapłana, że doznali od niego krzywdy. Zdarza się, że kiedy przychodzą do parafii, by dopełnić wszystkich formalności, mówią językiem publicystyki zaczerpniętym z lewicowych mediów lub przynoszą gotowy formularz wydrukowany ze stron internetowych. Najczęściej są to osoby, które nigdy lub od dawna nie praktykowały swojej wiary, a jedyne, co ich łączyło z Kościołem, to fakt chrztu w okresie niemowlęcym.

Jak powiedział w rozmowie z „Gościem Niedzielnym" ks. dr Bartłomiej Pergoł, notariusz Kurii Metropolitalnej Warszawskiej, na którego biurko trafiają z parafii akty apostazji: „Czasami apostaci twierdzą, że wierzą w Boga, ale zrywają z Kościołem, który w ich przekonaniu jest siedliskiem najgorszego zła. Mają wykrzywioną, własną wizję Boga i Kościoła. Niektórzy w argumentowaniu swojej decyzji dochodzą do absurdu, twierdząc, że chrzest w niemowlęctwie był gwałtem na ich wolnej woli. Na podobnej zasadzie można zapytać, czy wbrew ich woli w akcie urodzenia otrzymali narodowość polską, określone imię i nazwisko? Rodzice wyposażają swoje dzieci w to, co ich zdaniem jest najlepsze i najbardziej wartościowe: w depozyt wiary. Poprzez chrzest zostali wprowadzeni w strumień zbawienia, z którego odzierają się z własnej woli z czasami bardzo błahych powodów, bo na przykład spotkali na swojej drodze księdza, który im się nie spodobał. To pokazuje, jak niedojrzali pozostali w swojej wierze".

APOSTOŁOWIE ŚWIECKIEGO PAŃSTWA

W lewicowych mediach osoby odchodzące od Kościoła często przedstawiane są jako prawdziwi bohaterowie, rzucający wyzwanie potężnemu przeciwnikowi. Nazywane są wręcz „apostołami świeckiego państwa wolnego od dominacji kleru". Takiego określenia użył na portalu OKO.press Andrzej K. Sidorski, który w patetycznym tonie wzywał:

„Jeśli (ktoś) chce zaprotestować przeciwko nachalnemu wtrącaniu się Kościoła do polityki i faktycznemu – czasem wręcz jawnemu – szantażowaniu polityków, to właśnie oświadczenie woli o wystąpieniu z Kościoła jest jak najwłaściwszym do tego miejscem. Jeśli ktoś jest przeciw poniżaniu kobiet i odbieraniu im prawa wyboru, to jest to najodpowiedniejsza droga. [...] Jeśli ktoś chce powiedzieć proboszczowi, że Kościół wbrew swojej doktrynie nie jest Święty, a jedynie składający się z grzesznych ludzi, lecz – wręcz przeciwnie – jest głęboko grzeszny, choć zdarzają się w nim wspaniali ludzie, to taka szansa powstaje właśnie przy okazji złożenia aktu apostazji".

Paradoks polega na tym, że motywacje współczesnych apostatów mają charakter polityczny lub ideologiczny, ale konsekwencje dokonanych przez nich wyborów mają już wymiar duchowy oraz wpływ na życie wieczne. Jak powiedział wspomniany już ks. Bartłomiej Pergoł: „Wyrzeczenie się wiary to najcięższy grzech, jaki można popełnić. Popełniony w pełni świadomie jest grzechem przeciwko Duchowi Świętemu, którego otrzymujemy w sakramencie chrztu świętego".

To ostrzeżenie bardzo poważne, zwłaszcza w kontekście słów Jezusa zapisanych w Ewangelii św. Mateusza: „Dlatego powiadam wam: Każdy grzech i bluźnierstwo będą odpuszczone ludziom, ale bluźnierstwo przeciwko Duchowi nie będzie odpuszczone. Jeśli ktoś powie słowo przeciw Synowi Człowieczemu, będzie mu odpuszczone, lecz jeśli powie przeciw Duchowi Świętemu, nie będzie mu odpuszczone ani w tym wieku, ani w przyszłym".

W SŁUŻBIE POLITYKI

W Polsce apostazja była zawsze zjawiskiem marginalnym. W 2005 r. powstała strona internetowa apostazja.pl, jednak nigdy nie cieszyła się popularnością. W latach 2006–2010 dokonano w naszym kraju oficjalnie 1516 aktów apostazji. Była to liczba tak mała, że Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego zaprzestał później gromadzenia danych na ten temat.

W 2011 r. twórcy portalu apostazja.pl rozpoczęli współpracę z Ruchem Palikota, inaugurując akcję zachęcania ludzi do występowania z Kościoła. Na taki krok zdecydowało się jednak niewiele osób. Jedną z nich był dziennikarz, krytyk muzyczny i prezenter telewizyjny Robert Leszczyński (zmarły w 2015 r.). Przedsięwzięcie wsparli też poseł Andrzej Rozenek i literat Kamil Sipowicz.

Sam Janusz Palikot w 2012 r. pojawił się pod bramą kurii krakowskiej, by odczytać swe oświadczenie woli opuszczenia Kościoła. Tłumaczył tę decyzję swoją niezgodą na postępowanie Koś-

eprasa.pl 309770cdcb

cioła w Polsce, twierdząc, że cechuje go „niesamowita pazerność finansowa", „niezdolność do oczyszczenia się pod względem etycznym czy moralnym" oraz „polityczno-partyjny charakter". Polityk dodał: „Wiem, że dla wielu ludzi głęboko wierzących jest dzisiaj strasznie trudno być w Kościele, ale chcę im powiedzieć, że nasze działania Ruchu Palikota i także ich na rzecz zmian polskiego Kościoła, powrotu do tych krakowskich korzeni Karola Wojtyły, »Tygodnika Powszechnego«, Józefa Tischnera, mogą z powrotem odebrać Kościół z rąk oligarchów Episkopatu i oddać go ludziom w Polsce".

Tamta akcja nie zyskała jednak większego rezonansu społecznego i szybko przycichła. Inaczej było z kampanią rozpoczętą w październiku 2020 r. po ogłoszeniu przez Trybunał Konstytucyjny wyroku uznającego aborcję eugeniczną za niezgodną z Konstytucją RP. Cztery dni później na Facebooku powstała grupa Apostazja 2020. Wkrótce potem organizacja Dziewuchy Dziewuchom ogłosiła akcję „Apostazja Challenge 2020", reklamując się hasłem: „Hejka, co robisz jutro? To, co wszyscy, apostazję". Żeby ułatwić zadanie, organizatorki zamieściły na swej stronie instrukcję, w jaki sposób oficjalnie wypisać się z Kościoła. Na kolejnych manifestacjach Strajku Kobiet widoczne były już transparenty „A jak aborcja, A jak apostazja". Tuż przed Bożym Narodzeniem Jacek Diduszko zorganizował w internecie akcję „Zrób sobie prezent – wystąp z Kościoła na święta". Pojawiło się też wezwanie do „narodowej apostazji".

Największym echem w mediach odbiła się jednak kampania zainicjowana przez posłankę Lewicy Joannę Scheuring-Wielgus, europosła Wiosny Roberta Biedronia oraz warszawską radną Agatę Diduszko-Zyglewską. W grudniu 2020 r. założyli oni wspólnie stronę internetową LicznikApostazji.pl, która ma liczyć, ilu ludzi rzeczywiście odchodzi w Polsce od Kościoła. Do 4 lutego zgłosiło się 1813 osób, przy czym wiele z nich dokonało tego aktu jeszcze przed rokiem 2020. Wspomnianą listę otwierają: Robert Biedroń (2008), Agata Diduszko-Zyglewska (2018), Sylwia Chutnik (2019), Katarzyna Wężyk (2020), Jacek Dehnel (2019) i Monika Płatek (2013).

EWOLUCJA HIPSTER KATOLICZKI

Nowością obecnej kampanii na rzecz apostazji jest promowanie jej przez osoby występujące jeszcze niedawno z pozycji autorytetów katolickich. Taką postacią jest np. popularna blogerka Jolanta Szymańska, przedstawiana latami jako Hipster Katoliczka. Jeszcze niedawno jej filmiki pokazywane były uczniom przez katechetów na lekcjach religii jako przykład, że można być młodym, głęboko wierzącym, a zarazem otwartym i nowoczesnym katolikiem.

> Motywacje współczesnych apostatów mają charakter polityczny lub ideologiczny, ale konsekwencje dokonanych przez nich wyborów mają już wymiar duchowy oraz wpływ na życie wieczne

Pod koniec 2020 r. ogłosiła ona, że porzuca oficjalnie Kościół katolicki. Wspólnie z inną katolicką blogerką Natalią Białobrzeską zainicjowały internetową akcję „Też odchodzę", w której zachęcały do dzielenia się swoimi doświadczeniami. Wkrótce zaczęły napływać do nich zdjęcia przedstawiające młodych ludzi trzymających w dłoniach pisemne świadectwa apostazji.

Sama Szymańska nagrała film, w którym tłumaczyła powody swej decyzji. Mówiła m.in., że nie identyfikuje się z Kościołem ani jego mariażem z państwem oraz z biskupami, którzy wykorzystują ten sojusz w celach finansowych i tuszują afery pedofilskie. Dodała, że czuje się rozczarowana wieloma katolikami i jest jej wstyd za ich postawę. Przeprosiła też za swoje dotychczasowe zaangażowanie w Kościele: „Chciałam was wszystkich przeprosić za to, że przez te wszystkie lata dałam wam nadzieję na to, że w Kościele katolickim są takie osoby jak ja". Przyznała, że zmieniła zdanie w sprawie ochrony życia i przestała być zwolenniczką zakazu aborcji. Wyraziła także współczucie swym przyjaciołom, którzy pozostali w Kościele, z powodu tego, co czeka ich w przyszłości. Na koniec zaprezentowała własne zdjęcie, na którym pozuje z uniesionym do góry środkowym palcem, wyjaśniając: „Pokazałam fucka do tego wszystkiego, co poza mną".

Pod wpływem ubiegłorocznych wydarzeń Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego zmienił zdanie i ponownie postanowił się zająć apostazjami w Polsce. Chociaż zjawisko nie przybrało tak masowego charakteru, jak przedstawiają to aktywiści lewicy, to jednak tego typu przypadków jest więcej niż w przeszłości. Według dyrektora ISKK ks. dr. Wojciecha Sadłonia głównym zadaniem jego placówki powinno być zbadanie kwestii motywacji, którymi kierują się osoby porzucające katolicyzm.

CICHA APOSTAZJA

Oprócz głośnego odstępstwa istnieje także cicha apostazja, polegająca na powolnym obojętnieniu na sprawy wiary i stopniowym dystansowaniu się od Kościoła, jednak bez gromkich deklaracji i coming outów. To ona jednak wydaje się dziś większym zagrożeniem dla katolicyzmu w Polsce niż nagłaśniane przez media kampanie.

Przypomina mi się opowieść jednej z licealistek z Krakowa, która postanowiła na znak protestu przeciw Kościołowi wypisać się z lekcji religii. Wówczas usłyszała o wydarzeniu, do którego doszło w Egipcie. Oddział islamskich terrorystów zatrzymał autokar z 28 koptyjskimi pielgrzymami, wśród których były także dzieci. Dżihadyści dali chrześcijanom wybór: albo przejdą na islam i ocalą życie, albo pozostaną wierni swej religii i zginą. Nikt nie wyrzekł się Chrystusa. Zamordowano wszystkich.

Krakowska nastolatka, słysząc o swych rówieśnikach z Egiptu, którzy nie opuścili Kościoła nawet za cenę własnego życia, zmieniła zdanie i nie porzuciła religii. Zrozumiała, że stawką nie jest postawienie na swoim, ale życie wieczne.

eprasa.pl 309770cdcb

Hołownia i jego perspektywy

Szykuje się ostre starcie w opozycji, która – zanim „ostatecznie rozprawi się z PiS" – musi ustalić, kto jest jej liderem. Z dzisiejszych badań wynika, że stronie antyrządowej mógłby przewodzić Szymon Hołownia, ale w zawładnięciu lewicującymi umysłami przeszkadzają mu kaznodziejskie występy z niedalekiej przeszłości

MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Reakcja Szymona Hołowni na ubiegłotygodniowy artykuł w tygodniku „Sieci" była przesadna, co może oznaczać, że przypominając jego wypowiedzi antyaborcyjne, kaznodziejskie nauczania o dążeniu do Chrystusa oraz zachwalanie czystości przedmałżeńskiej, weszliśmy w paradę jego obecnej krucjacie na lewo.

Podczas jednej z codziennych porannych pogadanek w internecie dał upust wściekłości, żalił się, że zrobiliśmy z nim „propagandową" okładkę, „szmatławą i plugawą", że „wytrysnęło gówno", bo „mamy gacie pełne strachu". Naprawdę? Takie słowa tylko dlatego, że zapytaliśmy, kiedy jest autentyczny, a kiedy gra, by zbić kapitał polityczny? Aż trudno uwierzyć, że to ten sam – do rany przyłóż – Szymon, stoicki, wyważony i rozsądny.

ZAKOCHANY W CHRYSTUSIE

Hołownia dobrze wie, że jego dawne wypowiedzi, których pełno jest w internecie, to dziś spory problem. Te, które opisaliśmy w ubiegłym tygodniu, stanowiły tylko drobny wycinek obszernego materiału dowodowego na niekonsekwencję nowej politycznej gwiazdki.

Szczególnie niebezpieczne z jego punktu widzenia są niedawne występy w kościołach i kaznodziejski ton, w jaki lubił popadać. Dziś zmienił styl. Porzucił zaśpiew charakterystyczny dla przemawiających z ambony, jest dużo bardziej energiczny, czasem wręcz pokrzykuje. Strzela zdaniami jak z karabinu, czasem rzuci grubszym słowem, innym razem spróbuje kogoś obrazić. Inaczej niż np. 17 stycznia 2014 r., gdy był gościem Dialogu Młodych o Wierze w kościele NMP Różańcowej w Pabianicach. Wygłosił wówczas konferencję na temat: „24 godziny chrześcijaństwa na świecie" (wszystko w ramach promocji książki „Last minute. 24 h chrześcijaństwa na świecie").

„Nie ogłosimy światu Chrystusa, jeżeli będziemy głosili tylko i wyłącznie teologię moralną. Chrześcijaństwo to jest coś więcej niż teologia moralna. To jest coś więcej niż »dos & don'ts« – to rób, a tego nie rób. Bo miłość, każda, którą przeżywacie w waszym życiu, jest czymś innym niż zbiorem nakazów i zakazów. Zakazy i nakazy pomagają porządkować życie. Pomagają dobrze przeżywać życie. Ale one nie są sensem życia. Sens życia jest zupełnie gdzie indziej. I jeżeli go nie odkryjesz i nie pomożesz go odkryć innym, to oni te zakazy i nakazy będą kwestionować. Bo zawsze znajdą kogoś, kto uargumentuje za albo przeciwko tym nakazom. Możemy się zadyskutować na śmierć na temat in vitro, na temat innych rzeczy, które się w naszym kraju przydarzają. Możemy się zadyskutować na śmierć, a to i tak nic nie zmieni, jeżeli ludzie nie poznają Chrystusa. Od tego to się powinno zacząć. Nie od głoszenia: jesteśmy przeciw in vitro, a od głoszenia Jezusa Chrystusa. Bo jak oni się nim zachwycą, to oni zrozumieją, jaki jest Boży zamysł na życie, jak wygląda przekazywanie życia w boskim zamyśle. Zachwycą się tym i za tym pójdą. [...] Nie ma nic piękniejszego niż zakochanie się w Jezusie Chrystusie".

W taki sposób wówczas ewangelizował. Trzeba to przyjąć z uznaniem, bo od celebrytów rzadko możemy usłyszeć tak odważne wyznania wiary. Ale dziś Hołownia jest już gdzie indziej. Zakochanie w Chrystusie zupełnie nie pasuje do centrowego polityka otwartego na różne środowiska, wspierającego proaborcyjne protesty. Skoro puszcza oko do Strajku Kobiet, któremu chodzi m.in. o możliwość zabijania nienarodzonych dzieci z zespołem Downa, straciły też swoją moc jego słowa z 2017 r., gdy tak mówił o osobach z tym schorzeniem: „Oni są nieprawdopodobnym darem dla nas. Ich czystość, ich prostota, ich taka bezkompromisowość, ale też i taka bezpardonowość w komunikacji jest czymś po prostu uroczym. My wszyscy moglibyśmy się od nich uczyć. Kiedy obcuję z takimi ludźmi,

eprasa.pl 309770cdcb

to mam wrażenie, że nie ja mam się nimi opiekować, to oni w pewien sposób opiekują się mną. Są dla mnie darem, bo uczą mnie, jaki powinien być człowiek. Ja o tym zapomniałem".

Wydaje się, że dzisiejszy Szymon zapomniał nie tylko, jaki powinien być człowiek, lecz nawet jaki on sam był nie tak dawno. Można nad tym tylko ubolewać, bo kiedyś dawał piękne świadectwo. I potrafił walczyć o swoje wartości nawet w tak mało sprzyjających okolicznościach jak śniadaniowy program w TVN. W czerwcu 2011 r. pokłócił się na wizji z Marcinem Prokopem, dyskutując na temat związków partnerskich. Stwierdził, że jest im absolutnie przeciwny, uznając je za ukrytą metodę małych kroków do legalizacji związków homoseksualnych. Dopytywany przez kolegę, czy to oznacza, że jest przeciwko legalizacji związków homoseksualnych, zdecydowanie odparł: „Całym sobą jestem przeciwko! [...] Tak, jestem mało postępowy, ale jestem z tego dumny i nigdy nie zmienię stanowiska w tym temacie!".

A jednak zmienił. Już w trakcie kampanii prezydenckiej zapowiadał, że „nie miałby problemu" z podpisaniem ustawy o związkach partnerskich. Dziś zapewne ma jeszcze mniej konserwatywne zdanie w tej sprawie.

PIWOT LIDERA

– Wchodzi do polityki, przedstawiając się jako nowa siła, nie chce więc być kojarzony jako jej dotychczasowy uczestnik, nawet epizodyczny, nawet poprzez publicystykę – tłumaczy zachowanie lidera Polski 2050 prof. Rafał Chwedoruk, politolog z Uniwersytetu Warszawskiego. – Jego projekt jest wycelowany w elektorat wielkomiejski, gdzie zauważalna jest liberalizacja poglądów i zachowań. Skąd ma brać wyborców? Najłatwiej z lewej strony, która zmienia optykę czasem nawet z kampanii na kampanię. To dlatego przypominanie mu zażyłości z Kościołem, a nawet poglądów podobnych do starszych liberałów jest mu nie na rękę.

Swojego przywódcę próbował w Radiu Tok FM tłumaczyć Michał Kobosko, wiceprezes stowarzyszenia Polska 2050. „Być może w jakimś stopniu Szymon Hołownia zmieniał swój pogląd. Niemniej on mówi dzisiaj bardzo wyraźnie, że ma dzisiaj swój pogląd i ten pogląd jest zapewne bardziej konserwatywny niż części naszego ruchu, naszych sympatyków i działaczy, ale on tego swojego poglądu nie będzie narzucał ani naszym posłankom, ani naszym sympatykom" – mówił kompan Hołowni. Sam lider zapytany o publikację tygodnika „Sieci" w Polsat News mówił, że nie zmienił poglądów: „Szymon Hołownia się nie zmienił, natomiast zmienił perspektywę, decydując się nie być już tylko i wyłącznie publicystą, który komentuje sprawy, które się dzieją, i wyrażając swoje własne poglądy, ale biorąc odpowiedzialność za kraj".

To karkołomne tłumaczenie pada z ust człowieka, który chce zmieniać rzeczywistość. Któż chciałby, aby polskie sprawy prowadził ktoś tak niestabilny?

Postawiliśmy tezę, że Szymon Hołownia zawsze – i jako dziennikarz, i teraz jako polityk – stara się być taki, na jakiego jest zapotrzebowanie. Barwnie opowiada, umie się sprzedać, szuka fali, która mogłaby go ponieść i płynie w najsilniejszym nurcie. Gdy trzeba skręcić w lewo, „naprawia" Kościół i przymila

Fot. Beata Zawrzel / REPORTER / EastNews

eprasa.pl 309770cdcb

się do zwolenników aborcji na życzenie. Gdy opłacało się być „katolickim" publicystą, taki był. „Bazował na pewnym rozchwianiu wewnątrz wspólnoty katolików, wychwytywał ludzi o labilnych poglądach. Wtedy i teraz kierował się polityczną koniunkturą" – analizuje w rozmowie z portalem wPolityce.pl ks. prof. Paweł Bortkiewicz TChr, teolog moralny i etyk, wykładowca UAM w Poznaniu.

WZAJEMNE SZCZYPANIE

Dziś wychodzi mu z badań, że konserwatyzm jest passé dla elektoratu antypisu. Paliwo polityczne widzi na ulicy, w lewackich postulatach, w radykalizmie. Hołownia próbuje więc iść tą drogą, sprawnie lawirować, by jego nowy image nie kłócił się za bardzo z tym, co nam mówił przez lata.

Na razie nie sposób odmówić mu skuteczności. W sondażach wciąż idzie w górę. Z badania Social Changes dla portalu wPolityce.pl wynika, że to jego wskazuje najwięcej (18 proc.) osób zapytanych, kto obecnie najbardziej zasługuje na miano lidera opozycji (Rafała Trzaskowskiego widzi w tej roli 12 proc., a Borysa Budkę... ledwie 1 proc.). Z kolei w ostatnim partyjnym badaniu tej pracowni Polska 2050 wyrasta na drugą siłę po Prawie i Sprawiedliwości. PiS notuje wynik na poziomie 31 proc., partia Hołowni (wciąż nieistniejąca) – 27 proc., a Koalicja Obywatelska – tylko 17 proc.

Hołownia czuje, że jest na fali, że może poważniej zranić dawnego hegemona. W środę tak dokuczał konkurencji: „Pani minister Leszczyna nie może sobie udzielić żadnego wywiadu, żeby nie wsadzić jakiejś szpilki i nas jakoś nie podszczypać. My z wielką pokorą i cierpliwością czekamy, aż wreszcie pokażecie ten swój program, koledzy i koleżanki z Platformy. Podobno miał być w sobotę – miliard w środę, miliard w sobotę – w środę były zapowiedzi, w sobotę być może coś będzie, zobaczymy. [...] Kochani, w sobotę macie pokazać program. Macie jeszcze dwa dni. Piątek wieczorem będzie trudny, ale dacie radę, jestem o tym głęboko przekonany".

Partia Borysa Budki poczuła się zagrożona. Można powiedzieć, że to dotychczas najbardziej widoczny wpływ Szymona Hołowni na polską politykę – zmobilizował do działania Platformę, która jednak nie chce stracić korony pierwszej siły opozycji i wreszcie zaczęła odtajniać swój program.

PO widzi, że Hołownia jest gotowy na dłuższy niż jednosezonowy marsz. Nie lekceważy dwóch pierwszych transferów swoich parlamentarzystów, którzy przeszli do Polski 2050. Ani Bronisława Komorowskiego, który w TVN24 stwierdził: „Patrzę z niepokojem na to, że PO nie zdobyła się na odważniejszą próbę odbudowania skrzydła umiarkowanie konserwatywnego, bo tylko takie skrzydło może odzyskać część wyborców dzisiejszej władzy, dlatego z nadzieją patrzę na Ruch Szymona Hołowni".

> Projekt Hołowni jest wycelowany w elektorat wielkomiejski, gdzie zauważalna jest liberalizacja poglądów i zachowań. Skąd ma brać wyborców? Najłatwiej z lewej strony. Dlatego przypominanie mu zażyłości z Kościołem jest mu nie na rękę – mówi prof. Chwedoruk

O tym, jakie niebezpieczeństwo czai się na horyzoncie, dobrze wiedzą w „Newsweeku". Tę redakcję śmiało można nazwać patriotami starej Platformy. I oni walczą. Zarzucają Hołowni, że „kanibalizuje inne partie, dzieląc opozycyjny elektorat", czym „pomaga Kaczyńskiemu". Pismo Lisa chciałoby widzieć w Hołowni tylko jeden z elementów wielkiej opozycyjnej koalicji, która miałaby powstać pod auspicjami Donalda Tuska. To jedyny scenariusz, na jaki – ich zdaniem – warto dziś grać.

PERSPEKTYWY OPOZYCJI

Czy to aby na pewno opłacalna taktyka? Prof. Mieczysław Ryba z KUL ma wątpliwości: „Jeśli by poszli w jednym bloku, to ich głosy nigdy się nie zsumują. Proszę sobie przypomnieć, czy coś się zmieniło w notowaniach Platformy, kiedy wchłonęła Nowoczesną? Przecież suma poparcia tych dwóch partii niejednokrotnie dawała więcej, niż miało PiS, a po zjednoczeniu w sondażach nic nie drgnęło" – zauważa politolog w rozmowie z wPolityce.pl.

Wskazuje też, że zastąpienie Platformy przez Polskę 2050 jest nierealne: „Ten proces następowałby bardzo szybko. Platforma już dzisiaj rozpadłaby się na kilka grup. Jeden czynnik to blokuje – państwowe subwencje, które są przypisane do partii. To ogromne kwoty, które dają tak dużo politycznych możliwości, że każdy będzie walczył o zachowanie marki, do której są przypisane. W perspektywie kilku lat chodzi o dziesiątki milionów złotych. To powoduje, że PO cały czas żyje i toczy się o nią bój.

Ale, jak zwraca uwagę prof. Chwedoruk, Hołowni trzeba oddać, że jego projekt jest przygotowany lepiej niż poprzednie nowości na scenie politycznej – PJN, Ruch Palikota, Nowoczesna czy nawet ruch Kukiz'15 – choć bazuje na tym samym mechanizmie i pewnej powierzchowności zwolenników: – Metoda polega na tym, by wszelkimi możliwymi sposobami, obietnicami, nawet populizmem wydrzeć trochę poparcia którejś z istniejących partii – mówi prof. Chwedoruk. – Kłopot zacznie się wtedy, gdy wyborcy przyjrzą się temu, co partia, na którą zagłosowali, naprawdę sobą reprezentuje. I zaczną wymagać czegoś więcej, wzięcia odpowiedzialności za realizowaną politykę.

Ewentualny sukces Szymona Hołowni zależy od tego, jak PO poradzi sobie z wewnętrznym kryzysem. Jeśli Platformie uda się obronić, to misję Hołowni będzie można uznać za zakończoną. Jeśli nie – narzędziem do zdetronizowania PiS stanie się nowa partia, a jej lider będzie mógł mieć poczucie, że rządzi na opozycji.

eprasa.pl 309770cdcb

Komsomoł, aborcja, wolna miłość

Obserwując pełzającą rewolucję, która rozgrywa się na naszych oczach, trudno nie dostrzec pewnych analogii z przeszłością. Bo to nie pierwsza taka rewolucja w najnowszych dziejach i jej plan był podobny do dzisiejszego: totalne wywrócenie dotychczasowych norm społecznych oraz zastąpienie ich nowymi

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Rewolucja obyczajowa, którą liberalna lewica próbuje przeprowadzić w Polsce, jest częścią znacznie szerszego procesu zmian społecznych uruchomionych na Zachodzie już ponad pół wieku temu. Wszyscy doskonale znamy główny postulat tej rewolucji, który – w uproszczeniu – sprowadza się dziś do stwierdzenia, że ludzką seksualność należy traktować w oderwaniu od obiektywnych uwarunkowań biologicznych. Konsekwencją takiego założenia jest rozmywanie różnic między obiema płciami i mnożenie – ponad wszelką miarę – orientacji seksualnych uznawanych jako naturalne formy ludzkiej ekspresji.

To nie pierwsza taka rewolucja w najnowszych dziejach. Równo sto lat temu swoją rewolucję obyczajową ogłosili bowiem komuniści w bolszewickiej Rosji. I choć przeprowadzono ją w innych warunkach i zakończyła się częściowym fiaskiem, to przecież cel, który postawili sobie wtedy bolszewicy, był bardzo podobny: totalne wywrócenie dotychczasowych norm społecznych i kulturowych oraz zastąpienie ich nowymi. Wszystko – tak jak dziś – odbywało się pod hasłami równouprawnienia i zmierzało do tego, aby na gruzach starego porządku utrwalić nową władzę.

RODZINA TO PRZEŻYTEK

Rosja – podobnie jak inne kraje Europy – wyszła z I wojny światowej solidnie poturbowana. Jednak bolszewicy przyjęli to z aprobatą. Powojenna zapaść państwa sprzyjała bowiem planowanej przez nich przebudowie społeczeństwa (osoby o dużej wyobraźni mogą tu mieć pewne skojarzenia z możliwymi skutkami obecnej pandemii). Wszechobecny rozkład moralny stał się świetnym podłożem do zaprowadzania nowych bolszewickich obyczajów.

W pierwszej kolejności uderzono w rodzinę. Bolszewicy zdawali sobie sprawę, że rodzina – zwłaszcza posiadająca jakąś własność – jest bytem autonomicznym wobec państwa, a tego nie zamierzali tolerować. Niszcząc rodzinę, demontowali więc podstawy funkcjonowania całego społeczeństwa. Uznano, posługując się hasłami równouprawnienia, że kobieta w patriarchalnym modelu rodziny rosyjskiej jest własnością mężczyzny i jego służącą. Oswobodzenie kobiety z niewolnictwa i jej równouprawnienie musiały się więc wiązać – zdaniem bolszewików – z uwolnieniem jej od obowiązków małżeńskich. Nawet projektowane w tamtym czasie wzorcowe bloki mieszkalne nie posiadały kuchni, aby kobiety nie musiały już „stać przy garach".

Nic zatem dziwnego, że bolszewicy, którzy przecież w pierwszym okresie dyktatury odrzucali prawo pisane, zastępując je „rewolucyjną praworządnością", zdecydowali się uczynić wyjątek w kwestii rodziny i już w 1918 r. ogłosili swój kodeks rodzinny. W kodeksie tym znoszono śluby kościelne, które zostały zastąpione cywilnymi, oraz uściślano przepisy dotyczące rozwodów, przy czym – jeśli rozwodu żądała jedna strona, decydował o nim sąd, a jeśli obie strony – udzielał go urząd stanu cywilnego. Legalizacja rozwodów była zresztą jedną z pierwszych decyzji bolszewików, dekret z 16 grudnia 1917 r. zezwalał małżonkom na rozwiązanie małżeństwa z powodu „niezgodności charakterów".

Legalizacja i ułatwienie rozwodów były zgodne z postulatami bolszewickich feministek ze słynną Aleksandrą Kołłontaj na czele, rozpieszczoną córką carskiego generała, która przyłączywszy się za młodu do rewolucyjnej lewicy, stała się ważną działaczką partyjną pełniącą wówczas – oczywiście w ramach swego rodzaju parytetu płci – ministerialną funkcję komisarza ludowego ds. opieki społecznej. Kołłontaj, opisywana przez Richarda Pipesa jako osoba odznaczająca się niepohamowanym popędem seksualnym i niezdolnością do zawierania trwałych związków,

eprasa.pl 309770cdcb

próbowała nadać swoim skłonnościom wymiar powszechnej normy społecznej. Dlatego też postulowała tzw. kolejną monogamię, czyli cykliczną, częstą zmianę partnerów.

Zresztą rozwody – choć łatwe i legalne – przestały mieć wkrótce jakiekolwiek znaczenie, a w kolejnym kodeksie rodzinnym z 1926 r. sprowadzono je do zwykłego oświadczenia wysyłanego pocztą do urzędu. Mąż mógł się zatem rozwieść z żoną (i odwrotnie), nawet jej o tym nie zawiadamiając. Zrównano także prawnie związki zarejestrowane i niezarejestrowane. Te ostatnie szczególnie upodobali sobie młodzi ludzie. Ich zdaniem – jak wskazują wyniki ankiet z tego okresu – małżeństwo było „burżuazyjnym przeżytkiem", który „ograniczał wolność i poniżał kobiety". Dlatego preferowali luźne związki, choć zaznaczali, że powinny być oparte na miłości.

ZASPOKAJANIE POPĘDU

Z miłością u bolszewików bywało zresztą różnie. Aleksandra Kołłontaj uważała, że uczucie zniewala kobiety i zmusza je do uległości wobec mężczyzn. Dlatego lepszy jest seks bez zobowiązań i więzi emocjonalnych, bo tylko tak kobieta może obronić swoją podmiotowość. Naczelna feministka bolszewików miała być też zwolenniczką teorii szklanki wody. Chodziło o to, że seks – tak jak wypicie szklanki wody – powinien być wyłącznie zaspokojeniem pragnienia (popędu).

Te teorie zostały chętnie podchwycone przez młodzież. Działacze Komsomołu (młodzieżówki komunistycznej) wprowadzali je w życie, tworząc komuny, w których wspólnie mieszkali i współżyli. Kobieta nie była przecież niczyją własnością i mogła, a nawet – jak nauczała Kołłontaj – powinna oddawać się każdemu mężczyźnie, który jej się spodoba. W pierwszym statucie Komsomołu był zresztą punkt nakładający na każdego członka organizacji obowiązek zaspokajania popędu płciowego współtowarzyszy. Niejednokrotnie zdarzało się więc, o czym pisała w tych czasach „Komsomolska Prawda", że dzieci miały – oprócz matki – dwóch lub więcej ojców. Dlaczego? Bo skoro trudno było ustalić, kto jest biologicznym ojcem dziecka, to urzędy przyjmowały, że ma ono tylu ojców, ilu matka miała przed jego narodzinami partnerów.

W niektórych miastach władze rewolucyjne próbowały „nacjonalizować" kobiety, aby umożliwić im seks z każdym mężczyzną. We Włodzimierzu tamtejsze Biuro Wolnej Miłości zarejestrowało wszystkie kobiety powyżej 18. roku życia, które potem mogły sobie wybierać dowolnego partnera od 19. do 50. roku życia.

Problem w tym, że te postępowe teorie zbyt mocno prześcignęły rosyjską rzeczywistość. O ile bowiem wśród komunistycznej młodzieży wielkich miast uznawano uprawianie „wolnej miłości" za wyróżnik prawdziwego komunisty, o tyle na prowincji niczego z tego nie rozumiano, poza tym, że można się bezkarnie chędożyć. Efektem był nagły wzrost fali gwałtów.

Bywało też tak, że robotnicy nie za bardzo chcieli się wiązać z komsomolskimi aktywistkami. Wprawdzie były one ostentacyjnie bezpruderyjne, ale u wielu robotników zwyciężało stare myślenie. Ci z nich, którzy odmawiali udziału w seksualnych igraszkach z działaczkami i zamiast tego szukali dziewczyn na stałe lub chcieli zakładać rodziny, byli przez aktywistki piętnowani na partyjnych zebraniach, a ich nazwiska trafiały na zakładowe tablice hańby.

DZIECI BEZ ZOBOWIĄZAŃ

Skutkiem ubocznym wielkiego rozerotyzowania sowieckiego społeczeństwa był gwałtowny skok liczby niechcianych dzieci. Oczywiście najprostszym rozwiązaniem była aborcja, która po objęciu władzy przez bolszewików przestała być uważana za przestępstwo. Oficjalnie jednak uważano ją za złe rozwiązanie. Dzieci miały być przecież przyszłością komunizmu. Wybitny bolszewik Nikołaj Bucharin w swoim „Abecadle komunizmu" pisał, że „dziecko należy do społeczeństwa, w którym się urodziło, a nie do rodziców". A sowiecki prawnik Aleksandr Gojchbarg dodawał w 1922 r., że „rodzinę musi zastąpić partia komunistyczna".

eprasa.pl 309770cdcb

Dlatego też zakładano internaty, do których rodzice mieli oddawać swoje dzieci na wychowanie partii. Przy czym pierwszeństwo miały dzieci o odpowiednim, tj. proletariackim, pochodzeniu. Internaty działały przy szkołach, które również zostały zrewolucjonizowane. Zgodnie z ustawą z 1918 r. sowiecka szkoła miała być koedukacyjna i pozbawiona wszelkich burżuazyjnych przeżytków, takich jak ławki, lekcje, oceny, prace domowe lub podręczniki, zwłaszcza te nacechowane „nacjonalistyczną" treścią, jak historia Rosji czy historia literatury rosyjskiej. Szkołą kierował kolektyw, w którego skład wchodzili wszyscy uczniowie i pracownicy. Nauczyciele zamieniali się zaś w „pracowników szkolnych" (ros. szkolnyj rabotnik – w skrócie szkrab). Celem szkoły było zaś wychowanie specjalistów o odpowiednio ukształtowanym leninowskim światopoglądzie. Marksistowski pedagog Wiktor Szulgin, cytowany przez Michaiła Hellera, zaznaczał, że powołaniem sowieckiej edukacji nie jest „wychowanie dziecka rosyjskiego, lecz obywatela świata, internacjonalisty, dziecka, które w pełni rozumie interesy klasy robotniczej". Zatem szkoła miała służyć w pierwszym stopniu indoktrynacji ideologicznej, dopiero w drugiej kolejności nauce.

W takim systemie rodzice „wyzwoleni" od uciążliwej opieki nad dzieckiem mogli zakończyć swój związek i oddać się nowym uczuciom. Inna rzecz, że nie wszystko poszło tak, jak zaplanowali to sobie bolszewiccy pedagodzy. Przede wszystkim problemem okazał się brak pieniędzy. Nie tylko na budowę nowych szkół i internatów, lecz również na opłacenie opiekunów dla dzieci. Dlatego rozwiązaniem okazała się ostatecznie aborcja, która od listopada 1920 r. była finansowana przez państwo bolszewickie, pod warunkiem że wykona ją lekarz. Według szacunków w 1928 r. 41 proc. ciąż w ZSRR kończyło się aborcją, a w 1934 r. – aż 72 proc. W ten sposób w Rosji bolszewickiej, która jako pierwsze państwo na świecie zalegalizowała aborcję, zabijanie nienarodzonego dziecka stało się powszechnie stosowaną praktyką regulacji narodzin.

Z kolei te dzieci, które się narodziły, ale zostały porzucone przez rodziców, dołączyły do „bezprizornych" – milionów sierot żyjących na ulicy i utrzymujących się z kradzieży oraz drobnych prac. Wielkie plany „uspołecznienia" dziecka i wyrwania go spod opieki rodziców skończyły się więc licznymi tragediami.

PRECZ ZE WSTYDEM

Lata rewolucji obyczajowej w Rosji sowieckiej to również okres swobody dla homoseksualistów. Choć bolszewicy patrzyli na nich z pewną nieufnością, to jednak ich tolerowali – również w swoim własnym gronie (przykładowo szef sowieckiej dyplomacji Gieorgij Cziczerin był gejem). W tamtym okresie homoseksualizm był bowiem uważany przez komunistów za przydatny instrument do walki ze starym porządkiem – przede wszystkim z rosyjską Cerkwią prawosławną, która głosiła, że sodomia jest grzechem. Skoro więc jest grzechem, uważali bolszewicy, to trzeba go wspierać.

W latach 20. XX w. można było spotkać w Rosji, zwłaszcza w dużych miastach, nieukrywających swojej orientacji homoseksualistów – różne relacje wspominają o mocno umalowanych i upudrowanych mężczyznach na ulicach, niekiedy wręcz o transwestytach ubranych w damskie stroje (popularne były przebrania baletnic) oraz o czerwonych krawatach mających być znakiem rozpoznawczym mniej ostentacyjnych gejów. Organizowano huczne „wesela" homoseksualistów, a z wykładami do Rosji przybywali postępowi naukowcy dowodzący, że homoseksualizm jest naturalną formą wyrażania ludzkich uczuć.

Dość popularną formą szokowania nowymi obyczajami było również paradowanie po ulicach nago, dotyczyło to zresztą nie tylko homoseksualistów. W 1924 r. zarejestrowano nawet oficjalne stowarzyszenie o nazwie Precz ze Wstydem, które chciało oduczyć zacofane społeczeństwo pruderyjnych zachowań.

> Dość popularną formą szokowania nowymi obyczajami było paradowanie po ulicach nago. W ten sposób chciano oduczyć zacofane społeczeństwo pruderyjnych zachowań

W dwóch przyjętych w tym czasie rosyjskich kodeksach karnych, mocno represyjnych wobec „wrogów ludu", homoseksualizm nie był uznawany za przestępstwo, a zatem nie zaliczano go do zachowań zagrażających ustrojowi sowieckiemu. Nieco inaczej było w muzułmańskich republikach Azji Środkowej, gdzie utrzymano penalizację homoseksualizmu (poszczególne republiki związkowe miały ograniczone prawo uchwalania własnych kodeksów).

ZWROT STALINA

Bolszewicka rewolucja obyczajowa skończyła się pod koniec lat 20. XX w. wraz z początkiem dyktatury Stalina. Stalin, sam zresztą jak najdalszy od wszelkiego liberalizmu, uważał, że rozprężenie obyczajowe zagraża bezpieczeństwu państwa. Rozerotyzowana i zdemoralizowana młodzież nie jest w stanie służyć w armii, aborcja grozi demograficzną zapaścią, a homoseksualizm mógł być – jego zdaniem – wykorzystywany przez obce służby. Dlatego w kolejnej dekadzie po kolei odkręcano większość obyczajowych nowinek wprowadzonych wcześniej w ZSRR. Kontynuowano oczywiście proces przetrącania kręgosłupa społeczeństwu, jednak teraz postanowiono posłużyć się masowymi represjami.

Ostatecznie więc rewolucja obyczajowa poszła inną drogą. Kolejna, która pojawiła się na Zachodzie, korzysta ze znacznie większych zasobów niż jej bolszewicka poprzedniczka. I choćby z tego powodu może okazać się trwalsza.

eprasa.pl 309770cdcb

Pandemia dotknęła nas wszystkich. Trzeba zmienić sposób myślenia. To jest moment, by się zastanowić, czy przebywanie mamy z przedwcześnie urodzonym dzieckiem w szpitalu nie powinno być nową refundowaną procedurą

Nie wysadzajmy w powietrze zdobyczy neonatologii

Z dr. Dariuszem Madajczakiem, neonatologiem i pediatrą ze Szpitala Klinicznego im. Księżnej Anny Mazowieckiej w Warszawie, rozmawia Dorota Łosiewicz

Wciąż pojawiają się doniesienia z różnych stron Polski, że gdzieś rodzice wcześniaka, a często także noworodka, który wymaga długiego leczenia w szpitalu, nie mogą być przy swoim dziecku lub mogą tylko przez dwie godziny dziennie albo tygodniowo. Wydawało się, że po proteście rodziców wcześniaków w Łodzi będzie lepiej, ale nie jest. Dlaczego?

Dariusz Madajczak: Uwarunkowane jest to względami zarówno organizacyjnymi, jak i epidemiologicznymi. Neonatologia i system opieki nad noworodkiem, także tym urodzonym przedwcześnie, to stosunkowo nowa dziedzina. Lata 90. XX w. i pierwsze dwie dekady tego wieku to rozwój nowoczesnej neonatologii. O ile dość szybko dogoniliśmy Europę w odsetku powikłań, chociażby związanych z wcześniactwem, czy osiągnęliśmy znaczącą poprawę wskaźników związanych z zachorowalnością i umieralnością noworodków urodzonych przedwcześnie i chociaż mamy taki sprzęt, jakiego używają

eprasa.pl 309770cdcb

czołowe ośrodki neonatologiczne na świecie, to nadal poważnym wyzwaniem, przed którym teraz stoimy, jest sama jakość opieki nad noworodkiem. Możliwość dziennego sprawowania opieki przez rodziców nad dzieckiem, które przebywa jeszcze w szpitalu, pozostawia wiele do życzenia. Nasze szpitale, oddziały nie są do tego organizacyjnie przygotowane. A właśnie pandemia i względy epidemiologiczne jaskrawo uwidoczniły ten problem. Zobaczyliśmy, jak wiele jako kraj mamy do zrobienia. A do problemów organizacyjnych dochodzi jeszcze czynnik ludzki. Musimy pamiętać, że za organizację pracy w oddziale w danej placówce odpowiada jej dyrektor i kierownik oddziału. To, z jakim człowiekiem przyjdzie nam mieć do czynienia, jest bardzo ważne. Empatia, podejście do rodzica jako równorzędnego partnera w opiece nad chorym noworodkiem ma kluczowe znaczenie.

Mówi pan o czynniku ludzkim. Ten często zawodzi. W dużym warszawskim szpitalu dziecięcym rodzicom na oddziale patologii noworodka wolno być przy ciężko chorym dziecku tylko dwie godziny dziennie. W Krakowie jedna z mam dostała do kangurowania swojego wcześniaka po 120 dniach od jego narodzin. Wcześniej mogła go widzieć tylko dwie godziny w tygodniu. To przecież zbrodnia wobec dziecka i matki. Czy część środowiska medycznego nie zapomniała w pandemii o zwykłym człowieczeństwie?

Niezwykle trudno mi wyobrazić sobie, że rodzice w takich sytuacjach są pozbawiani możliwości bycia przy dziecku. W sytuacjach, o których pani mówi, czynnik ludzki jest decydujący. Pandemia unaoczniła nam, jak łatwo popadamy ze skrajności w skrajność. Z jednej strony powstają piękne nowoczesne szpitale, mówimy, że rodzic ma być partnerem w procesie terapeutycznym, a z drugiej – gdy przyszła epidemia, nagle się okazało, że wolno iść do sklepu, a nie wolno być przy dziecku. Coś tu jest nie tak. Ja oczywiście nie chcę negować wagi kwestii epidemicznych. Zasady higieniczne są bardzo ważne, ale w oddziałach neonatologicznych funkcjonowały one od dawna i teraz obowiązują tak samo restrykcyjne, jak były na tych oddziałach wcześniej. Zdrowy rozsądek i niewysadzanie w powietrze zdobyczy neonatologii ostatnich lat okazują się w dobie pandemii bezcenne.

Dlaczego pobyt rodzica przy dziecku jest taki ważny?

Obecność rodzica przy chorym dziecku jest niezbędna. Ta wiedza, poparta licznymi publikacjami, to jedna ze zdobyczy cywilizacyjnych. Uświadomiliśmy sobie i wykazaliśmy to w licznych badaniach, jak ważny jest rodzic jako partner w leczeniu, rozmowie, podejmowanych decyzjach. Rodzic musi być traktowany jako członek zespołu terapeutycznego. Nie wyobrażam sobie, żeby w oddziałach noworodkowych czy pediatrycznych zabrakło rodziców. Z badań wiemy, że dzieci podczas pobytu w szpitalu, czasem wielotygodniowego, pozbawione obecności rodziców, które nie są kangurowane, muszą być dłużej hospitalizowane, wolniej zdrowieją, częściej występują u nich powikłania, częściej chorują w porównaniu z tymi dziećmi, których mamy są przy nich.

Nie jest tak, że nagminne utrudnianie rodzicom dostępu do maleńkich dzieci cofnęło nas o parę dekad w wiedzy o psychologii małego dziecka? Wydawało się, że nikogo już nie trzeba przekonywać, że rodzic potrzebny jest dziecku od pierwszych chwil jego życia.

To prawda. Ale cały czas wracamy do tego, że system tworzą ludzie. Strach związany z zakażeniem personelu, z tym, że nie będzie miał kto pracować, wydaje się przeważać. Średnia wieku położnych i pielęgniarek w oddziałach neonatologicznych przekracza w tej chwili 50 lat. Nie chodzi przecież o zakażenie noworodka, to zdarza w świecie bowiem niezwykle rzadko. Nie chcę do końca usprawiedliwiać dyrektorów szpitali czy kierowników oddziałów, staram się jednak zrozumieć lęk związany z tym, że może dojść do sytuacji, iż nie będzie miał kto leczyć chorych dzieci. Ale to znowu jest argument za tym, że powinniśmy pozwalać rodzicom, przy zachowaniu zasad bezpieczeństwa, być przy dzieciach, bo skoro mamy ograniczone zasoby kadrowe, to sprawmy, by po porodzie mama mogła zostać dłużej z dzieckiem w oddziale. Skoro nie przyszła do porodu chora, urodziła zdrowa, to nie zarazi dziecka. Jeśli mama będzie mogła przebywać w oddziale z dzieckiem bezpośrednio po porodzie aż do momentu, gdy stan zdrowia dziecka się ustabilizuje, emocje opadną, do chwili, gdy uda się wypracować model opieki nad dzieckiem, a mama zobaczy, że wychodząc ze szpitala, zostawia malucha w dobrych rękach, to wszyscy będą spokojniejsi. I to jest praktyka warta zalecenia.

> Nie każda mama może być w szpitalu z chorym dzieckiem cały czas. Dla tych wszystkich osób przygotowaliśmy „oko na malucha", żeby mama w transmisji wideo widziała swoje dziecko, żeby miała poczucie, że jest bezpieczne, nic mu nie grozi

Co jeszcze można zrobić, by ułatwić rodzicom i dzieciom ten trudny dla nich czas? Szpital Kliniczny im. Księżnej Anny Mazowieckiej, czyli popularna Karowa, działa pod tym względem wzorcowo. Wypracowano dobre praktyki, z których mogą korzystać inne placówki.

Drugą dobrą praktyką, którą można stosunkowo łatwo wdrożyć, jest ta związana z końcowym etapem pobytu dziecka w szpitalu. Pamiętajmy, że wcześniaki, które rodzą się przed 32. tygodniem ciąży, a nawet często przed 28. tygodniem ciąży, muszą pozostać w szpitalu przynajmniej do planowanego terminu porodu. Bywa że znacznie

Fot. archiwum prywatne

eprasa.pl 309770cdcb

dłużej. To są więc długie tygodnie w szpitalu. Szpitale nie są przygotowane organizacyjnie na to, żeby stworzyć miejsce dla kilkuset mam rocznie do stałego pobytu przy dziecku, bo to nie jest możliwe. Na pewno jednak te mamy dzieci, które już są planowane do wypisu do domu, kilka dni przed takim wypisem (może tydzień, może dwa) powinny być ponownie przyjęte na oddział do szpitala. Bo mama, która była przy dziecku w dzień (o ile miała w ogóle taką możliwość), powinna mieć możliwość nauczyć się opieki nocą. Tę praktykę stosunkowo łatwo wdrożyć, ale czy tak będzie, nie zależy już wyłącznie od możliwości organizacyjnych placówki. Pobyt zdrowej mamy z dzieckiem, które wymaga opieki, jest dla szpitala kosztem. To nie tylko koszt łóżka, pościeli, wyżywienia, ale to także koszt wynikający z braku przychodu. Bo na taką salę w tym samym czasie można przyjąć zdrowe, donoszone dzieci, z mamami, które będą w szpitalu dwa–trzy dni. Tak więc sala dwu–trzyłóżkowa w czasie tygodniowego, dwutygodniowego pobytu mamy z wcześniakiem mogłaby obsłużyć kilkanaścioro dzieci. A to oznacza konkretny przychód dla szpitala. Liczyłbym więc w tej sytuacji na wsparcie państwa, Ministerstwa Zdrowia, NFZ. Pandemia dotknęła nas wszystkich. Trzeba zmienić sposób myślenia. To jest moment, by się zastanowić, czy przebywanie mamy z przedwcześnie urodzonym dzieckiem nie powinno być po prostu nową refundowaną procedurą. Te mamy, które urodziły między 33. a 35. tygodniem ciąży, wielokrotnie udaje nam się zostawić w szpitalu na cały pobyt dziecka w placówce.

> Dzieci podczas pobytu w szpitalu, czasem wielotygodniowego, pozbawione obecności rodziców, muszą być dłużej hospitalizowane, wolniej zdrowieją, częściej występują u nich powikłania w porównaniu z tymi dziećmi, których mamy są przy nich

I jest jeszcze jeden wspaniały pomysł szpitala, w którym pan pracuje: „oko na malucha".

To jest pomysł na środek pobytu dziecka w szpitalu. Mówiliśmy o okresie początkowym, mówiliśmy o końcowym, w którym mama musi dobrze poznać swoje dziecko, nim zostanie z nim sam na sam w domu. A „oko na malucha" to pomysł na czas pomiędzy, cztery–sześć tygodni, kiedy mama może dziecko tylko odwiedzać. Pamiętajmy, że nie wszystkie mamy rodzą w miejscu zamieszkania, wiele ma już w domu starsze dzieci, którymi muszą się zająć. Stres związany z urodzeniem dziecka chorego, z urodzeniem przedwczesnym dotyka całej rodziny, wszystkich domowników. Porównywany on jest ze stresem pourazowym. Do tego dochodzi jeszcze napięcie związane z pandemią. Strach o zdrowie, o pracę. Biorąc pod uwagę wszystkie te okoliczności, mama musi wybrać mniejsze zło. Nie każda może być w szpitalu z chorym dzieckiem cały czas. Dla tych wszystkich osób przygotowaliśmy „oko na malucha", żeby mama widziała swoje dziecko, żeby miała poczucie, że jest bezpieczne, nic mu nie grozi. Tą drogą przekazujemy też informacje na temat stanu dziecka. Badamy dziecko podczas włączonej transmisji wideo. Pokazujemy, co nam się podoba, co się poprawia, a co będzie wymagało leczenia. Nie jest to na pewno to samo, co kontakt lekarza z rodzicem, ale jest to lepsza forma niż kontakt telefoniczny co kilka dni. „Oko na malucha" świetnie zdało egzamin. Mamy dużo uwag pozytywnych, możemy też poprawiać to, co poprawy wymaga. Ten system jest też ważny z punktu widzenia oceny rozwoju i jego stymulacji. Nagrania wideo poprawiają diagnostykę neurorozwojową. Widać, co wymaga większej pracy. Od kwietnia ub.r. w projekcie wzięło udział 200 noworodków. Rekordziści mieli po 100 i więcej połączeń podczas pobytu w szpitalu. Z danych do logowania korzysta także dalsza rodzina.

Dlaczego nie można przygotować na poziomie Ministerstwa Zdrowia jednakowych dla wszystkich placówek wytycznych dotyczących obecności rodzica przy noworodku w szpitalu?

Bo każda placówka jest w nieco innej sytuacji i trudno przygotować identyczne wytyczne dla wszystkich. Każda placówka ma inne możliwości lokalowe, logistyczne. Szczegóły pozostawiono w gestii dyrektorów poszczególnych placówek. Potrzebny jest też zwykły zdrowy rozsądek. W większości szpitali oddział neonatologiczny to duża sala z wieloma inkubatorami, co samo w sobie w dobie epidemii łamałoby zasady dystansu społecznego, gdyby przy każdym inkubatorze siedział rodzic. Na pewno łatwiej byłoby zarządzać miejscami w oddziałach noworodkowych i położniczych w sytuacji, gdyby szpital dostawał na to dodatkowe wsparcie od państwa. Utworzenie nowej procedury dałoby impuls dyrektorom w nowym organizowaniu przestrzeni. Tu jest otwarty temat do rozmowy dla całego środowiska medycznego. Obok katalogu nowych wytycznych przygotowanie nowej procedury byłoby dużym osiągnięciem.

Minister zdrowia włączył rodziców wcześniaków do grupy 0, zapowiedział wcześniejsze szczepienia, ale w wielu miejscach mamom odmawia się podania szczepionki, ponieważ karmią piersią. Gdzie tu sens?

Karmienie piersią nie jest przeciwwskazaniem do szczepień, w tym również przeciwko COVID-19. Świetnym pomysłem jest natomiast przyspieszenie szczepień rodzicom dzieci przewlekle chorych, rodzicom wcześniaków. To pozwoli na powrót, w wielu miejscach, normalności w sprawowaniu opieki rodzicielskiej nad noworodkami i dziećmi przewlekle chorymi.

eprasa.pl 309770cdcb

Kubica na długim dystansie

Robert Kubica po wyjątkowo krótkiej zimowej przerwie udał się za Atlantyk, gdzie w ostatni weekend stycznia na Florydzie odbywa się prestiżowy całodobowy wyścig 24h Daytona. Cel był prosty: poznać od podszewki specyfikę takich maratonów, z myślą o ewentualnych regularnych startach właśnie w zawodach długodystansowych

Mimo że w tej misji zabrakło najważniejszego – samochód, którym startował Kubica i jego trzej zespołowi koledzy uległ awarii już po paru godzinach wyścigu – to przynajmniej udało się zdobyć pierwsze doświadczenia w tej wyjątkowej odmianie wyścigów. Wbrew pozorom różnic jest sporo i nawet zawodnik o ogromnym doświadczeniu w Formule 1 czy innych wymagających seriach musi się dostosować do zupełnie nowej rzeczywistości. Konieczność dzielenia kokpitu z kolegami, ekspresowe zmiany za kierownicą podczas pit stopów, strategia i przygotowanie fizyczne do całodobowej walki, jednoczesna obecność na torze samochodów kilku różnych klas, o różnych prędkościach i osiągach – to są nowości, z którymi trzeba się oswoić.

Daytona skupia na starcie śmietankę kierowców: mistrzowie i legendy amerykańskich wyścigów NASCAR czy IndyCar, zawodnicy z Formuły 1 czy DTM, a także wybitni specjaliści od zmagań długodystansowych walczą samochodami aż pięciu różnych kategorii. Wśród nich ta, w której barwy duńskiej ekipy High Class Racing reprezentował Kubica – czyli LMP2 – jest drugą najszybszą w stawce.

– Przyjazd tutaj to dla mnie nowe doświadczenie, sprawdzenie pewnych elementów – mówił Kubica podczas przygotowań na Florydzie. – Nie mówię tutaj o jeździe samym autem, ale o charakterystyce takich wyścigów. Jest dużo aspektów, które kierowca musi poznać. Trzeba po prostu się tu zjawić, żeby zobaczyć, jak to wygląda i przeżyć to doświadczenie. Głównym powodem mojego startu jest sprawdzenie, jak to wszystko wygląda.

Podczas treningów Kubica szybko wszedł w rytm, mimo że czasu spędzonego na torze było niewiele – samochód trzeba wszak dzielić ze zmiennikami: znanym z DTM Ferdinandem Habsburgiem oraz duńskimi zawodnikami Andersem Fjordbachem i Dennisem Andersenem. Pozytywną atmosferę w High Class Racing podbudowywały czasy okrążeń: regularne pozycje w czołówce, wsparte drugimi lokatami w kwalifikacjach i 100-minutowym wyścigu kwalifikacyjnym, zwiastowały walkę o najwyższe cele w kategorii LMP2.

Śmiało można było celować w pierwszą trójkę, ale w wyścigach decydujący wpływ na końcowy wynik ma wiele składników. Tempo kierowców i samochodu było na miejscu, zabrakło za to niezawodności. Marnym pocieszeniem jest to, że równie wcześnie walkę w 24h Daytona zakończyły dwa inne samochody ze ścisłej czołówki LMP2.

Motorsport opiera się także na sprzęcie, który bywa zawodny – nawet mimo ciężkiej pracy i doświadczenia mechaników oraz inżynierów. Kapryśna technika niejednokrotnie pozbawiała szans na zwycięstwa czy mistrzowskie tytuły, nawet gdy te były już na wyciągnięcie ręki. Kierowcy świetnie zdają sobie sprawę, ile różnych czynników może przeszkodzić w walce o sukcesy.

Główny cel Kubicy na ten wyścig nie został zrealizowany, ale mimo gorzkiego zakończenia przygody z Daytoną można się spodziewać, że prędzej czy później polski kierowca wróci za kierownicę prototypu LMP2. Jak sam podkreśla, takie samochody – startujące także w cyklu Długodystansowych Mistrzostw Świata i 24h Le Mans, jednym z najsłynniejszych wyścigów świata – zachowują czysto wyścigowe DNA. Dzięki dociskowi aerodynamicznemu ich prowadzenie jest bardziej zbliżone do maszyn Formuły 1 niż do samochodów GT oraz innych kategorii – daje zatem frajdę kierowcy, a wysoki poziom w stawce sprawia, że sukcesy będą miały swoją wartość i smak. Jednak by je odnosić, wszystkie najdrobniejsze elementy wyścigowej układanki muszą być na swoim miejscu. Podczas 24h Daytona zabrakło tylko jednego z nich, ale to wystarczyło, by walka na torze dobiegła końca, zanim jeszcze właściwie się rozpoczęła.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 50/0121/F

eprasa.pl 309770cdcb

Szczepionkowe

JAN ROKITA

Pierwszą pomyłką były pochopnie składane obietnice. Podczas facebookowej sesji pytań i odpowiedzi, odbytej 5 stycznia, premier Morawiecki obiecywał, iż „jest szansa od lata, żeby z powrotem można było korzystać z hoteli, żeby można było żyć wakacyjnie", a trzeba do tego tylko tego, „żebyśmy solidarnie i w odpowiedzialny sposób wszyscy przystąpili do programu szczepień". To było dwa miesiące po tym, jak amerykańsko-niemieckie konsorcjum Pfizer-BioNTech ogłosiło nadspodziewanie szybki sukces prób swojej szczepionki przeciw wirusowi COVID-19. A wkrótce potem pojawiły się jedna pod drugiej wieści o sukcesie prób analogicznych preparatów w kilku innych firmach farmaceutycznych. Nie tylko w Polsce zapanowała na krótko atmosfera szczepionkowego optymizmu. Komisja Europejska ogłosiła nawet, iż potrafi sprawić, aby szczepienia objęły do końca lata 2021 r. aż 70 proc. populacji Europejczyków (oczywiście tych unijnych), co de facto oznaczałoby koniec zarazy.

ENTUZJAZM I OBIETNICE

W połowie grudnia polski rząd z propagandowym przytupem uchwalił Narodowy Program Szczepień zakładający, że w pierwszej kolejności zostanie zaszczepiona ochrona zdrowia, a zaraz po niej osoby po sześćdziesiątce i mundurowi, do których wkrótce potem dołożono jeszcze nauczycieli i chorych przewlekle. Dokładnie w dniu Bożego Narodzenia Michał Dworczyk, ustanowiony faktycznie ministrem ds. szczepień, obwieścił rychły styczniowy termin, w którym wszyscy oni zaczną być szczepieni.

Ówczesny szczepionkowy entuzjazm można zrozumieć, zważywszy z jednej strony na dokuczliwy i rozwlekający się w czasie ciężar zarazy, a z drugiej – dużo szybsze w stosunku do wcześniejszych przypuszczeń ukończenie prac nad preparatami. Jedyna obawa, jaką wtedy formułowano, to ta, iż ludzie nie będą chcieli się szczepić. Na to został więc położony nie tylko nacisk państwowej propagandy, lecz także presja mediów oraz dość groteskowe publiczne perswazje celebrytów („Ja się zaszczepię!"), którzy – jak się wkrótce miało okazać – zręcznie wykorzystali całą rzecz nie tylko do autoreklamy, lecz także do zyskania przywileju szczepienia bez kolejki.

Wkrótce jednak miało się stać całkiem jasne, że przynajmniej w Polsce ludzi do szczepień wcale nie trzeba namawiać. Dobre nawyki powszechnych i przymusowych szczepień, wywodzące się jeszcze z PRL, nieźle się u nas utrwaliły i przechodzą nawet z pokolenia na pokolenie. Tyle tylko, że państwo, które pochopnie złożyło entuzjastyczne obietnice, okazało się niezdolne do tego, by się z nich wywiązać.

eprasa.pl 309770cdcb

Obietnice w ogóle dobrze składać w polityce ostrożnie, ale obietnice dotyczące życia i zdrowia ludzi składać należy z potrójną ostrożnością

pasmo pomyłek

I tak na początku stycznia dowiedzieliśmy się, że realna „pierwsza grupa" to tylko starsze osoby liczące co najmniej 75 lat, pod koniec tego miesiąca – że jednak tylko po osiemdziesiątce. Potem było już każdego dnia gorzej, gdy okazywało się, iż rozbudzone nadzieje nie zostaną spełnione z powodu braku preparatów. Jak zawsze gdy popyt wielokrotnie przewyższa podaż, przy rejestracji tu i ówdzie zaczęły się pojawiać kolejki, blokady linii telefonicznych i starzy ludzi odprawiani z kwitkiem. Trudno w istocie o bardziej emocjonalne antyrządowe obrazki, toteż nie dziwota, że na potęgę zaczęli je eksploatować opozycyjni politycy i media.

W takich sytuacjach nigdy do końca nie sposób dociec, ile winy tkwi w samym deficycie towaru, na który pojawiło się ogromne zapotrzebowanie, ile zaś w niezbornym systemie zarządzania i dystrybucji. A najbardziej naturalny społeczny odruch to jeszcze jedno rozczarowanie własnym państwem. Koszty już płacą ludzie sprawujący władzę. To w końcu nie przypadek, że w końcówce stycznia rozpoczęły się publiczne dywagacje na temat możliwości (a nawet potrzeby?) zmiany premiera, który jeszcze niedawno traktowany był jako najbardziej stabilny punkt całej rządowej konstrukcji. Ale koszty płaci i nadal płacić będzie polskie państwo. Rozczarowany i zazdrosny o sukces szczepień w Anglii niemiecki dziennikarz napisał w angielskiej gazecie, iż ogłaszając program szybkich szczepień, „Unia Europejska stworzyła największy w swojej historii program niszczący zaufanie". Nie tylko nie ma w tym wielkiej przesady, lecz te słowa z powodzeniem można odnieść również do gabinetu Morawieckiego.

Obietnice w ogóle dobrze składać w polityce ostrożnie, ale obietnice dotyczące życia i zdrowia ludzi składać należy z potrójną ostrożnością. Na polu biologicznego życia i zdrowia rozczarowania społeczne są z natury mocniejsze i głębsze, niż tam gdzie chodzi „tylko" o pieniądze. Niestety takiej rozwadze rządzących nie sprzyja atmosfera, w jakiej toczy się polityka, nie tylko w Polsce. A już zwłaszcza rządząca dziś Polską prawica nauczyła się niestety, że czas, w którym władza nie składa nowych obietnic, jest w gruncie rzeczy czasem dla polityki straconym.

SYMPTOMY KŁOPOTÓW

Tymczasem nie trzeba było wcale wielkiej wyobraźni, aby już jesienią przewidzieć możliwe kłopoty szczepionkowe. I to co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, dlatego że komu jak komu, ale koncernom farmaceutycznym (tzw. Big Pharma) nigdy nie należy ufać aż na tyle, aby na tym zaufaniu budować zobowiązania rządu wobec własnych obywateli. Nawet jeśli tzw. teorie konspiracyjne są w większości absurdalne, to fakt, iż to właśnie Big Pharma jest w nich najczęstszym negatywnym bohaterem, nie jest zapewne przypadkiem, a raczej odzwierciedla swoistą mądrość ludową. Po drugie, nikt rozsądny, kto na dodatek poznał i doświadczył w praktyce mechanizmów działania Unii Europejskiej, nie mógł przecież założyć, że jej biurokracja posiadła umiejętność kryzysowego

Fot. Andrzej Wiktor

epnasa.pl 309770cdcb

zarządzania trudnymi programami, wymagającymi szybkości reagowania, elastycznych procedur i sprytnego zabezpieczania własnych interesów przed lobbystami i interesownymi krętaczami. Wbrew eurosceptykom Unia ma nadal swoje rozliczne zalety. Ale nie daj Boże, aby powierzać jej dowodzenie w wojnie, konflikcie czy kryzysowej sytuacji. Muszą minąć miesiące (albo i lata) i musi powstać co najmniej pięć raportów na ten temat, aby Bruksela pojęła, jaką procedurę ma w nowej dla siebie sytuacji zastosować i na jakie ryzyko może być narażona. Ale wtedy już będzie zazwyczaj po wojnie, po konflikcie lub po kryzysie.

Gdy idzie o Big Pharma, to ostrzeżeniem powinny były być głośne fakty, jak to szefowie koncernów Moderna, a potem Pfizer sprytnie robili interesy na akcjach, które (jak potem tłumaczono mediom) najzupełniej prawo rządnie i „zgodnie z wcześniejszymi harmonogramami" wyprzedawali na wielką skalę dokładnie w dniu publikacji komunikatów o świetnych wynikach badań ich preparatów. Dwójka dyrektorów z Moderny w taki sposób uzyskała w maju ub.r. 30 mln dol., prezes Pfizera i jego zastępczyni zaś w listopadzie – 7,5 mln dol. Szefowie koncernów mają oczywiście pełne usta frazesów o pomocy i solidarności, czego ustawicznie domaga się od nich WHO, ale w istocie wzięli wielomiliardowe dotacje od rządów i uruchomili w zawrotnym tempie badania nad szczepionką także po to, by na tym porządnie zarobić.

Tymczasem Komisja Europejska – instytucja organicznie niezdolna do prowadzenia biznesowych blitzkriegów i bynajmniej nie stworzona dla takiego celu – płaciła mniej niż szejkowie arabscy, Waszyngton czy Londyn, a na dodatek przy pierwszych negocjacjach handlowych została ograna przez biznesowe wygi z Big Pharmy, co wyszło na jaw, gdy zaczęła się światowa awantura pomiędzy von der Leyen i szefostwem AstraZeneki. Trzeba było zatem sporej niefrasobliwości, aby na podstawie takich biznesowych ruchomych piasków uchwalać aż „Narodowy" Program Szczepień i obiecywać Polakom, że jeszcze tego lata dzięki szczepionce będą mogli sobie „żyć wakacyjnie". Ani Unii Europejskiej, ani wolnego rynku, a już zwłaszcza gdy jest to wilczy rynek współczesnej farmacji, w żadnym razie nie należy testować w warunkach kryzysu ani tym bardziej faktycznego stanu wyjątkowego.

W GESTII PAŃSTWA

Pomyłka z łatwymi obietnicami, pomyłka z naiwnością wobec Big Pharmy, a na domiar złego pomyłka z instytucjami unijnymi. Wygląda to trochę tak, jakby Polska, dotąd roztropnie sceptyczna wobec praktyki unijnej „solidarności", tym razem pod jakąś presją naprawdę uwierzyła, iż kwestię szczepień lepiej rozwiązać potrafi Komisja Europejska niż suwerenne państwo polskie. Inaczej bowiem trudno wyobrazić sobie racje, dla których polski rząd tak całkowicie powierzył się Unii, przyznając w praktyce wyłączność Komisji na zatroszczenie się nie tylko o zdrowie i życie Polaków, lecz również – co warte podkreślenia – o losy polskiej gospodarki. Nigdy za dużo powtarzać, że najpoważniejsze problemy o wymiarze globalnym skutecznie rozwiązuje się tylko na poziomie państw. Tak było w kryzysie imigracyjnym roku 2015, kiedy przy zupełnej niemocy UE to odważne decyzje małych państw bałkańskich oraz Węgier i Austrii doprowadziły do realnego zablokowania prawdziwej inwazji. Tak było również w ciągu całego ub.r., kiedy państwa dysponujące służbami policyjnymi i sanitarnymi, a także zdolne do zarządzenia stanu wyjątkowego, postawiły jako taką tamę zarazie, przy kompromitacji głównej międzynarodowej agendy od zdrowia – WHO, oraz naturalnej i nie wiedzieć dlaczego budzącej oburzenie (np. w Italii) bierności instytucji unijnych.

> Nie trzeba było wcale wielkiej wyobraźni, aby już jesienią przewidzieć możliwe kłopoty szczepionkowe. I to co najmniej z dwóch powodów

Dzieje się tak nie dlatego, iżby międzynarodowe organizacje były niepożyteczne, a Unia Europejska do niczego się nie nadawała. Wcale nie! Ale z tej racji, że wyłącznie państwa mają w swojej gestii ustawodawstwo, środki prawnego przymusu i efektywną moc egzekucyjną konieczną do reagowania kryzysowego. Jeśli ostatnio wszczęta została dyskusja o możliwości zastosowania wobec koncernów tzw. licencji przymusowej, czyli faktycznego przejęcia bądź wymuszenia lokalnej produkcji szczepionek, to jest to instrument leżący jedynie w gestii władz państwowych. I tylko państwa są zdolne do szybkiego i suwerennego podejmowania decyzji, bez konieczności słuchania sprzecznych instrukcji płynących z Paryża czy Berlina i bez obawy o narażenie się na wrogość tego czy innego prezydenta lub kanclerza. Szeroko komentowana w mediach uległość Komisji wobec presji Francji, blokującej zbyt daleko idące kontrakty szczepionkowe w obawie, że wypchnie to z rynku opóźniony w badaniach francuski koncern Sanofi, może służyć za podręcznikowy przykład właśnie tego rodzaju unijnej słabości.

Jeśli więc zdarzają się w polityce takie chwile, w których ewidentna się staje swoista „wyższość" suwerennego państwa zarówno wobec wolnego rynku, jak i wszelkich tworów ponadnarodowych, to są to właśnie chwile zagrożenia, kryzysu, stanu wyjątkowego. Takie jak moment obecny, gdy toczy się gra o uratowanie życia wielu Polaków, a także o stan, w jakim po pandemicznym kryzysie znajdzie się polska gospodarka. Gra, w której może najważniejszą stawką jest groźba załamania się resztek wiary Polaków w sprawczość własnego państwa. Dlatego tak trudno wyjaśnić, dlaczego ktoś taki jak Mateusz Morawiecki – polityk tak mocno sceptyczny wobec rynku i tak lubiący być widzianym jako „państwowiec" – w takim właśnie momencie zdał się tak łatwo na Unię i Big Pharmę. Przy okazji także swoją karierę polityczną w jakiejś mierze zawierzając pani von der Leyen i negocjującym z nią szefom koncernów farmaceutycznych.

eprasa.pl 309770cdcb

Na tropie wirusa

Dr Anthony Fauci, główny amerykański epidemiolog, na forum ekonomicznym w Davos powiedział, że geneza pandemii COVID-19 jest nadal nieznana, choć mamy do czynienia „z wielkim czarnym pudełkiem o okropnej zawartości". Czy eksperci WHO (na zdj.) badający przyczyny zarazy w Wuhanie przełamią chińską zmowę milczenia? Trudno w to uwierzyć

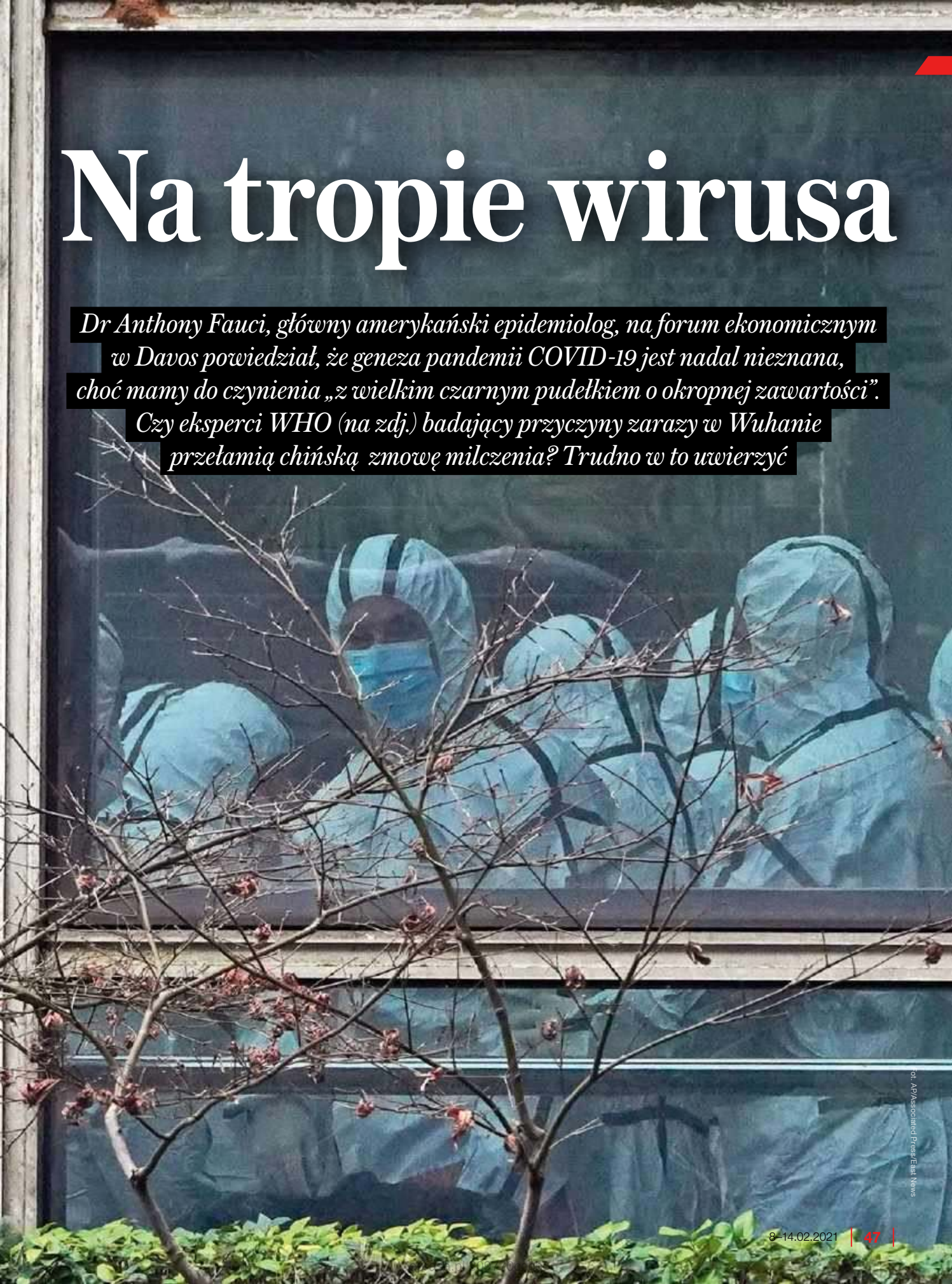

fot. AP/Associated Press/East News

MAREK BUDZISZ

Czy misja Światowej Organizacji Zdrowia (WHO), która po wielomiesięcznych negocjacjach prowadzonych z rządem Chin przybyła do Wuhanu i w ubiegłym tygodniu, po odbyciu obowiązkowej dwutygodniowej kwarantanny, rozpoczęła pracę, rzuci nieco światła na temat źródeł infekcji, która powaliła świat na kolana i kosztowała do tej pory życie ponad 2,3 mln ludzi? Wątpliwe.

„Negocjowanie możliwości prowadzenia dochodzenia w Chinach zajęło im cały rok" – powiedział dziennikowi „The Washington Post" Lawrence Gostin, profesor polityki zdrowotnej na Uniwersytecie Georgetown. „To tak, jakby doszło do morderstwa i rok później wracasz na miejsce zbrodni po tym, jak zostało ono wyczyszczone, i spodziewasz się, że coś znajdziesz".

Inni dowodzą, że eksperci wybrani przez Światową Organizację Zdrowia, wchodzący w skład zespołu, który pojechał do Wuhanu, nie mają doświadczenia z badaniem infekcji odzwierzęcych, a ponadto cała misja prowadzona jest na warunkach podyktowanych przez Pekin.

Ponadto władze chińskie od dłuższego już czasu lansują teorię, że wirus, który spowodował pandemię, długo krążył po świecie i w związku z tym trudno mówić o tym, aby Wuhan miało być źródłem infekcji. Hua Chunying, rzecznik prasowy chińskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, powiedziała na początku stycznia, że „coraz więcej dowodów lub badań sugeruje, że pandemia prawdopodobnie została spowodowana przez oddzielne wybuchy epidemii w wielu miejscach na świecie" i dlatego, w jej opinii, badania nad jej przyczynami winny być prowadzone w skali świata, a nie wyłącznie w Chinach.

Nie da się ukryć, że ślady tego rodzaju podejścia znaleźć można również w oficjalnym dokumencie WHO regulującym zasady prowadzenia badań nad genezą pandemii, jaki został przyjęty ostatniego dnia lipca ubiegłego roku. „Miejsce wykrycia epidemii niekoniecznie odzwierciedla miejsce, w którym się zaczęła" – możemy tam przeczytać. „Podczas obserwacji w Wuhanie zidentyfikowano zapalenia płuc o nieznanej etiologii, jednak nie można wykluczyć możliwości, że wirus mógł po cichu krążyć gdzie indziej". W innej części dokumentu znajdują się zapisy sugerujące, że być może dlatego wirus został odkryty w Wuhanie, ponieważ miasto znane jest z wysokiej jakości systemu monitorowania chorób.

> W światowych mediach pojawiły się informacje, że władze chińskie blokują możliwość spotkania się rodzin ofiar osób, które zmarły w Wuhanie w wyniku pandemii, z przedstawicielami misji naukowej WHO

INFORMACYJNY MUR

Osobną kwestią jest to, czy naukowcy przysłani przez WHO uzyskają dostęp do wyników badań chińskich uczonych, pobranych próbek lub dokumentacji medycznej. O spotkaniach z lekarzami, którzy alarmowali o wybuchu nieznanej epidemii jeszcze w grudniu 2019 r., a potem przepadli, już nie wspominając.

Te wątpliwości są tym bardziej uprawnione, bo – jak ujawnili autorzy specjalnego dochodzenia dziennikarskiego opublikowanego dzień przed sylwestrem 2020 r. przez Associated Press – władze w Pekinie nie żałują pieniędzy ani wysiłków, aby zmącić obraz źródeł pandemii. Co ciekawe, chiński rząd, jak wynika ze zdobytych oficjalnych dokumentów, finansuje nadal dziesiątki projektów badawczych, których celem jest zbadanie genezy i pochodzenia wirusa, ale publikacja ich wyników jest zabroniona. O randze, jaką przywiązuje się w Pekinie do sprawy, świadczy to, że zarówno badania, jak i ujawnianie ich wyników nadzoruje specjalny zespół podporządkowany osobiście przywódcy Xi Jinpingowi.

Dziennikarze pracujący dla Associated Press przeprowadzili dziesiątki rozmów z chińskimi i zagranicznymi uczonymi badającymi genezę pandemii, dotarli do obfitej korespondencji między ośrodkami naukowymi a czynnikami oficjalnymi, zdobyli również dokumenty najwyższych władz. Wyłania się z nich obraz ścisłej kontroli, narzuconej chińskiej społeczności naukowej przez władze, których celem jest nieujawnianie niewygodnych informacji. Podobne podejście zarysowało się już wcześniej, a obsesyjna obawa przed „ucieczką informacji wrażliwych", która jest cechą chińskiej kultury naukowej, spowodowała zdaniem wielu ekspertów opóźnienia w informowaniu światowej opinii publicznej na temat wybuchu epidemii wywołanej nieznanym wirusem w ostatnich miesiącach 2019 r.

Teraz jednak mamy do czynienia ze zorganizowaną, finansowaną i kontrolowaną przez najwyższe czynniki państwowe operacją, której celem jest utrudnienie dojścia do prawdy na temat genezy pandemii. „Wybierają tylko te osoby, którym mogą zaufać, te, nad którymi mogą sprawować kontrolę" – powiedział dziennikarzom AP pragnący zachować anonimowość ekspert ds. zdrowia publicznego, regularnie współpracujący z chińską agencją antyepidemiczną. „Zespoły wojskowe i inni ciężko pracują nad tym, ale to, co zostanie opublikowane, zależy od wyniku".

W światowych mediach pojawiły się też informacje, że władze chińskie blokują możliwość spotkania się rodzin ofiar osób, które zmarły w Wuhanie w wyniku pandemii, z przedstawicielami misji naukowej WHO. „Mam

eprasa.pl 309770cdcb

nadzieję, że eksperci WHO nie staną się narzędziem do rozpowszechniania kłamstw" – powiedział mediom Zhang Hai, którego ojciec zmarł na COVID-19 1 lutego 2020 r. To on zorganizował stowarzyszenie rodzin ofiar pandemii, a obecnie domaga się możliwości rozmowy z ekspertami: „Nieustannie szukaliśmy prawdy. To był czyn przestępczy i nie chcę, aby WHO przyjeżdżała do Chin, aby ukryć te zbrodnie".

Doniesienia napływające z Chin świadczą też o tym, że tamtejsze władze, głównie na szczeblu lokalnym robią wiele, aby uciszyć głosy rodzin ofiar wściekłych na to, jak potraktowano ich krewnych.

POD ŚCISŁYM NADZOREM

Praca zespołu naukowców WHO w Wuhanie, jak zauważają obserwatorzy, podlega ścisłemu nadzorowi ze strony chińskich władz i wątpliwe jest to, aby udało im się zdobyć nowe dane lub spotkać z osobami mogącymi rzucić więcej światła na genezę pandemii. Zresztą problemy się zaczęły, zanim eksperci Światowej Organizacji Zdrowia dotarli do Wuhanu. Najpierw pojawiły się kłopoty z chińskimi wizami, co skłoniło kierującego pracami WHO Etiopczyka Tedrosa Ghebreyesusa, krytykowanego za swą dotychczasową prochińską postawę, do wyrażenia rzadkiego w jego ustach poglądu, że zwłoka „jest bardzo rozczarowująca". Później dwoje ekspertów z zespołu, u których wykryto przeciwciała, nie uzyskało zgody na wjazd do Chin z Singapuru, który był punktem zbiórki międzynarodowego zespołu, bo mimo że wielokrotnie w swoich krajach byli testowani na obecność wirusa, odkryto go u nich. Wreszcie po dotarciu do Wuhanu wszyscy musieli odbyć obowiązkową ścisłą dwutygodniową kwarantannę.

„Jedyną rzeczą, którą oglądałam przez 14 dni z hotelowego okna, był beton – powiedziała Reutersowi Thea Fischer, pochodząca z Danii specjalistka wirusolog, dodając, że przez dwa tygodnie jedyną możliwością zobaczenia istoty ludzkiej był moment, kiedy jej i dwóm mieszkającym w pokojach naprzeciwko członkom zespołu mierzono temperaturę ciała. Obserwatorzy zwracają też uwagę na to, że eksperci WHO musieli się podporządkować ogłoszonym przez chińskie władze zasadom polityki 14 + 7 + 7, co oznacza, że w praktyce nie będą mogli się spotykać w większym gronie i będą mieli limitowany dostęp do osób i miejsc udostępnionych im wyłącznie przez chińskie władze.

TAKTYKA OPÓŹNIANIA

Dziennik „The New York Times" zwraca uwagę na to, że stosując przez wiele miesięcy taktykę opóźniania przyjazdu misji ekspertów WHO, jako że przygotowująca ją wizyta rekonesansowa dwójki specjalistów odbyła się w lipcu ubiegłego roku, władze chińskie wywierały presję na społeczność międzynarodową, aby to ich naukowcy przeprowadzili istotną część dochodzenia w sprawie genezy pandemii. Ostateczna zgoda Pekinu na przyjazd ekspertów zdaniem niektórych obserwatorów powodowana była w większym stopniu, jak argumentowały oficjalne media, chęcią pokazania, że Pekin „nie ma nic do ukrycia", niźli chęcią dociekania źródeł pandemii.

> Władze w Pekinie nie żałują pieniędzy ani wysiłków, aby zmącić obraz źródeł pandemii. Ale chiński rząd, jak wynika z oficjalnych dokumentów, finansuje dziesiątki projektów badawczych, których celem jest zbadanie genezy i pochodzenia wirusa. Jednak publikacja ich wyników jest zabroniona

Mimo oficjalnego optymizmu Petera Daszaka, brytyjskiego zoologa i epidemiologa, który kieruje pracami zespołu, niewiele wskazuje na to, że misji WHO uda się zdobyć nowe informacje. Członkowie zespołu mieli np. do tej pory możliwość obejrzenia m.in. rynku Baishazhou, gdzie handlowano i nadal handluje się żywymi zwierzętami, skąd – jak głosi jedna z teorii – pandemia rozprzestrzeniła się na świat. Reporterzy Associated Press donieśli jednak, że wizyta trwała godzinę i bardziej przypominała spacer niźli zbieranie niezbędnych danych, które zresztą po ponad roku najprawdopodobniej nie istnieją. W Instytucie Wirusologii w Wuhanie, skąd w świetle innej teorii miał „uciec" śmiertelny wirus, eksperci WHO spędzili jedynie trzy godziny.

Niezależnie od tego, jakiego rodzaju nowe informacje uda się zdobyć misji WHO w Wuhanie, świat nieprędko pozna jej raport na temat genezy pandemii. Tarik Jasarevic, rzecznik prasowy Światowej Organizacji Zdrowia, mówił już kilkakrotnie, że badanie dróg rozprzestrzeniania się wirusa COVID-19 to „złożony proces i podobnie jak w przypadku innych pandemii, takich jak MERS czy SARS, zbadanie wszystkiego zajmie wiele czasu". Podobnego zdania jest Marion Koopmans wchodząca w skład zespołu badawczego WHO, specjalistka wirusolog z Holandii. Powiedziała ona w wywiadzie dla CGTN, chińskiego kanału telewizji państwowej, że badanie genezy pandemii zakłada zebranie i ocenę wszystkich dostępnych informacji, jest „procesem długofalowym". Wszystko wymaga czasu, tym bardziej że – jak zadeklarował już w ubiegłym roku jeden z głównych specjalistów WHO ds. pandemii – żadna teoria jej pochodzenia nie może być a priori odrzucona.

I może właśnie o to chodzi. Naukowcy przez najbliższe lata będą debatować nad genezą zarazy, ale zapewne nie udzielą przekonującej odpowiedzi. Trudno w takiej sytuacji znaleźć winnych. Natomiast Chiny będą udowadniać, że współpracują ze światową społecznością, i podkreślać, że to na pewno nie w wyniku zaniechań, manipulacji ani zaniedbań władz w Wuhanie epidemia rozlała się na cały świat. A szeroka publiczność będzie musiała się zadowolić przekonaniem, że mamy do czynienia z kolejnym nieszczęściem, które przez stulecia nawiedziły ziemię.

eprasa.pl 309770cdcb

Grabowski kontra Reduta

Dosłownie na dniach rozpocznie się w Warszawie proces cywilny przeciwko Reducie Dobrego Imienia, wobec której pozew złożył dobrze znany w Polsce historyk Jan Grabowski. Twierdzi on, że liczne wypowiedzi i listy otwarte RDI, krytykujące jego publikacje i zarzucające im nierzetelność, naruszają jego dobre imię

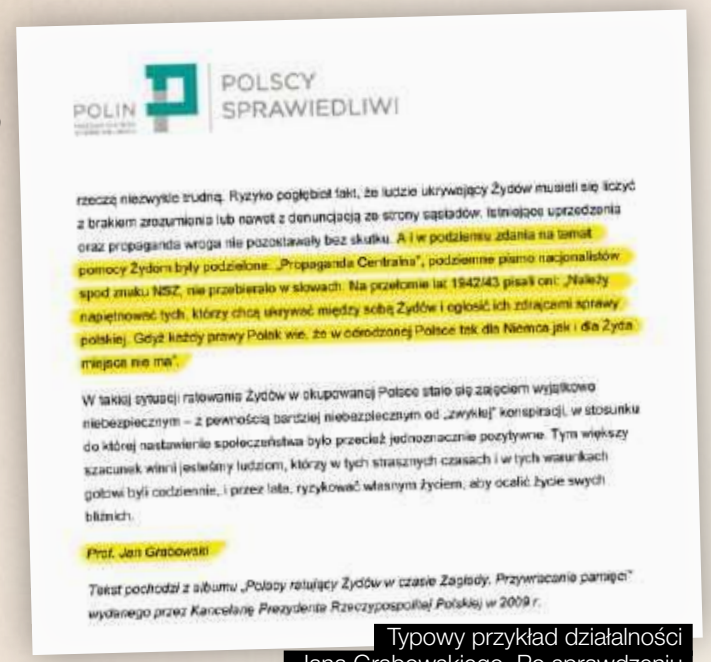

POLIN POLSCY SPRAWIEDLIWI

rzeczą niezwykle trudną. Ryzyko pogłębiał fakt, że ludzie ukrywający Żydów musieli się liczyć z brakiem zrozumienia lub nawet z denuncjacją ze strony sąsiadów. Istniejące uprzedzenia oraz propaganda wroga nie pozostawały bez skutku. A i w podziemiu zdania na temat pomocy Żydom były podzielone. „Propaganda Centralna", podziemne pismo nacjonalistów spod znaku NSZ, nie przebierało w słowach. Na przełomie lat 1942/43 pisali oni: „Należy napiętnować tych, którzy chcą ukrywać między sobą Żydów i ogłosić ich zdrajcami sprawy polskiej. Gdyż każdy prawy Polak wie, że w odrodzonej Polsce tak dla Niemca jak i dla Żyda miejsca nie ma".

W takiej sytuacji ratowanie Żydów w okupowanej Polsce stało się zajęciem wyjątkowo niebezpiecznym – z pewnością bardziej niebezpiecznym od „zwykłej" konspiracji, w stosunku do której nastawienie społeczeństwa było przecież jednoznacznie pozytywne. Tym większy szacunek winni jesteśmy ludziom, którzy w tych strasznych czasach i w tych warunkach gotowi byli codziennie, i przez lata, ryzykować własnym życiem, aby ocalić życie swych bliźnich.

Prof. Jan Grabowski

Tekst pochodzi z albumu „Polacy ratujący Żydów w czasie Zagłady. Przywracanie pamięci" wydanego przez Kancelarię Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej w 2009 r.

Typowy przykład działalności Jana Grabowskiego. Po sprawdzeniu w oryginalnym źródle okazało się, że ten cytat brzmi zupełnie inaczej i został zmanipulowany. Pisałem o tym w tygodniku „Sieci" z 25.11.2019. Odpowiedzi Grabowskiego do tej pory nie ma

PIOTR GONTARCZYK

Kłopot w tym, że ani szef Reduty Maciej Świrski, ani naukowcy, którzy się pod jego publicznymi listami podpisywali, nie ogłosili niczego, o czym w Polsce od dawna nie wiedzieliby historycy. Bo Grabowski od lat stosuje w swojej działalności metody nieakceptowalne w świecie nauki. Oprócz klasycznej gamy manipulacji i fałszywych uogólnień w pisarstwie tego autora można napotkać także liczne relacje ze źródeł, które nie mają nic wspólnego z ich rzeczywistą treścią. Charakter i skala tego zjawiska są trudne do uwierzenia. Jest też coś niespotykanego w jego pracach, choć znanego z działalności „naukowej" KC PZPR lat 50. ub.w. Chodzi mianowicie o zmienianie treści cytowanych dokumentów źródłowych. Często się okazuje (po zweryfikowaniu), że oryginalne wyroki sądowe, zeznania świadków czy nawet artykuły konspiracyjnej prasy mają u niego inną treść. Kierunek tych zmian jest zawsze ten sam: wskazuje na intencjonalność i wydaje się szerszym elementem wysiłków autora, który zmierza do zniekształcenia zachowania wielu osób w czasie Holokaustu. Klucz jest tu niesłychanie prosty: im gorzej dla Polaków, tym lepiej.

W książce wydanej pod redakcją Barbary Engelking i Jana Grabowskiego „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski" dokonywanie rozmaitych nadużyć ma charakter seryjny. Do ciekawszych, które opisałem, należała zamiana dokonana w tekście dotyczącym strażaków z Węgrowa. Wedle przywołanego zeznania strażacy ci gasili getto, natomiast Grabowski stworzył fałszywy cytat o tym, że oni je podpalali (t. I, s. 466). Do historii badań nad Holokaustem Grabowski przejdzie zapewne za sprawą obozu zagłady w Treblince. Ponieważ napisał esej na temat powiatu węgrowskiego, a bardzo chciał wspomnieć o obozie, Treblinka zmieniła w książce lokalizację. Zarówno w eseju Grabowskiego, jak i w załączonych do książki mapach obóz został „przesunięty" w węgrowskie z sąsiedniego powiatu Sokołów Podlaski. Opisałem tę sprawę w tygodniku „Sieci" (2.11.2020). Odpowiedzi żadnej nie ma.

PARADA MANIPULACJI

Liczne manipulacje z książki „Dalej jest noc..." nie są początkiem kariery naukowej ani Grabowskiego, ani Engelking. Wziąłem kiedyś do ręki poprzednią monografię wspomnianej autorki „Jest taki piękny słoneczny dzień. Losy Żydów szukających ratunku na wsi polskiej 1942–1945" (2011). Rzecz pod względem naukowym i warsztatowym może budzić tylko zażenowanie. Ale prawdziwe cuda zaczęły się, kiedy postanowiłem sprawdzać niektóre fakty i cytaty. Najobszerniej opisane w książce rzekome mordy dokonane przez Polaków, przypisane braciom Hryciom w powiecie Bielsk Podlaski, okazały się mistyfikacją. Sprawę opisałem w tygodniku „Sieci", a potem w obszernym artykule naukowym

eprasa.pl 309770cdcb

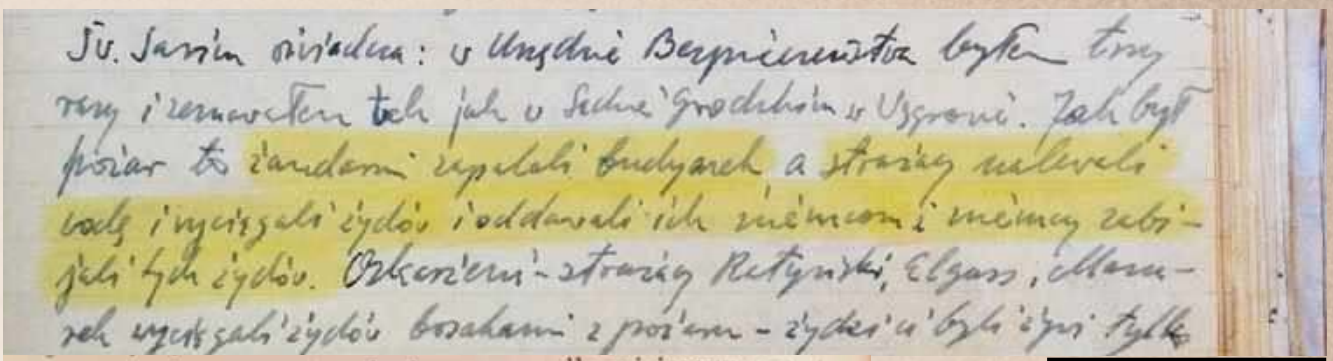

Zeznanie Adama Sasima jest jasne: strażacy gasili getto w Węgrowie. Jan Grabowski powołał się na nie i napisał, że strażacy je podpalali

szczątkowym w Węgrowie zadanie to przypadło miejscowym strażakom. Wspominał to polski obywatel Węgrowa: „Strażacy pomagali Niemcom podpalać budynki getta szczątkowego, a potem bosakami wyciągali zmoczonych Żydów z płonących domów"[146]. Następnie prowadzili Żydów na „mogiłki" (teren cmentarza żydowskiego), gdzie Niemcy rozstrzeliwali schwytanych.

w czasopiśmie „Dzieje Najnowsze". Autorka nie odpowiedziała. Potem próbowałem weryfikować cytaty. Pierwszy, jaki sprawdziłem w aktach sądowych (dotyczył tragicznej śmierci Żyda Pejsaka Szczura), okazał się nie tylko paradą koszmarnych błędów. Był on także – można się domyślać, że chodziło o podkręcenie dramatyzmu opisywanej sytuacji – kompilacją dwóch różnych zeznań złożonych przez świadka w różnym okresie i przed różnymi sądami. Jestem zdania, że takie działanie wykracza poza najbardziej liberalne definicje uprawiania nauki.

Co ciekawe, ten sam cytat znalazł się potem w eseju Jana Grabowskiego o powiecie węgrowskim. Pod nim autor sporządził przypis, że zaczerpnięto go z oryginalnych akt archiwalnych. To nieprawda. Łatwo będzie udowodnić, że został przepisany z książki Engelking.

Inne publikacje tego autora też nie budzą zaufania. Wydana przez niego w 2011 r. książka „Judenjagd. Polowanie na Żydów 1942–1945. Studium jednego powiatu" rzekomo miała być monografią losów Żydów w powiecie Dąbrowa Tarnowska. Po jej lekturze okazało się, że wiele przedstawionych w niej drastycznych i patologicznych zachowań niektórych Polaków wobec Żydów pochodzi z akt pochodzących z całej Polski: ze Śląska, Mazowsza, Białostockiego, Małopolski czy Podkarpacia. Zebrano je jednak w jednej książce, sugerując, że to monografia tego powiatu. Co to ma wspólnego z nauką? Nie wiadomo. Miażdżącą krytykę tego „dzieła" napisał w „Dziejach Najnowszych" prof. Bogdan Musiał. W odpowiedzi Grabowski nie używał rzeczowych argumentów, atakując głównie prof. Musiała ad personam.

Czytając „Judenjagd...", ja również odkryłem liczne przekłamania i nadużycia. Znalazłem nawet cytat, za pomocą którego autor przekonywał, że jedno z konspiracyjnych pisemek związanych z NSZ potępiało ukrywanie Żydów w czasach Holokaustu. Po sprawdzeniu oryginału okazało się, że ma on inną wymowę, a jego treść została przez Grabowskiego „docięta nożyczkami" tak, że operacja ta zmieniła jego treść. Co więcej, odkryłem, że tym zmanipulowanym cytatem autor posługuje się w swoich publikacjach od wielu lat! (opisałem to w „Sieciach" z 25.11.2019). O tym oraz o innych „cudach" w tej książce informowałem także Macieja Świrskiego z Reduty Dobrego

Fragment książki „Dalej jest noc" z przywołaniem „Księgi pamięci Żydów Bielska Podlaskiego" ze wspomnieniami Lejzera Dawidowicza

czenie obszaru zamieszkanego przez Żydów i przygotowanie do utworzenia gett. Na przykład w Brańsku wydano rozporządzenie, które „mówiło, że Żydzi nie mogą mieszkać pod jednym dachem z chrześcijanami. Jeżeli w domu jest Żyd i chrześcijanin, chrześcijanin może zostać, ale Żyd musi się wyprowadzić. Nie chrześcijanin, a właśnie Żyd musi się wyprowadzić. Dokąd ma się wyprowadzić? Do Żydów. [...] Trzeba było wyprowadzić się jak najszybciej. Dokąd? — To ich nie interesowało. W okolicę żydowską [...]. Goj zostawał w mieszkaniu, a Żyd się wynosił. Kiedy to się skończyło, wszyscy Żydzi zgromadzeni byli na jednym obszarze i Niemiec nie musiał ich poszukiwać"[172].

172 Lejzer Dawidowicz, *Skrawki z największej katastrofy ludzkiej* [w:] *Księga pamięci Bielska Podlaskiego*.

WNIOSKI: Omijając szereg błędów, które często popełnia autorka przy przepisywaniu cytatów ze źródeł trzeba wskazać na ewidentne zmiany intencjonalne. Treść cytatu była zmieniona w efekcie czego niemieckie zarządzenia przeciwżydowskie wyglądają na działania miejscowej ludności. W tym celu usuwano z relacji Lejzera Dawidowicza takie słowa jak „okupanci" i „Niemcy" to drugie słowo zastępując raz w cytacie słowem „ich", które odnosi się w cytacie do chrześcijan, czyli miejscowej ludności.

Pominięte lub zmienione fragmenty tekstu

Dwa tygodnie później przyszedł rozkaz zorganizowania władzy cywilnej w mieście władzy wojskowej, która powstała po odejściu Rosjan. Był to rodzaj rady miasta, do której zadań należało wydawanie mieszkańcom rozporządzeń. Po zorganizowaniu władzy cywilnej nasze położenie znacznie się pogorszyło. Wydawała ona rozporządzenia antyżydowskie nakazane przez Niemców. Pierwsze mówiło, że Żydzi nie mogą mieszkać pod jednym dachem z chrześcijanami. Jeżeli w domu mieszka Żyd i chrześcijanin, chrześcijanin może zostać, ale Żyd musi się wyprowadzić. Dokąd? Do innych Żydów. Rozporządzenie to było tym gorsze, że nie dano na to wyprowadzkę miesiący czy tygodni. Trzeba było wyprowadzić się jak najszybciej. Niemców nie interesowało, czy mają oni gdzie się przeprowadzić, byleby w okolicę żydowską i niech Bóg broni, oby nie do lepszego mieszkania. Robiono to, by utrudnić i pogorszyć sytuację Żydów. Bo ktoś, kto miał połowę czy dwa, musiał przyjąć jakąś rodzinę. Okupanci chcieli, aby Żydzi się podusili. Stosowano więc zasadę, że goj pozostawał w mieszkaniu, a Żyd się wynosił. Kiedy to się skończyło, wszyscy Żydzi zgromadzeni byli na jednym obszarze i Niemiec nie musiał ich poszukiwać.

eprasa.pl 309770cdcb

Imienia, który potem publicznie krytykował działalność Grabowskiego. Później, w 2019 r., napisałem o tym sfałszowanym cytacie artykuł w „Sieciach". Odpowiedzi autora do dzisiaj nie ma.

NAUKOWCY INACZEJ?

Fundamentalne tutaj pytanie brzmi, czy Grabowski i Engelking przestrzegają elementarnych zasad naukowego rzemiosła. Te nakazują m.in., by na tak poważne zarzuty, jakie od dwóch lat pojawiają się w moich tekstach w sprawie zmieniania treści wykorzystywanych źródeł, w jakiś sposób odpowiedzieć. Tak jak w przypadku zmieniania cytatu o strażakach, którzy gasili getto na tych, którzy je podpalają. Na odpowiedź czeka również tekst w sprawie „przeniesienia" w książce „Dalej jest noc..." obozu zagłady w Treblince z powiatu Sokołów Podlaski do powiatu węgrowskiego. Grabowski jednak milczy, w różnych wypowiedziach medialnych pozuje na niezależnego historyka, a krytykę swoich prac natychmiast szufladkuje jako ideologiczne odrzucanie jego „ustaleń naukowych". Ta farsa od lat przypomina, wypisz wymaluj, bajkę Jana Christiana Andersena „Nowe szaty cesarza", w której krawcy wychwalali swoje nieistniejące dzieło, a tych, którzy go nie widzieli, opisywali jako ślepców i głupców. Tymczasem nawet dziecko jest w stanie zauważyć, że z wiarygodnością publikacji Grabowskiego jest coś grubo nie tak.

Na bardzo poważne zarzuty warsztatowe, w tym także zmieniania treści źródeł, Grabowski w Polsce odpowiada milczeniem, a za granicą, gdzie metody działania tego autora nie są bliżej znane, politycznym szufladkowaniem i epitetami. Teraz rozpoczął proces przeciwko RDI, złożył pozew w celu obrony swojego „dobrego imienia". A może nich najpierw autor publicznie ustosunkuje się do merytorycznych zarzutów?

Żeby było zabawniej, w jednym z pism procesowych pełnomocnicy Grabowskiego odrzucili wszystkich naukowców, których chciała wezwać Reduta w celu pokazania, czym zawodowo para się ten autor. Wszyscy oni mieli się wypowiadać krytycznie o pisarstwie Grabowskiego, a zatem są niewiarygodni. Mają być przeprosiny chyba bez żadnego procedowania i niewygodnych historyków. Ja również zostałem przez Grabowskiego odrzucony, jako osoba, która w przeszłości wypowiadała się krytycznie o jego pisarstwie, autora nazywając rzekomo, tak jak i jemu podobnych, „oszustami". Nie, żeby ta opinia była jakoś przesadnie daleka od tego, co w rzeczywistości myślę, ale nigdy takich słów nie wypowiedziałem. Ktoś spisał je z anonimowego bloga w internecie...

Artykuł ten ilustrują przykłady manipulowania lub nawet zmieniania treści źródeł przez Barbarę Engelking, ale głównie przez Jana Grabowskiego. Wspomniany w znamienny sposób wykorzystał jeden z najważniejszych dokumentów dotyczących Holokaustu, czyli raport Friedricha Katzmanna z likwidacji Żydów galicyjskich. Nie oszczędził nawet literatury pięknej, nierzetelnie wykorzystując opowiadanie Marii Nałkowskiej „Przy torze"... Inne manipulacje tegoż autora opisałem w poprzednich artykułach, mogę też bez problemu przedstawić kolekcję następnych. Bo pytanie jest tylko jedno: czy „dobrego imienia" będziemy już bronić tylko sądowymi pozwami i prawniczymi „kruczkami"?

Autor jest pracownikiem IPN. Artykuł odzwierciedla wyłącznie jego poglądy

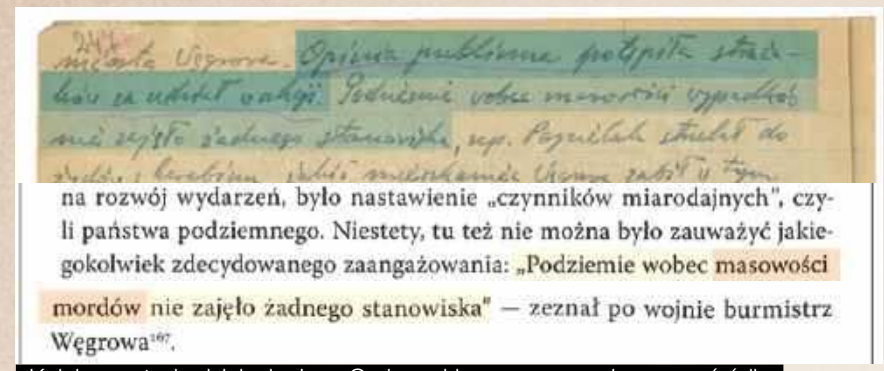
na rozwój wydarzeń, było nastawienie „czynników miarodajnych", czyli państwa podziemnego. Niestety, tu też nie można było zauważyć jakiegokolwiek zdecydowanego zaangażowania: „Podziemie wobec masowości mordów nie zajęło żadnego stanowiska" — zeznał po wojnie burmistrz Węgrowa[167].

Kolejna metoda działania Jana Grabowskiego: w przywoływanym źródle mowa jest o tym, że podziemie nie reagowało na „wypadki" patologicznych zachowań niektórych Polaków. Grabowski zmienił jedno słowo w cytacie. Słowo „wypadków" zmienił na słowo „mordów" Polaków na Żydach. Zmienił jedno słowo, „wprowadzając" do źródła treści, których tam nie ma. W każdej przyzwoitej szkole naukowej tego rodzaju działania mogłyby zostać śmiało uznane za fałszerstwo

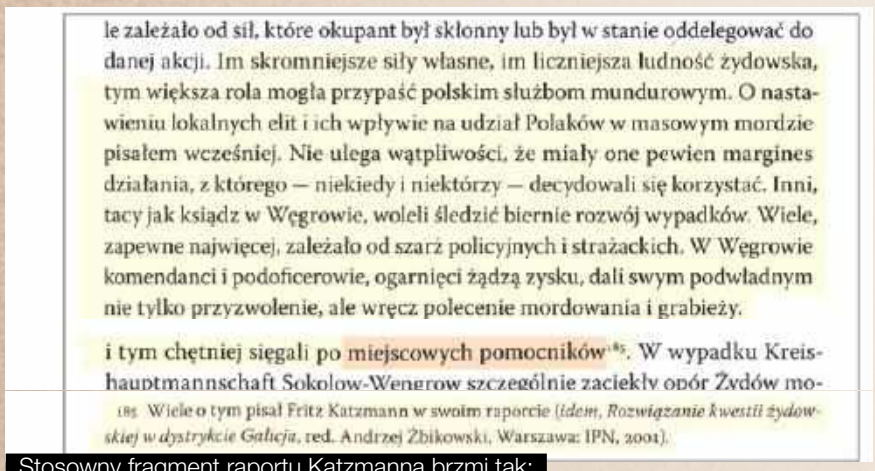
le zależało od sił, które okupant był skłonny lub był w stanie oddelegować do danej akcji. Im skromniejsze siły własne, im liczniejsza ludność żydowska, tym większa rola mogła przypaść polskim służbom mundurowym. O nastawieniu lokalnych elit i ich wpływie na udział Polaków w masowym mordzie pisałem wcześniej. Nie ulega wątpliwości, że miały one pewien margines działania, z którego — niekiedy i niektórzy — decydowali się korzystać. Inni, tacy jak ksiądz w Węgrowie, woleli śledzić biernie rozwój wypadków. Wiele, zapewne najwięcej, zależało od szarż policyjnych i strażackich. W Węgrowie komendanci i podoficerowie, ogarnięci żądzą zysku, dali swym podwładnym nie tylko przyzwolenie, ale wręcz polecenie mordowania i grabieży.

i tym chętniej sięgali po miejscowych pomocników[185]. W wypadku Kreishauptmannschaft Sokolow-Wengrow szczególnie zaciekły opór Żydów mo-

185 Wiele o tym pisał Fritz Katzmann w swoim raporcie (*idem*, *Rozwiązanie kwestii żydowskiej w dystrykcie Galicja*, red. Andrzej Żbikowski, Warszawa: IPN, 2001).

Stosowny fragment raportu Katzmanna brzmi tak:

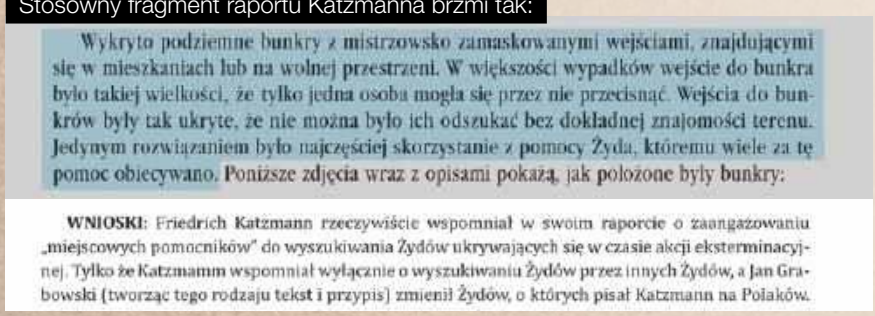
Wykryto podziemne bunkry z mistrzowsko zamaskowanymi wejściami, znajdującymi się w mieszkaniach lub na wolnej przestrzeni. W większości wypadków wejście do bunkra było takiej wielkości, że tylko jedna osoba mogła się przez nie przecisnąć. Wejścia do bunkrów były tak ukryte, że nie można było ich odszukać bez dokładnej znajomości terenu. Jedynym rozwiązaniem było najczęściej skorzystanie z pomocy Żyda, któremu wiele za tę pomoc obiecywano. Poniższe zdjęcia wraz z opisami pokażą, jak położone były bunkry:

WNIOSKI: Friedrich Katzmann rzeczywiście wspomniał w swoim raporcie o zaangażowaniu „miejscowych pomocników" do wyszukiwania Żydów ukrywających się w czasie akcji eksterminacyjnej. Tylko że Katzmann wspomniał wyłącznie o wyszukiwaniu Żydów przez innych Żydów, a Jan Grabowski (tworząc tego rodzaju tekst i przypis) zmienił Żydów, o których pisał Katzmann na Polaków.

eprasa.pl 309770cdcb

Wchodzimy w rywalizację wielkich mocarstw.

Z tego wybuchały wojny

Nadchodzą bardzo trudne czasy. Łamie się kolektywny, konstruktywistyczny ład. Amerykanie mają ogromne problemy i mogą się wycofać z Europy

Z dr. Jackiem Bartosiakiem, ekspertem ds. geopolityki i strategii, założycielem i właścicielem think tanku Strategy & Future, rozmawia Kamil Kwiatek

W jednej ze swoich wypowiedzi powiedział pan, że pandemia ma „podobne skutki do wojny systemowej o dominację na świecie". Czy po roku zmagania się z koronawirusem, gdy państwa rozpoczęły szczepienia swoich obywateli, można już powiedzieć, kto będzie zwycięzcą tej wojny, a kto przegranym?

Jacek Bartosiak: Nie, na to jest jeszcze za wcześnie. To dopiero początek wojny o dominację na świecie.

Kiedy pana zdaniem będziemy wiedzieć więcej?

Wstępna odpowiedź przyjdzie po kilku pierwszych miesiącach działania administracji nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych Joego Bidena. Wtedy się dowiemy, w którym kierunku zmierza rywalizacja. Zobaczymy, czy Amerykanie rozpoczną reformę swojego państwa, ważne będzie również nastawienie Waszyngtonu do Pekinu i to, jak Amerykanie układają się z Europejczykami.

Wspomniał pan o Chinach. Niedawno doszło do podpisania umowy na linii UE–Chiny. Wielu komentatorów zwróciło uwagę na nagłe przyspieszenie w trwających od siedmiu lat negocjacjach. Komu zależało na tym, aby do sfinalizowania umowy doszło jak najszybciej?

Myślę, że największy interes miała w tym Unia Europejska, czyli właściwie polityczni aktorzy decydujący o jej kierunku. Dotychczas Europejczycy grali na nierównym boisku, które sprzyjało Amerykanom i Chińczykom. Europa nie chciała być dłużej traktowana jak przedmiot, a to porozumienie ma sprawić, że będzie miała ona lepsze karty w ręku do rozmów z Amerykanami i Chińczykami. Taka argumentacja była w Niemczech i we Francji, i to co do zasady prawda, ale oczywiście sprawa jest bardziej złożona. Europa przecież będzie mogła grozić Chinom nieratyfikowaniem umowy,

eprasa.pl 309770cdcb

stawia ją to również w mocniejszej pozycji do administracji Bidena.

Umowa ma jednak wielu krytyków. Portal Politico informował, że wielu państwom Unii Europejskiej „nie podobał się sposób, w jaki została przepchnięta". W tym również Polsce.

Oczywiście, że ta umowa nie będzie się wszystkim podobała, bo nie dla wszystkich jest korzystna. Jest również co do zasady niekorzystna dla obecnej polityki Polski, bo wbija klin w relacje transatlantyckie, a my chcemy, aby były one jak najlepsze. Niemcy jednak stwierdzili, że porozumienie z Pekinem zwiększy szanse negocjacyjne Europy w starciu Stanów Zjednoczonych z Chinami i postanowili ją podpisać.

Minister spraw zagranicznych Niemiec Heiko Maas na początku niemieckiej prezydencji w Unii Europejskiej powiedział, że Berlin chce być pośrednikiem między Pekinem a Waszyngtonem, ponieważ „świat nie powinien zostać podzielony na dwie strefy interesów". Czy może się to Niemcom udać?

Chęciom Berlina nie ma co się dziwić, ale żeby Europa stała się oddzielnym biegunem siły, to musiałoby się dużo wydarzyć. Niemcy chcieliby po prostu zachować otwarty system wymiany globalnej, w miarę możliwości zreformowany pod siebie, z obawy, aby Chińczycy ich kapitałowo nie przejmowali. Problem polega na tym, że Chińczycy wcale zmian nie chcą, bo dzięki obecnej sytuacji bogacą się i rozszerzają swoje wpływy na świecie. Na zmiany naciskają za to Amerykanie, bo tę rywalizację przegrywają. Niemcy walczą cały czas o rynki zbytu, nie chcą ich stracić, a to sprzyja Chińczykom. To oni chcą złamania układu transatlantyckiego i dążą do tego, aby Eurazja stała się jednym systemem współpracy gospodarczej. I o to toczy się rywalizacja.

Czy zmiana na stanowisku prezydenta Stanów Zjednoczonych sprawi, że Europie będzie trudniej lekceważyć głos Waszyngtonu w sprawie polityki wobec Chin?

Europejczycy nie lekceważyli Donalda Trumpa, bo Amerykanie wciąż są hegemonem systemu światowego. To zwykłe psychologizowanie. Europa nie może lekceważyć głosu Stanów Zjednoczonych, tak samo jak nie może już lekceważyć głosu Chin. Pamiętajmy, że Europa jest małym obszarem położonym między siłami wielkich mocarstw, które wchodzą w ostrą rywalizację. To nie są żarty. Z tego wybuchały wojny światowe.

Mówił pan, że Polska miała szansę na wpuszczenie do siebie Chińczyków, ale na swoich warunkach. Czy to „window of opportunity" jest już zamknięte?

> Chiny chcą złamania układu transatlantyckiego i dążą do tego, aby Eurazja stała się jednym systemem współpracy gospodarczej. I o to toczy się rywalizacja

Niestety, ale myślę, że tak. Gdybyśmy dzisiaj chcieli do siebie zaprosić Chińczyków, to wszystkiego pilnowaliby Niemcy, aby na niczym nie stracić. Już nie mówiąc o Amerykanach, którzy są naszym gwarantem bezpieczeństwa. W moim zamyśle chodziło o to, aby zaprosić chiński biznes do tych sektorów polskiej gospodarki, w których potrzebna jest nam konkurencja wobec kapitału i technologii niemieckiej czy francuskiej, w zamian uzyskując korzyści ekonomiczne dla naszych firm. W Afryce, Azji, na Bliskim Wschodzie, nie w Polsce. To, że tego nie zrobiliśmy, było moim zdaniem błędem.

Sojusznik naciskał...

Później też, ale źródeł tych decyzji należy szukać gdzie indziej. Polskie elity niepodległościowe nie doceniały potęgi Chin. Myślały, że Chiny to są nowe Sowiety, zdemoralizowane, skorumpowane i nienowoczesne. A tak nie jest. Chiny to jest światowy producent dóbr, a Sowiety takim producentem nie były.

Czy Joe Biden będzie kontynuował ostrą politykę wobec Chin zapoczątkowaną przez Donalda Trumpa?

Szczerze mówiąc, jestem w tej kwestii ostrożny.

Dlaczego?

Bo to niezwykle złożona sytuacja. Amerykanie potrzebują wielkiej reformy państwa, a przeciwne tym reformom są dwie grupy interesów, które akurat sprzyjają demokratom. To grupa multimedialnych imperiów, które czerpią zyski z tego, że świat jest zglobalizowany. One chciałyby zachować status quo. Dla nich obcy jest narodowy interes. Drugą grupą jest Wall Street, które potrzebuje globalnego dostępu do inwestycji, aby jego pieniądze mogły pracować na wszystkich rynkach. Biden będzie musiał przekonać obie te grupy do zmian, ale nie wiem, jak chce to zrobić, bo jakoś na razie nie widzę w nim tej woli.

W połowie listopada minister obrony RFN w wystąpieniu na forum uniwersytetu Bundeswehry w Hamburgu, poświęconym polityce bezpieczeństwa, podkreśliła, że Europejczycy „pozostają zależni od USA w zakresie polityki bezpieczeństwa, a jednocześnie muszą w przyszłości przejąć więcej zadań, w czym dotąd wyręczali nas Amerykanie". W swojej analizie tego przemówienia powiedział pan, że Niemcy proponują Amerykanom, że będą „lokalnym policmajstrem" w Europie, wiedząc, że Waszyngton musi się skupić na rywalizacji z Pekinem. Czy Amerykanie odpowiedzieli już na tę propozycję?

Oficjalnej odpowiedzi nie ma, bo też Amerykanie w ostatnim czasie byli zajęci wyborami, a dodatkowo wybuchł wielki konflikt pomiędzy Joem Bidenem a Donaldem Trumpem i po prostu nie mieli na to czasu. Ponadto część środowisk strategicznych w Stanach Zjednoczonych uważa, że ta propozycja wyszła za późno.

Pan w tej propozycji widzi szansę dla Polski. Czy jednak Polacy nie powinni się obawiać Niemiec w roli policmajstra?

13/0121/F

eprasa.pl 309770cdcb

Czytałem opinię, że to dla Polski „śmiertelna propozycja". Całkowicie się z tym nie zgadzam. Wydaje mi się, że spora część naszych elit politycznych myśli podobnie, nie rozumiejąc, że toczy się gra o równowagę sił, a Polska jest tylko jednym z czynników, które ją gwarantują. Nie zapominajmy, że innych państw nie balansuje się słowami ani szczytnymi deklaracjami, lecz realną siłą. Nadchodzą bardzo trudne czasy. Łamie się kolektywny, konstruktywistyczny ład. Amerykanie mają ogromne problemy i mogą się wycofać z Europy.

Gdzie w tej propozycji należy szukać szansy dla Polski?

Propozycja niemiecka łączy ogień z wodą. Daje nam szansę na modernizację i rozwój, ale pod warunkiem że przystaniemy na warunki postawione przez Niemcy, choć można z nimi negocjować lepsze miejsce w podziale pracy i łańcuchach wartości, czyli lepsze marże dla nas w Europie. Gdyby Amerykanie zgodzili się na niemiecką propozycję, to nadal byliby ze swoim parasolem nuklearnym dostatecznym arbitrem, który nie pozwalałby Niemcom dogadywać się z Rosjanami ani Chińczykami bez amerykańskiej zgody. Jednocześnie, moim zdaniem, przy takim ułożeniu Niemcy jako policmajster miałyby swoje imperium europejskie, ale dbałyby o to, aby na perymetrze nikt się nie wtrącał, czyli konfliktowałyby się z Rosjanami. W efekcie Polska mogłaby realizować swoją politykę wschodnią w dużej mierze za pomocą Niemiec. Pamiętajmy, że nasi zachodni sąsiedzi bogacą się na Polakach, Rumunach, Węgrach czy Czechach, w związku z tym nie zamieniliby nas na Rosjan. Co widać po danych gospodarczych. To dałoby nam szansę na rozwój. Zabrzmi to cynicznie, ale na stole nie ma dla nas dziś lepszej propozycji. Byłaby, gdyby Amerykanie więcej zainwestowali w Trójmorze, ale oni tego nie robią.

W lutym zeszłego roku sekretarz stanu USA Mike Pompeo poinformował, że Stany Zjednoczone zamierzają przekazać krajom Europy Środkowo-Wschodniej zaangażowanym w inicjatywę Trójmorza do miliarda dolarów na inwestycje energetyczne. To nie są duże pieniądze.

I dlatego w obecnym układzie geopolitycznym jest to najlepsza oferta, jaka leży teraz na stole. Oczywiście przeciwko takiemu rozwiązaniu byłaby Francja, która chciałaby się porozumieć z Rosjanami. Musimy pomóc Niemcom balansować Francję.

Czy sami Niemcy widzą nas w tej roli?

Na razie sami nie wiedzą, co zrobi administracja Bidena. Jeżeli jednak za kilka miesięcy nie zobaczą, że Amerykanie reformują swoje państwo, aby wrócić do gry jako supermocarstwo, to sprawy przyspieszą. W takiej sytuacji Waszyngton sam dojdzie do porozumienia z Berlinem, a nas przy tym nie będzie. Jeżeli zaś nie dojdzie do porozumienia, to będziemy mieli skonfliktowaną i chaotyczną Europę i coraz potężniejący system Eurazji.

REKLAMA

KASA STEFCZYKA
Zawsze u siebie

kasastefczyka.pl
801 600 100
(koszt wg taryfy operatora)

Przykład reprezentatywny z dnia 10.04.2020 r. dla Pożyczki Zaratka: Całkowita kwota kredytu wynosi 1000,00 zł. Zmienna roczna stopa oprocentowania dla całkowitej kwoty kredytu wraz z kredytowanymi kosztami (prowizją 0 zł) wynosi 7%. Rzeczywista roczna stopa oprocentowania (RRSO): 7,23%. Czas obowiązywania umowy – 48 miesięcy, 47 miesięcznych rat równych: 23,95 zł oraz ostatnia, 48. rata: 23,87 zł. Całkowita kwota do zapłaty: 1149,52 zł, w tym odsetki: 149,52 zł.

Pożyczka Zaratka dostępna wyłącznie w kwotach 1000 zł, 2000 zł, 3000 zł lub 4000 zł, dla Klientów nieposiadających pożyczek lub kredytów w Kasie w okresie co najmniej 6 miesięcy przed dniem złożenia wniosku. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej. Pożyczka Zaratka otrzymała prestiżowe wyróżnienie Dobra Marka 2019.

eprasa.pl 309770cdcb

Psychuszki dla normalnych

Aldous Huxley przewidywał, że normalnych ludzi będzie się zamykało w rezerwatach. W latach 70. XX w. Sowieci stworzyli psychiatrię represyjną, izolując ludzi o antysocjalistycznym nastawieniu. W XXI w. jako zaburzenia psychiczne zaczyna się postrzegać krytykę np. homoseksualizmu albo nawet otyłości

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Podczas telewizyjnej debaty w 1974 r. psychiatra Charles Socarides starał się mówić spokojnie. Salwami śmiechu przerywała mu wypowiedzi podstawiona publiczność, a rozmówcy otwarcie z niego szydzili. Jednak badacz homoseksualizmu nie stracił rezonu i dokończył wywód. Uczony tłumaczył, że skłonności homoseksualne można nabyć w dzieciństwie poprzez brak męskiego wzorca i zaburzone kontakty z matką, choć rok wcześniej Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne stwierdziło inaczej. Socarides nie wiedział wtedy, że rozmawiając z Frankiem Kamenym, toczy dyskusję nie ze zwykłym naukowcem, lecz z gejowskim aktywistą, który dążył do zalegalizowania związków partnerskich. Tymczasem Socarides ostrzegał, że promocja postaw homoseksualnych doprowadzi do wzmocnienia zaburzeń i zachęci młodych ludzi do stosunków homoseksualnych, a krytyków tych preferencji zacznie się marginalizować. Po 20–30 latach od tamtego wystąpienia kolejne państwa Zachodu zaczęły zabraniać praktykowania opracowanej przez Socaridesa terapii konwersyjnej dla homoseksualistów, a jego samego zaczęto wyszydzać jako homofoba. Z lekarza zrobiono więc szaleńca, a z jego pacjentów – lekarzy.

NA ILE JESTEŚ FASZYSTĄ?

Traktowanie konserwatystów jako nienormalnych rozciąga się jednak dużo dalej niż na ludzi sceptycznych wobec promocji homoseksualizmu. W kwietniu 2020 r. Marek Migalski na antenie TVN24 tak opowiadał o elektoracie PiS: „Wyborcy prawicowi są bardziej nastawieni na obrzydzenia czy łatwiej się brzydzą czegokolwiek, potraw, innych ludzi. U nich nawet pewne obszary mózgu, np. ciało migdałowate, jest trochę bardziej poszerzone, dlatego że oni się troszeczkę bardziej obawiają".

Choć przekonanie, że jakaś grupa jest gorsza czy bardziej strachliwa przez inną konstrukcję mózgu, przypomina nazistowską eugenikę, to jednak jest dziś mainstreamowym poglądem psychologów społecznych. Już w 1950 r. wydano w USA książkę „Osobowość autorytarna", której jednym z autorów był współtwórca neomarksistowskiej szkoły frankfurckiej Theodor Adorno. Socjolog wyróżnił typ osobowości, która ma skłonności do antysemityzmu, rasizmu, do której dołączył także sceptycyzm wobec homoseksualizmu oraz... „polityczno-ekonomiczny konserwatyzm". Adorno stworzył nawet skalę do mierzenia osobowości autorytarnej, którą nazwał „syndromem F", od pierwszej litery słowa faszyzm. Słowem: po II wojnie światowej zaczął się rodzić ruch intelektualny, który określone poglądy polityczne uznawał za rodzaj zaburzenia lub zacofania w sensie metaforycznym nie tyle, ile ewolucyjnym, biologicznym. Podludźmi staje się więc prawica, której – jak pisał Herbert Marcuse – nie należy nawet tolerować.

NAUKA CZY IDEOLOGIA?

Prof. Andrzej Zybertowicz wraz z zespołem socjologów w książce „Samobójstwo oświecenia" ostrzegał, że badania mózgu są tak intepretowane, „by pokazać, iż umysły osób o poglądach »konserwatywnych« są inaczej zbudowane niż umysły osób o poglądach »liberalnych«". Nie trzeba dodawać, którzy są „lepsi", a którzy „gorsi". Kanadyjski psycholog Gordon Hodson już dekadę temu rozwinął koncepcję osobowości autorytarnej,

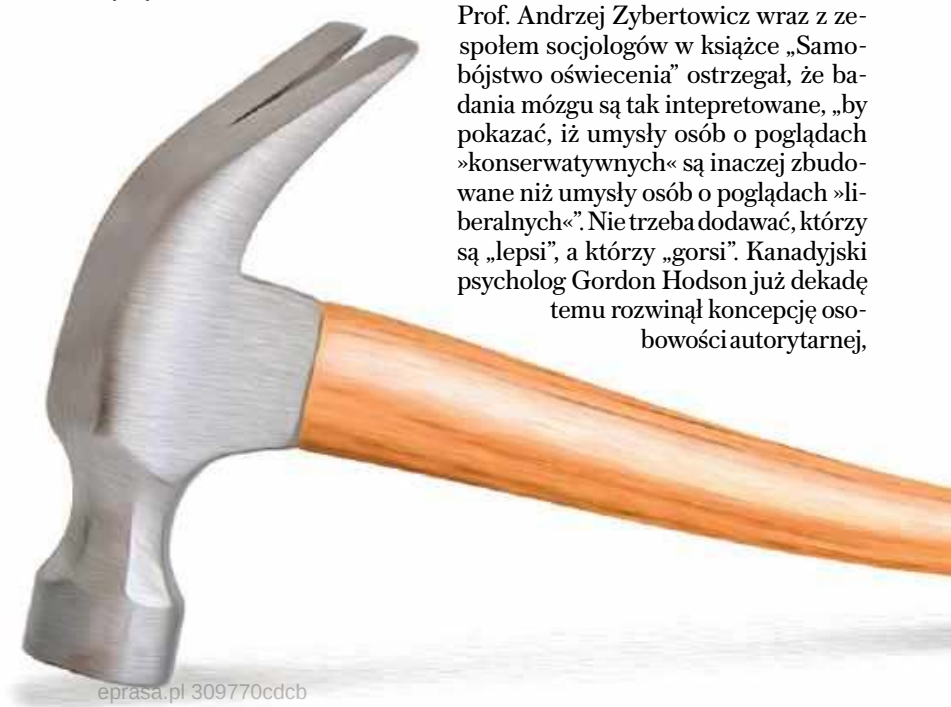

eprasa.pl 309770cdcb

stwierdzając, że uprzedzenia, niska inteligencja i światopogląd konserwatywny łączą się ze sobą. Oczywiście aby dojść do takich wniosków, trzeba najpierw wyjść z szeregu założeń, które badacz przyjmuje jako nie do zakwestionowania. I tak dopatrywanie się spisków wśród Żydów jest objawem choroby, a dopatrywanie się spisków wśród katolików – już nie. W ten sposób Amerykanie, którzy twierdzili, że w dzielnicach zamieszkiwanych przez czarnoskórych jest wyższa przestępczość, byli automatycznie zaliczani do mało inteligentnych, bez względu na statystyki kryminalne.

Liberałowie pomijają także analizy, które pokazują fakty kłopotliwe dla dominującego światopoglądu. Badania Bullenkampa i Vogesa wykazały wyraźne powiązania pomiędzy przewlekłymi chorobami psychicznymi a głosowaniem... na lewicę. W Mannheim w 2002 r. na lewicowe partie głosowało 56 proc. ludzi, ale w szpitalach psychiatrycznych to poparcie wynosiło blisko 80 proc. Mainstream próbuje się utwierdzać w przekonaniu, że jest wysoko rozwinięty, normalny, lepszy, a nasuwające się sprzeczności ignoruje.

Jak więc mogło być z Markiem Migalskim? W 2010 r. był członkiem prezydenckiego sztabu wyborczego Jarosława Kaczyńskiego, a potem skurczyło mu się ciało migdałowate i przeszedł na stronę Platformy Obywatelskiej?

WĄTPLIWOŚCI NAZWAĆ FOBIAMI

Wykluczanie obrońców tradycji z grona pełnoprawnych ludzi jest dostrzegane przez wielu intelektualistów: kanadyjski pisarz Michael O'Brien w powieści „Dziennik zarazy" dał upust swojemu niepokojowi związanemu z ingerencją państwa w relacje rodzinne. W książce pisze o wszechwładnych urzędnikach zdolnych sprokurować dowody na rzekomą pedofilię czy zaniedbania rodzinne, aby przejąć kontrolę nad dziećmi, a w wywiadach mówi o konkretnych przykładach. Pozwolenie niepełnoletnim dziewczynom na zamordowanie nienarodzonego dziecka bez wiedzy ich rodziców to właśnie zamiana normalności z patologią. Nie jest to fikcja literacka, bo psychologia i nauki społeczne w wielu krajach uzasadniają odbieranie dzieci rodzicom, gdy schemat wychowania nie pasuje do urzędniczego szablonu.

Sceptycyzmowi wobec promocji homoseksualizmu przypisuje się nie tylko ogólnie pojętą homofobię, lecz także zespół Hoovera, mający być utajoną nienawiścią do własnej seksualności. Przypisywanie ludziom fobii przybiera nieoczekiwane konsekwencje – nawet krytykę otyłości zaczyna się określać jako zaburzenie, czyli fatfobię (fat – ang. gruby). Badaczki zdrowia publicznego Rebecca M. Puhl i Chelsea A. Heuer doszły nawet do wniosku, że to nie otyłość jest problemem dla zdrowia, lecz niechęć do niej. Takie koncepcje przekuwa się później w polityczne postulaty, w których edukacja ma wyplenić fobie i stworzyć otwarte oraz tolerancyjne społeczeństwo. Co jednak zrobić z tymi, którzy wyedukowali się w tradycyjny sposób?

SZALEŃCY BĘDĄ OSĄDZAĆ NORMALNYCH

Prof. James Lock ze Stanford University już 20 lat temu pisał, że edukacja szkolna powinna wyciągać dziecko z rodzinnych uprzedzeń, rodzice np. nie powinni odwodzić chłopców od doświadczeń homoseksualnych. Dorosłymi, którzy się sprzeciwiają wychowywaniu społeczeństwa w duchu liberalnej tolerancji, powinny się zająć... odpowiednie resorty rządowe – tak uważa prof. Michael Boucai z Uniwersytetu w Buffalo. Co zrobić, gdy obywatele nie będą ulegali światopoglądowej presji? Tego postępowi intelektualiści nie wyrażają wprost, ale skoro wątpliwości co do dominującej ideologii nazywają podobnie jak jednostki chorobowe, to wnioski nasuwają się same. Zaburzenia psychiczne, takie jak agorafobia (lęk przed otwartymi przestrzeniami) czy arachnofobia (lęk przed pająkami), są przecież leczone przez psychiatrów – ile poczekamy na troskę lekarzy wobec tzw. homofobów, transfobów czy fatfobów? Jak urzędnicy będą reedukować tych, którzy nie wierzą, że to działalność człowieka powoduje ocieplenie klimatu?

Historia zna takie przypadki – w latach 70. XX w. przeciwników obowiązującej polityki w ZSRS zamykano w szpitalach psychiatrycznych. Komuniści konieczność leczenia osób z tzw. powolną schizofrenią uzasadniali pomyślnością społeczną – tymczasem homofobia też jest już przedmiotem badań jako np. przynosząca społeczeństwu szkody gospodarcze (sic!).

Konserwatyści są postrzegani jako zawada dla rozwoju ludzkości – historia zna przypadki takiego stygmatyzowania i zawsze dopisuje do nich represje.

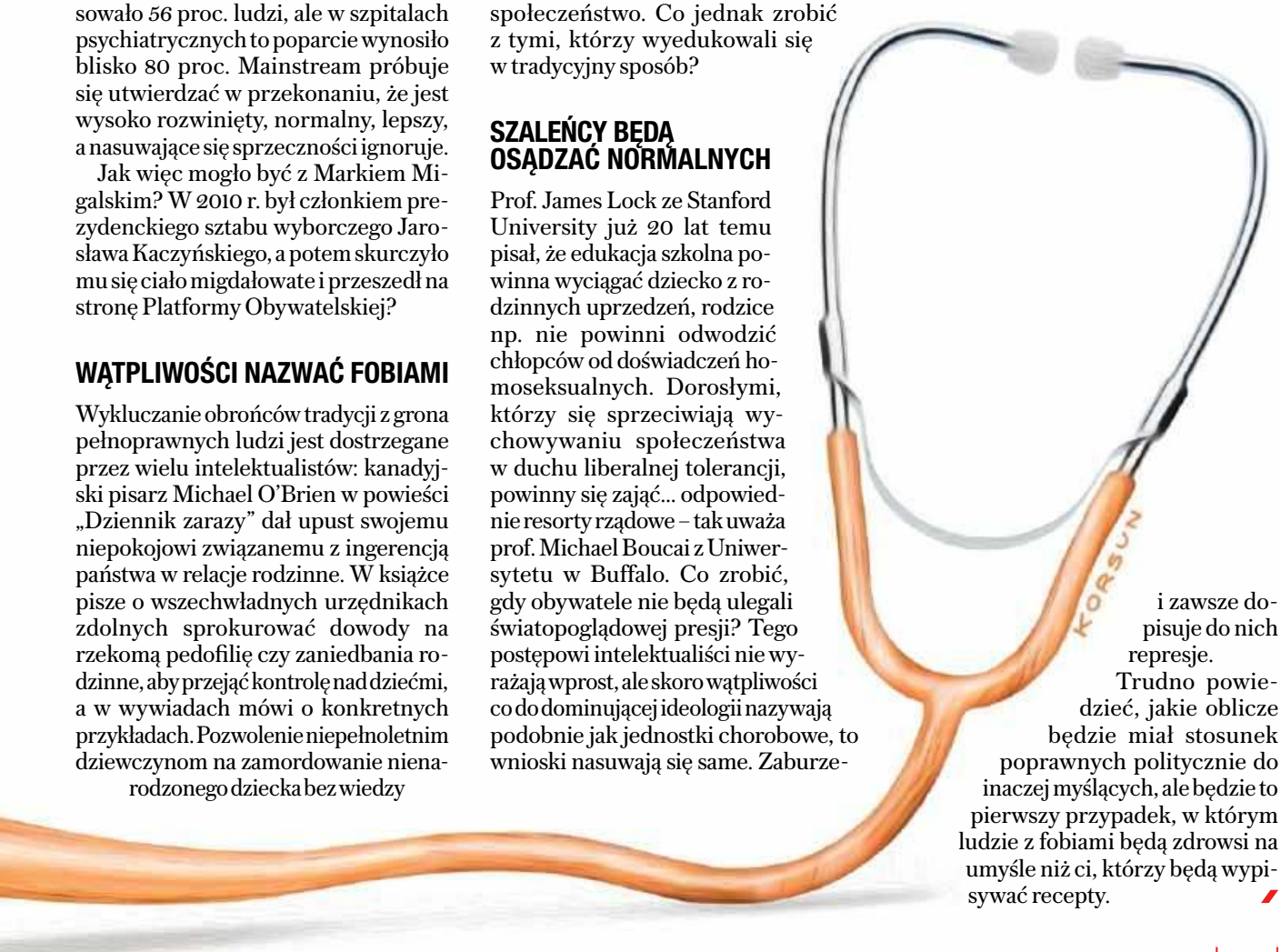

Trudno powiedzieć, jakie oblicze będzie miał stosunek poprawnych politycznie do inaczej myślących, ale będzie to pierwszy przypadek, w którym ludzie z fobiami będą zdrowsi na umyśle niż ci, którzy będą wypisywać recepty.

eprasa.pl 309770cdcb

Schizofrenia wodzireja

Akcję ratującą życie chorych dzieci Jurek Owsiak powiązał bezpośrednio z ruchem społecznym, który od miesięcy dąży do tego, aby te chore dzieci nigdy się nie urodziły

Fot. Andrzej Wiktor

GORAN ANDRIJANIĆ

Kiedy pierwszy raz przyjechałem do Polski ok. 20 lat temu, zobaczyłem wokół siebie małe czerwone naklejki w kształcie serca. Przyklejano je w różnych miejscach – na przystankach autobusowych, w witrynach sklepowych, przy drzwiach wejściowych do budynków... Widziałem je także w domach przyjaciół, którzy mieli różne światopoglądy i różne orientacje polityczne.

Kiedy zapytałem wtedy moją dziewczynę, a dziś żonę, o co chodzi, odpowiedziała mi, że to symbol wielkiej akcji humanitarnej, w ramach której Polacy co roku zbierają pieniądze dla szpitali, głównie dziecięcych. Z tego co mi powiedziała, wywnioskowałem, że akcja skupia wszystkich Polaków, niezależnie od ich preferencji politycznych i ideologicznych. To wszystko brzmiało dla mnie jak odrodzenie tego samego ducha solidarności i wspólnoty, który zrodził się w Polsce na początku lat 80., a potem zmienił świat.

IDEOLOGICZNE PRZESŁANIE

Od tego czasu uważnie śledzę, co dzieje się z Wielką Orkiestrą Świątecznej Pomocy i jak zmienia się ona z akcji, która naprawdę miała potencjał jednoczenia Polaków, w platformę promocji poglądów ideologicznych głównej twarzy akcji, czyli Jerzego Owsiaka i jego środowiska.

„W środku zimy jawi się jako organizator gigantycznej akcji dobroczynnej, która ratuje zdrowie i życie chorych. Wielu rodziców jest wtedy dumnych, że ich dzieci jako wolontariusze uczestniczą w publicznej zbiórce pieniędzy. Latem natomiast staje na czele ogromnej imprezy młodzieżowej, niebudzącej już tak pozytywnych skojarzeń. Często wówczas ci sami rodzice boją się puszczać swoje dzieci na festiwal organizowany przez Owsiaka".

W taki sposób jakieś siedem lat temu publicysta Grzegorz Górny opisał schizofreniczny obraz, który zbudował wokół siebie Owsiak u sporej części społeczeństwa. Za ten neurotyczny obraz odpowiada tylko on, bo sam go takim stworzył. To on jest tym, który nieustannie, niemal od początków istnienia WOŚP, balansuje między z jednej strony szlachetnym charytatywnym celem zainicjowanej przez siebie akcji, a z drugiej bardzo konkretnym ideologicznym spojrzeniem na Polskę i społeczeństwo. To pierwsze jednoczy społeczeństwo, to drugie je dzieli. I to jest istota tej schizofrenii, w której Owsiak porusza się od lat, jeśli nie od dekad.

GRAMY ZE STRAJKIEM

Ale to rozdwojenie poszło jeszcze dalej po wypowiedziach Owsiaka, które złożył w przededniu tegorocznego finału WOŚP, kiedy otwarcie poparł Strajk

eprasa.pl 309770cdcb

Kobiet. „Gra z nami Strajk Kobiet. Nie dajmy się podzielić" – powiedział podczas konferencji zapowiadającej 29. Finał WOŚP.

I tak akcję ratującą życie chorych dzieci bezpośrednio powiązał z ruchem społecznym, który od miesięcy robi dywersję w przestrzeni publicznej, aby te chore dzieci nigdy się nie urodziły.

Czy może istnieć sytuacja, która byłaby bardziej schizofreniczna niż ta?

Działania humanitarne zawsze tworzą ogromny potencjał emocjonalny i psychologiczny w społeczeństwie. Poruszają ludzi, jednocząc ich wokół bardzo konkretnych celów, budzą szlachetne uczucia, gotowość do aktywnego uczestnictwa w otaczającym nas świecie. Zarówno w czasie pokoju, jak i w czasie konfliktów, kiedy te wszystkie uczucia są jeszcze bardziej intensywne.

Ten rozbudzony potencjał, gotowość do działania można bardzo łatwo wykorzystać, można nimi manipulować. Dlatego etyka działań humanitarnych nakazuje, aby były one niezależne, a przede wszystkim neutralne. Jest to etyka, na którą kładą nacisk wszystkie organizacje humanitarne, zwłaszcza gdy działają w sytuacjach konfliktowych.

Dzięki temu wszyscy, którzy otrzymują pomoc humanitarną, mają pełne zaufanie do organizacji, która jej udziela. Ta neutralność i bezstronność sprawia, że niezbędna pomoc dociera do wszystkich, którzy jej potrzebują, a energia stworzona do pomocy innym nie jest wykorzystywana dla jakichś politycznych lub materialnych interesów.

Ale Owsiak nie przestrzega tych zasad neutralności i bezstronności. Biorąc pod uwagę głębokie podziały panujące obecnie w polskim społeczeństwie, jego nastawienie ideologiczne w połączeniu ze szlachetnym zamiarem niesienia pomocy najsłabszym staje się niebezpieczną manipulacją.

Jerzy Owsiak i jego działania oraz wypowiedzi doskonale wpisują się w ramy ideologiczne III RP. To filozofia, którą Górny we wspomnianym tekście nazywa „laickim humanizmem", a ja do tej definicji dodałbym elementy rockowego libertynizmu (stąd Przystanek Woodstock, nawiązanie do słynnego hipisowskiego festiwalu Woodstock) i związanej z nim postępowej polityki. Zasadniczo sławne „Róbta, co chceta" jest trochę grzeczniejszą wersją sloganu „Sex, drugs and rock and roll".

Ludzie kierujący WOŚP od lat zajmują wyraźne, bardzo stronnicze stanowisko w polskich sporach politycznych. Świadczy o tym również treść paneli odbywających się na Przystanku Woodstock, na których lewicowo-liberalni intelektualiści regularnie przedstawiają młodym ludziom swoją wizję Polski. W 2012 r. w otwarciu festiwalu uczestniczył ówczesny prezydent Bronisław Komorowski. Było to trzy lata po tym, jak Owsiak powiedział, że nigdy nie zaprosi na festiwal prezydenta Lecha Kaczyńskiego, bo „nie chce mieszać festiwalu i polityki".

NA CZARNO

Polityczne nastawienie Owsiaka było znane od lat, ale wsparcie dla środowisk proaborcyjnych jest mimo wszystko dużym krokiem w kierunku skompromitowania WOŚP. Dlaczego? Bo jednoczesne zbieranie pieniądze na leczenie dzieci i wspieranie ich zabijania, gdy są nienarodzone, to absurd i hipokryzja.

Kiedy w 2016 r., w czasie czarnego protestu przeciwko propozycji zakazu aborcji, siostry karmelitanki wysłały list do Owsiaka z prośbą o przyłączenie się do ich modlitwy, nazwanej białym protestem, otrzymały szybką odpowiedź. Składała się ona ze zdjęcia, na którym Owsiak wraz z żoną i pracownikami jego fundacji na wspólnej fotografii w czarnym ubraniu, pokazali, że wspierają w ten sposób protestujących zwolenników aborcji.

„Razem z Dzidzią solidaryzujemy się ze wszystkimi polskimi kobietami, które w poniedziałek będą brały udział w czarnym proteście... Pozostawmy im prawo decyzji na mocy istniejącej już ustawy. W naszym pojęciu czarny z białym się nie wyklucza, pod warunkiem, że biały nie będzie tylko oparty na pustej demagogii" – napisał wtedy.

Można by pomyśleć, że Owsiak inaczej zareagowałby na orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego z października ub.r. niż na propozycję z 2016 r., bo decyzja dotyczyła wyłącznie zakazu aborcji eugenicznej. Jednak...

„Czy uważa Pan, że tysiące policjantów rozwiąże problem, który Pan stworzył w Polsce? Czy uważa Pan, że potraktowanie gazem łzawiącym głównie kobiet, które demonstrowały przed Pana domem, jest skuteczną na to odpowiedzią?... Proszę o powstrzymanie tej eskalacji zła i nienawiści z pańskiej strony! Proszę ustąpić i wycofać się z polityki" – napisał wtedy Owsiak w liście otwartym do Jarosława Kaczyńskiego, wspierając w ten sposób ruch, który jednym ze swoich celów uczynił możliwość aborcji na żądanie.

Potem Owsiak przekazał na licytację ostatniego finału WOŚP plakat z symbolem proaborcyjnego ruchu Strajk Kobiet.

Wkrótce internauci zaprojektowali grafikę, która plastycznie przedstawia ten nienaturalny sojusz humanistycznego ducha i mentalności proaborcyjnej. To błyskawica Strajku Kobiet, dosłownie przeszywając serce, symbol WOŚP, to samo serce, które spotkałam wszędzie podczas mojej pierwszej wizyty w Polsce.

TAKTYCZNY PSTRYK

Później sam Owsiak zdał sobie sprawę, że wsparcie ruchu proaborcyjnego może skompromitować akcję, którą reprezentuje. „Nie jesteśmy świrami, wariatami, którzy mówią, że aborcja ma być na pstryknięcie. To absolutne nadużycie" – powiedział, próbując usprawiedliwić swoje wsparcie dla tzw. Strajku Kobiet.

Zabrzmiało to jednak bardzo nieprzekonująco – jak coś, co zrobił wyłącznie ze względów taktycznych. I od razu został napomniany przez proaborcyjne aktywistki, które skrytykowały go za miękką postawę i wyzwały od dziadersów.

Taki jest Owsiak. Jego balansowanie i schizofrenia trwają.

Pewne jest jednak to, że upokorzył wszystkich, którzy kiedyś brali udział w akcji pomocy dzieciom i nigdy nie przypuszczali, że w przyszłości stanie się ona sposobem na propagowanie zabijania nienarodzonych. A było ich wielu.

eprasa.pl 309770cdcb

Nowa era podróży

Jacek Pałkiewicz – wytrawny podróżnik, survivalowy guru, szkoleniowiec kosmonautów i jednostek specjalnych – przedstawia scenariusz wakacji na dzisiejsze czasy

„Cumę rzuć, Jim, jesteśmy wolni!", wykrzyknął Huck Finn, jeden z najbardziej lubianych podróżników w amerykańskiej literaturze. Ale bohater Marka Twaina nie miał na myśli rozpoczęcia rejsu, a odnosił się do egzystencjalnej wolności, śmiałego stawiania czoła wyzwaniom. Dzisiaj, kiedy szczepionka zapowiada powolny powrót do jeszcze niewyraźnie sprecyzowanej normalności, ta scenka ma sugerować, że my też któregoś dnia „oddamy cumy" i wyruszymy na głębokie wody.

Do „wczoraj" rocznie z transportu lotniczego korzystało 4,5 mld pasażerów, w tym 45 mln backpackersów. W 17 mln pokoi hotelowych na świecie gościły 44 mld ludzi, a w 15 mln restauracji serwowano miliardy posiłków. Na podróże w samych tylko Stanach Zjednoczonych wydawano rocznie ponad tysiąc miliardów dolarów.

Zbudowaliśmy świat podatny na wyniszczenie, do czego zasadniczo przyczyniły się szaleńcza agresja cywilizacji przemysłowej oraz ciągły wzrost produkcji połączonej z eksplozją demograficzną, która zubaża zasoby Ziemi, co przekłada się bezpośrednio na dewastację środowiska i zachwianie równowagi ekologicznej. To wszystko stworzyło podłoże do eksplozji złowieszczej pandemii.

Koronawirus przyniósł bolesną zapaść w globalnej gospodarce, a już szczególnie w sektorze hotelarskim, przewoźników lotniczych oraz branży turystycznej, przytłoczonych falą niepewności, ograniczeń i zakazów, które desperacko starają się przetrwać. Lufthansa np. nie planuje powrotu do pełnej eksploatacji przed 2030 r., a Emirates, który zwolnił kilka tysięcy pilotów i personelu pokładowego, w oficjalnych oświadczeniach jest nieco bardziej optymistyczny, ale też nie przewiduje latania całą flotą przez kolejne cztery lata.

Nie wiemy, kiedy podróżnicze szlaki staną w pełni otworem. Nawet jeśli dzięki zbawczej szczepionce świat powoli będzie wychodzić z globalnej perturbacji, nie można wykluczyć, że COVID-19 nie zniknie całkowicie i że jakiś jego cień pozostanie, albo że nowy kolejny zabójczy twór włamie się do naszego życia. Epidemiolodzy są zdania, że od dziesięcioleci siedzimy na bombie zegarowej, o czym niejednokrotnie uprzedzali: „Pandemia to nie tylko jakiś domysł, ale przekonanie, że we wszechświecie jest obecna nieskończona ilość złowrogich wirusów, których człowiek z powodu głupoty i braku wyobraźni nie traktował poważnie".

Dlatego też trudno sobie wyobrazić, kiedy miecz Damoklesa zniknie znad naszych głów. Jedno jest pewne – ta zgroza nie powstrzyma naszego głęboko zadomowionego w genach, nieuleczalnego pragnienia poznawania świata. Moi czytelnicy często mówią, że ich świat bez granic w jednej chwili został odcięty. Utyskują na miesiące psychologicznego terroru, długą izolację i strach przed kontaktem z drugim człowiekiem oraz zarażeniem. Mówią, że podróże palcem po mapie oraz oglądanie Netflixa i YouTube'a, czy wymuszone wirtualne podróże bez emocji oraz dotyku, stają się coraz bardziej uciążliwe. I jak na zbawienie czekają na realne wojaże.

* * *

Jak będzie wyglądać w najbliższym czasie turystyka, za którą wszyscy już tak bardzo się stęsknili? Jedno jest pewne – czeka nas multum niepewności i frustrujących wstrząsów. Nie będzie to zjawisko masowe jak dotychczas, nie będą to też wakacje beztroskie, ale wymagające nieco odwagi i nuty czystego szaleństwa. Za podróże przyjdzie zapłacić wysoką cenę. Obejmie ona nowe standardy, większe koszty i konieczność zachowania wszystkich środków ostrożności i bezpieczeństwa.

Ludzie na nowo zechcą odkrywać krajowe lokalizacje, a tym samym delektować się rodzimym pięknem i historią, a przy okazji wspierać lokalną społeczność. Docenią znaczenie podróżowania z rodziną, kontaktu z naturą i potrzebę relaksu na jej łonie.

Włoski pisarz Giorgio Faletti napisał, że czasami lepiej jest zbłądzić na drodze nieosiągalnej podróży, niż nigdy nie wyjechać. Bez względu na zagrożenie wirusem i wiele pułapek, jak odwołane loty, zamknięte granice, przymusowe kwarantanny zaraz po wlocie do danego kraju, brak opieki medycznej, zawieszone wizy, uniemożliwiony powrót do kraju czy wymogi ważnego testu bądź dowodu szczepienia na koronawirusa, z pewnością nie zabraknie wystawionych na ryzyko zakażenia amatorów odkrywania egzotycznych kultur, monumentów historii czy krain niegdyś dostępnych wyłącznie dla dzielnych odkrywców.

eprasa.pl 309770cdcb

Z powodu nieprzewidywalności różnych restrykcji decyzje dotyczące wyjazdu przyjdzie podejmować w ostatniej chwili i następnie elastycznie dostosowywać się do nowych reguł gry. Normą będzie śledzenie informacji dotyczących ograniczeń związanych z podróżowaniem do różnych państw świata. Ludzie częściej będą korzystać z rzetelnych ubezpieczeń turystycznych, a biorąc pod uwagę ryzyko zarażenia, będą starali się unikać dużych zbiorowisk ludzkich, szczytu sezonu, przeludnienia i szturmowania wszelkich atrakcji turystycznych. Niejednokrotnie poznają świat, o jakim już wszyscy zapomnieli, i doświadczą kameralnej atmosfery Madrytu, Rzymu czy Paryża. Oczywiście przyjdzie im przestrzegać reżimu sanitarnego na niespotykaną dotąd skalę. Dominującym elementem staną się elastyczność, baczniejsze zwrócenie uwagi na uwarunkowania przeróżnych anulacji. Rozpowszechnią się wakacje w apartamentach i wynajętych domach wnoszących pogodę ducha, większą przestrzeń, możliwość samodzielnego przygotowywania posiłków oraz gwarancję higieny. Będziemy także świadkami znacznego wzrostu możliwości pracy zdalnej, czyli długich „roboczych wakacji" bez urlopu.

* * *

Wojażowanie już nigdy nie będzie takie samo. Nie będziemy już latać tak, jak robiliśmy to za dawnych dobrych czasów, czyli jeszcze zaledwie rok temu. Powiedzmy sobie prawdę. To, że podróżowanie zmieni się z powodu nawałnicy niewidzialnego agresora, nie stanowi aż tak wielkiej rewolucji, bo tylko na przestrzeni mojego życia byłem świadkiem radykalnych przemian, zawsze na niekorzyść. Nowy trend niewiele będzie miał wspólnego z wczorajszym, a ten, który nadejdzie jutro, będzie też zupełnie inny od obecnego.

Spójrzmy na transport powietrzny. W latach 70. był to drogi i nieco elitarny środek lokomocji, zapewniający wysoki poziom obsługi, wygodę podróży, delikatesowe posiłki oraz życzliwe stewardesy. Nie powiem o trunkach. Podczas lotów międzykontynentalnych w ogonie samolotu stał wózek – barek self-service z dziesiątkami alkoholi. Dziś mamy masówkę. Trudno teraz pochlebnie mówić o uprzejmości personelu, o smacznym pokładowym cateringu czy wygodnym siedzeniu. Nie spotyka się już podziwianych niegdyś pięknych i zgrabnych stewardes, chyba tylko w Emirates. Wszelkie utracone dogodności rekompensuje jednak rozkwit floty przewoźników niskobudżetowych, oferujących bardzo atrakcyjne ceny. Niejeden marzy też o dawnej atmosferze, kiedy było możliwe poznanie kapitana w kokpicie albo gdy z obsługą kabiny witał on pasażerów wchodzących na pokład. Jego elegancki mundur, demonstrujący status pilota, przysparzał respektu, a przyjazny głos budził zaufanie. Dziś piloci odizolowani są pancernymi drzwiami, zza których dobiega tylko sucha informacja o szczegółach lotu bądź enigmatyczna wzmianka o opóźnionym odlocie.

Jeśli atak na World Trade Center w 2001 r. w jednej chwili zmienił przyszłość podróży lotniczych, to rok 2020 zostanie zapamiętany jako ten, w którym letalna

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 309770

choroba z Wuhan zmieniła przyszłość globalnych wędrówek. A pomyśleć, że jeszcze zupełnie niedawno kojarzyłem latanie z irytującymi i czasochłonnymi kontrolami bezpieczeństwa na lotnisku. Niby bliskie, ale jakże już odległe wspomnienie. Można by sobie wyobrazić czytanie wnukom bajki: „Dawno, dawno temu, kiedy istniał samolot...".

* * *

Jako człowiek przywykły do racjonalnego stawiania czoła trudnościom, nie ukrywam lęku przed infekcją. Spowodowała ona wielki szok i zdezorientowanie, odbiła głęboki ślad w życiu mas ludzkich i pokazała, że wszyscy jesteśmy dla niej jednakowi, wszyscy tak samo bezbronni i bezradni. Strach przed nieuchwytnym niebezpieczeństwem wybił mnie z równowagi. Każde wyjście na ulicę to rzucenie wyzwania przypadkowi i przeznaczeniu, które naraża na igranie ze śmiercią.

W połowie grudnia mój przyjaciel Wojtek Cejrowski zaprosił do swojego studia na rozmowę dla YouTube'a. Program obejrzało 130 tys. internautów, a ponad 5 tys. z nich zostawiło swoje adnotacje. O głosach pochlebnych nie będę mówić, zatrzymam się przy licznych, pełnych agresywnego tonu, obraźliwych komentarzach wyrażających pogardę z powodu maseczki, którą zakrywałem sobie usta i nos. Jeśli hejterzy uważali, że ich zniewagi przysporzą mi zgryzot lub sprowokują i dam im pożywkę, to się rozczarowali, bo ich kompletnie zignorowałem. Zarazek zabiera zwykle właśnie seniorów, ludzi najsłabszych, chociaż nie gardzi i młodymi. Dlatego, jak zauważa dr Dariusz Sarti, kilka minut przed wynikiem testu, także na twarzach bezmózgowców mających w głębokim poważaniu zakaźną ostrą chorobę, zawsze widać namacalny niepokój.

Z uwagą śledzę rozwój sytuacji i tak jak inni, uzbrojony w cierpliwość i rozwagę, trochę przy tym sfrustrowany, oczekuję na lepszy scenariusz, poprawę stanu bezpieczeństwa, którego najwyższe priorytety dotyczą zdrowia i dobrego samopoczucia. Nostalgię intensyfikują przypadkowo ujrzane zdjęcia monstrualnych wydm na pustyni Namib, informacja o nowym plemieniu Indian w lesie amazońskim, telefon od przyjaciela z Ruwenzori, ostatniego niedostępnego zakątka Ziemi, albo też bezużyteczne dziś w moim portfelu złote karty Lufthansy, British Airways i KLM.

Poruszając się poza domem, należy oczekiwać, że okrutny wirus może być obecny wszędzie. W nowej rzeczywistości trzeba absolutnie przyzwyczaić się do surowych zasad osobistego bezpieczeństwa. Powinniśmy to robić automatycznie, tak jak nauczyliśmy się patrzeć w lewo, a potem w prawo, przechodząc przez ulicę. Nie mówię, że to będzie proste, bo trudność we wprowadzeniu zmian w naszych codziennych nawykach nie wynika z lenistwa, tylko z prostego faktu, że innowacja jest niełatwa z samej natury rzeczy. Potrzeba czasu, aby prosta czynność stała się utrwalonym nawykiem. Im lepiej to opanujemy, tym skuteczniej oddalimy czarne chmury.

Poruszając się poza domem, należy oczekiwać, że okrutny wirus może być obecny wszędzie. W nowej rzeczywistości trzeba absolutnie przyzwyczaić się do surowych zasad osobistego bezpieczeństwa. Powinniśmy to robić automatycznie, tak jak nauczyliśmy się patrzeć w lewo, a potem w prawo, przechodząc przez ulicę

* * *

Autorytatywni i niezależni eksperci utwierdzają nas w przekonaniu, że ryzyko zarażenia się COVID-19 w samolocie i zgonu z tego powodu nie jest większe niż śmiertelny wypadek podczas prowadzenia samochodu. Trudno mi w to uwierzyć, dlatego po wejściu na pokład dezynfekuję siedzenie, zamek pasa bezpieczeństwa, podłokietnik i stolik. Unikam dotykania kieszeni przedniego siedzenia i wkładania tam czegokolwiek, nie czytam czasopism z tej kieszeni. Włączam na maksimum nadmuch nad głową na cały lot i odkażam ręce po wyjściu z toalety. Niewidzialny wróg czeka na nas jeszcze w wypełnionym pasażerami autobusie podwożącym do samolotu, a już szczególnie na lotnisku. Nie należy go traktować jako centrum handlowego, jak to było w przeszłości. Czasy się zmieniły, lepiej udać się bezpośrednio do bramki.

Niestety cały czas poruszamy się po polu minowym. Wystarczy w najmniej spodziewanym momencie stracić na chwilę czujność i natychmiast stajemy się całkowicie bezbronni. Psychologowie mówią o hierarchii kontroli, czyli eliminowaniu ryzyka w miarę osiągania coraz bardziej rygorystycznego poziomu kontroli. Można jednak utyskiwać, że tylko znikoma część ludzi jest w stanie zapewnić sobie totalne bezpieczeństwo, bo niełatwo jest przez dłuższy czas przestrzegać w całej rozciągłości, w nie zawsze jednakowym otoczeniu, wszystkie procedury gwarantujące bezpieczeństwo.

W każdym razie determinacja i zbiorowy wysiłek w przestrzeganiu reguł antycovidowych mogą zapewnić jeden z najbardziej arcypromiennych pomyślnych obrotów, jakie kiedykolwiek dotknęły ludzi na przestrzeni naszego życia.

Jacek Pałkiewicz jest autorem książki „palkiewicz.com"

eprasa.pl 309770cdcb

Co łączy bieszczadzkiego pogranicznika z ikoną kina akcji? Ile wspólnego mają Wiktor Rebrow i Rambo? Odpowiedź zna Leszek Lichota, który w tym roku pojawi się też w filmie „Bo we mnie jest seks”

R jak Rebrow. I Rambo

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 309770cdcb

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Fot. Materiały prasowe

Trudny, na szczęście już miniony, rok 2020, serialowi „Wataha" nie tylko wydłużył intensywne ekranowe życie, ale też przyniósł spektakularny sukces. Była to najchętniej oglądana przez polskich widzów na platformie HBO Go odcinkowa produkcja. Wysokie oceny, towarzyszące zwłaszcza ostatniemu, trzeciemu sezonowi, to w dużej mierze zasługa Leszka Lichoty, od 2014 do 2019 r. wcielającemu się w główną postać serialu.

HARCERZYK I BANITA

Wiktor Rebrow okazał się rolą dla Lichoty wymarzoną (tworzoną zresztą z myślą o nim). W każdym sezonie, wraz z kolejnymi zwrotami akcji, pisaną na nową miarę bohatera, ale też zmieniającego się, dojrzewającego odtwórcy.

Zdaniem aktora Rebrow z pierwszej serii to pogranicznik ideowiec, „trochę harcerzyk, który myśli, że sam zbawi świat, że wystarczy sprawy ponazywać, wskazać problem, a wszystko się wyjaśni, że prawo działa, jak należy, więc przy odpowiednim poprowadzeniu sprawy wszystko się uporządkuje".

Tymczasem ten świat mu się rozpadł i drugi sezon Rebrow zaczął jako banita. Musiał uciekać, bronić się przed oskarżeniami o wykroczenia, których nie popełnił.

– Działał poza prawem, znając tego konsekwencje, ale też jako dobrze wyszkolony strażnik wiedząc, jak omijać pewne sytuacje i strzec swojej prywatności – charakteryzuje swojego bohatera Lichota.

Pod koniec drugiej serii udało mu się oczyścić z zarzutów i wrócił do Straży Granicznej. – Bogatszy o doświadczenia, które niekoniecznie pozytywnie wpłynęły na jego relacje z ludźmi i otoczeniem (w kolejnym sezonie) jeszcze bardziej schował się w sobie, przestał wierzyć ludziom – komentował aktor.

WILCZA KREW

Czy skrywający stare rany outsider, samotny „wilk" wpisany w surową scenerię Bieszczad, mógłby się kojarzyć z Rambo? Okazuje się, że i tak, i nie.

Z kultową postacią kina akcji (i masowej kultury), w którą od 1982 r. wcielał się Sylvester Stallone, Rebrowowi raczej nie po drodze. Ale już z Johnem Jamesem Rambo, bohaterem powieści Davida Morrella (trzytomowy cykl „Rambo. Pierwsza krew" ukazywał się od 1972 do 1985 r.) – jak najbardziej.

Nie przypadkiem też chyba właśnie Leszkowi Lichocie firma Storytel zaproponowała nagranie audiobooków o weteranie z Wietnamu. Książkowa wersja tej historii może sprawić niespodziankę niejednemu fanowi Sylvestra Stallone'a.

Jej bohater nie był opancerzonym w muskulaturę siepaczem, superbohaterem kina klasy C, lecz „skomplikowanym, miotanym wątpliwościami, prześladowanym i często błędnie rozumianym outsiderem".

Debiutancka powieść Morrella „Rambo. Pierwsza krew" powstała na fali nastrojów związanych z amerykańską interwencją na Półwyspie Indochińskim. Była głosem w dyskusji o sensie i skutkach prowadzenia wojny. Zwracała też uwagę na zespół stresu pourazowego.

NA WŁASNYCH ZASADACH

Leszek Lichota wspomina, że zetknął się z filmowym Rambo jako 9–10-latek. Zapamiętał go jako supersilnego twardziela. Trzy dekady później, gdy dostał propozycję przeczytania książek Morrella, był zaskoczony. Nie tylko tym, że bohater kreowany przez Stallone'a miał literacki pierwowzór, ale też, jak daleko od niego odszedł. Ile, na potrzeby kina akcji, zostało w jego historii uproszczone.

– Książka nie stawia na akcję, opowiada o wyrzutku, outsiderze, który musi się mierzyć z systemem; który chce żyć na własnych zasadach, a nie do końca mu na to pozwalają – komentuje aktor.

Uważa, że ta lektura wciąż jest aktualna, ponadczasowa. Pokazano w niej różne światy, także antagonisty Rambo – szeryfa Willa Teasle'a. Nie oceniając postaw, prowadząc narrację, raz z perspektywy jednego, raz drugiego bohatera, autor pozwala czytelnikowi wybrać, po czyjej stronie stanie. – Dzisiaj też jesteśmy mocno spolaryzowani, chcemy uciec od systemu, rzucić wszystko i pobyć z naturą. Rambo również miał takie proste marzenie: żyć na własnych zasadach... – mówi aktor. – A największym zaskoczeniem – dodaje – jest to, że książka kończy się zupełnie inaczej niż film.

W trailerze promującym serię audiobooków Leszek Lichota wcielił się w postać pisarza Davida Morrella. W camperze, myśliwskiej kamizelce, wśród przyrody, przywołuje skojarzenia z Rebrowem. Chociaż kilogramów ma zdecydowanie więcej. Jak się wydaje, przydały mu się one do zagrania roli w dość tajemniczej, a zarazem bardzo oczekiwanej premierze tego roku.

OBOK JESIENNEJ DZIEWCZYNY

W filmie o Kalinie Jędrusik, który teraz występuje pod tytułem „Bo we mnie jest seks" (wcześniej „Jesienna dziewczyna"), Leszek Lichota zagrał Stanisława Dygata. Takie mam informacje, choć jedyną oficjalnie potwierdzoną do tej pory aktorką w obsadzie jest Maria Dębska.

eprasa.pl 309770cdcb

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Kino krwawo antymęskie

Zajrzałem (ostatnio robię to często) do Netflixa. Polski film „Erotica 2022" jest reklamowany jako dzieło feministyczne. Takie ideologiczne klasyfikacje co do intencji rzadko kiedy zapowiadają naprawdę dobre kino. Ale warto obejrzeć, żeby trzymać rękę na pulsie.

Piątka reżyserek nakręciła nowele filmowe mające się składać na obraz koszmaru kobiet. Anna Kazejak, Anna Jadowska, Kasia Adamik, Jagoda Szelc i Olga Chajdas – co najmniej dwie z tych reżyserek zdążyłem poznać z dzieł interesujących, a „Obietnica" Kazejak to naprawdę ambitne, dotykające ważnych tematów kino. Niestety w piątkę stworzyły opowieść z jednej strony mocno mętną, z drugiej nużącą. Oczywiście ocena może zależeć od punktu siedzenia – jestem facetem, podobno konserwatywnym. Niech każdy przekona się sam, czy mam rację.

To niestety pierwsza nowela, pani Kazejak, jest kwintesencją wad pozostałych. Portretów kobiet zmagających się z oschłością i fałszem mężów widzieliśmy bez liku. Prawie milczące powtarzanie domowych rytuałów przez Agatę Buzek i Andrzeja Konopkę nie wnosi nic nowego. Za to w tle próbuje się malować kontur niezbyt jasnego społecznego zagrożenia. Kobiety jeżdżą oddzielnymi od mężczyzn wagonami metra. Tak jakby panował w tamtym świecie jakiś antykobiecy autorytaryzm. Ale nie istnieje on już w kinach ani w knajpach, gdzie płcie nawet się do siebie dosiadają. Wagę zasadniczą ma rodzenie dzieci. Ale ten wątek też jest na tyle niejasny (choć podejmowany i w kolejnych nowelach), że reagujemy ziewaniem. A napisała to... Olga Tokarczuk.

Może najmniej inwazyjna jest nowela druga – Anny Jadowskiej. Przypadkowy romans kobiety z problemami z młodszym od niej chłopakiem w przerwie kolejowej podróży nie jest atakiem na facetów, raczej pochwałą spontaniczności. Tu także pojawia się wątek izolacji płci, jeszcze mniej klarownie zarysowany. Trudno za to uznać za niejasną piątą nowelę: Olgi Chajdas (partnerki życiowej Kasi Adamik, która nakręciła nowelę trzecią).

Opowiada o kobiecie, która przebrana za kierowcę limuzyny wyrusza na nocne łowy. Zabija facetów, którzy wszyscy, co do jednego, są obrzydliwymi bestiami uprawiającymi najbardziej brutalny seks. Symbolem ich praktyk są seksualne lalki, które się buntują, w finale pomagając zabójczyni.

Rozumiem prawo artysty do hiperboli, metafory. Lecz tak rodzi się każda nienawiść oparta na stereotypie. Jeśli twórca tak widzi świat, mogę tylko współczuć. Potwierdza to zresztą moją obserwację, że skrajny feminizm zapędza się pułapkę purytanizmu, tylko motywowanego inaczej niż chrześcijański fundamentalizm. Troska o zagrożoną kobietę staje się obsesją. Każdy mężczyzna musi być gwałcącą świnią.

Można już znaleźć podobne obrazki w filmach nieaspirujących do kultury wyższej. Amerykański horror klasy C „Czarne święta", powtarzany przez Canal+, zaczyna się od oskarżenia studenta o gwałt. Kończy radosną sceną, kiedy dziewczyny ze studenckiego siostrzeństwa (sisterhood) palą żywcem kolegów z bractwa (brotherhood). Magia uczyniła ich bowiem bestiami niosącymi przemoc i ból.

Robi to wrażenie autoparodii, powstawało ich na kanwie studenckich slasherów dużo (choćby „Królowe krzyku"). Ale tu intencje są serio. To ma być przestroga. I choć, przyznajmy, faceci wiele zawinili – zwłaszcza w amerykańskiej, maczystowsko-sportowej subkulturze – lekarstwo, wszechogarniająca nienawiść, wydaje mi się zdradliwsze od choroby. A to początek. Roszczenia i rewizje, powiązane z klimatem płciowej zemsty, dopiero się zaczęły. I przenikają do poważniejszych filmów i seriali – to temat na odrębną rozprawkę. Smutną rozprawkę.

Piotr Zaremba

eprasa.pl 305170cdcb

Za progiem sypialni

To historia trzech rodzin, odtworzona precyzyjnie i barwnie, osadzona w realiach Młodej Polski. Ale też romans, który na pewno przyciągnie uwagę czytelników

Z Joanną Jurgałą-Jureczką, autorką nowej powieści o Kossakach, rozmawia Goran Andrijanić

„Kossakowie. Tango" to kolejna powieść z serii poświęconej słynnej rodzinie polskich artystów. Po „Kobietach Kossaków" i „Kossakowie. Biały mazur", w „Tangu" zagląda pani jeszcze głębiej do domów i serc rodziny oraz związanych z nią artystów. Dlaczego aż tak daleko?

Joanna Jurgała-Jureczka: Daleko. Ma pan rację. I zasadne jest pytanie, jaką drogą szłam, skoro zaczęła się ona ponad 25 lat temu od Zofii Kossak. Jestem jej biografką („Zofia Kossak. Opowieść biograficzna"), a ona kojarzy się przecież z tą najbardziej pomnikową odsłoną rodziny. Teraz pozwoliłam sobie na romans. I weszłam do sypialni moich bohaterów. Czy miałam do tego prawo? To pytanie sama sobie zadałam i próbowałam na nie odpowiedzieć w zakończeniu książki.

A wracając do Młodej Polski. Wszystko zaczęło się od zwyczajnej ciekawości. Wiedziałam, że znajomość Wojciecha Kossaka z Zofią Hoesickową była jednym z najlepiej udokumentowanych romansów bardzo kochliwego artysty. Znaliśmy tylko jedną stronę medalu, bo zachowały się i zostały opublikowane jego listy. Zaczęłam szukać dopełnienia tej historii. Jakie było moje zdziwienie, kiedy dotarłam do wielu listów, pamiętników, niepublikowanych prób literackich i poznałam genezę tamtego romansu. Mogłam więc odtworzyć losy bohaterów zakorzenione w czasach bardzo smakowitych, barwnych i pięknych. Zdziwiłam się także, przeczytawszy zapewnienie w jednym ze źródeł, że żadnego romansu nie było. Zaskoczyła mnie ponadto powaga pozornie niepoważnego tematu. Chociażby to, że mamy do czynienia z bardzo polską rodziną Kossaków, z Lewentalami – zasymilowanymi Żydami, i z Hoesickami – spolonizowanymi Niemcami. Tak więc już na dzień dobry możemy przyjrzeć się z bliska wciąż budzącemu emocję zagadnieniu: swoi i obcy. A to tylko wierzchołek góry, na którą się wdrapałam.

Książka jest solidnie przygotowana badawczo. Może być zaskoczeniem dla czytelników, którzy znali Kossaków oraz ich przyjaciół ze świata bohemy krakowskiej i warszawskiej tylko dzięki ich dziełom, tymczasem pokazuje ich odidealizowanych. To jest portret bardzo prawdziwy, odczarowany i uczłowieczony, choć czasem nawet bolesny. Jakie intencje towarzyszyły pani przy pisaniu tej powieści?

Po raz pierwszy nie napisałam książki w konwencji non-fiction, ale pokusiłam się o zbeletryzowanie historii. To, wbrew pozorom, praca jeszcze trudniejsza i jeszcze bardziej wymagająca.

Fot. materiały prasowe

eprasa.pl 309770cdcb

Chciałam, żeby postacie ożyły. Jeśli wkładałam w rękę Zofii wachlarz, dbałam o to, żeby był prawdziwy. Jeśli Wojciech Kossak zabawiał rozmową zebrane w Zakopanem towarzystwo, starałam się mówić jego językiem. Niczego nie wyssałam z palca. Za mną żmudna, ale i piękna archiwalna praca, wizyty w miejscach, w których wdychałam zapach i szukałam smaku tamtych czasów – czasów Jamy Michalikowej, Zielonego Balonika, końca wieku i obietnic nowego. Poznawałam paryską modę, balowe suknie i wyjściowe kapelusze. Uczyłam się kroków tanga i macziczy. Patrzyłam na Wojciecha, Zofię i Ferdynanda, ale też i na Wyspiańskiego – samotnego artystę, na Tetmajera – wciąż samotnego mężczyznę, na Zapolską – wciąż niespełnioną aktorkę... Na figlarnego Axentowicza i zakompleksionego Reymonta oraz na wielu innych. Cieszę się więc, że teraz czytelnicy wejdą w świat, który był przez dwa lata moim światem – odtwarzanym, budowanym, oswajanym. I bliskim.

Trudno się dziwić, że powstają kolejne powieści o rodzinie Kossaków odsłaniające najbardziej ukrywane zakamarki ich duszy. Czego jeszcze nie wiemy o Kossakach i dlaczego potrzebne są takie książki?

Wielu rzeczy nie wiemy. Choć tyle lat już zajmuję się tą ogromnie utalentowaną i bardzo oryginalną rodziną, zaskakują mnie wciąż na nowo. Niedawno odkryłam nieznany wiersz Zofii Kossak; sztambuch jej pięknej i smutnej krewnej – Zofii Romańskiej, której oczami zachwycał się sam Sienkiewicz. Dotarłam do nieznanych listów żony Wojciecha Kossaka. Coraz więcej wiem o białych plamach, o powojennych losach rodziny. Czasem mam wrażenie, pracując w archiwach, że z jakimś figlarnym i przekornym uśmiechem otwierają przede mną wciąż kolejne i kolejne drzwi.

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Czyli proces badania historii rodziny Kossaków nie jest zakończony...

Kiedy wiele lat temu zaczynałam taniec z Kossakami, myślałam, że to będzie jeden walc, może dwa... A tymczasem był i biały mazur, ostatni taniec nad ranem, kiedy kończył się bal. On jednak, jak się okazuje, nie był tańcem ostatnim. Teraz zapraszam do tanga. Mam nadzieję, że Kossakowie jeszcze pozwolą mi z sobą zatańczyć...

Czarodziejska różdżka Dylana

Adam Ciesielski

Pandemia anuluje plany koncertowe. Nieprędko więc posłuchamy na żywo zawsze owacyjnie przyjmowanej u nas Diany Krall. Chwilowo musi nam wystarczyć świeża płyta cenionej Kanadyjki. Jej atutem jest klimatyczna interpretacja piosenki Boba Dylana „This dream of you". Krall to uzdolniona pianistka i wokalistka, pięciokrotna zdobywczyni Grammy z milionami sprzedanych płyt. Jej naturalnym środowiskiem jest jazz, ale – za zachętą męża, brytyjskiego rockmana Elvisa Costello – z powodzeniem realizuje się także w innych gatunkach. Koncertowała z Tonym Bennettem, nagrywała z Rayem Charlesem i Paulem McCartneyem, była producentką albumu Barbry Streisand, sięgała w stronę Toma Waitsa, Joni Mitchell.

Choć sama komponuje, w jej repertuarze dominują covery. W albumie „Windflower" z 2015 r. obok evergreenów The Eagles, Eltona Johna, Randy'ego Newmana, numeru ofiarowanego jej przez Paula McCartneya, znalazł się tytułowy kawałek innego idola artystki – Boba Dylana. Najlepszy ze wszystkich. Podobnie jest obecnie z albumem wydanym teraz, ale nagranym jeszcze przed pandemią pod auspicjami legendarnego producenta Tommy'ego LiPumy, zmarłego w 2017 r. Z towarzyszeniem grona znakomitych jak zawsze instrumentalistów (m.in. Christiana McBride'a, Marca Ribota, Russella Malone'a, Stewarda Duncana, ale także krewnego solistki, akordeonisty Randala Kralla), Diana wykonuje pamiętane jeszcze lub dawno zapomniane szlagiery z lat 30. i 40. XX w.

Diana Krall, „This dream of you"
Wyd. Universal Music

Standardy w rodzaju „How deep is the ocean" Irvinga Berlina czy „Singing in the rain" Arthura Freeda i Nacio Herba Browna brzmią jednak cokolwiek muzealnie. Ten nastrój – i ogólną ocenę – radykalnie zmienia piosenka Boba Dylana „This dream of you", którą sam autor nagrał w 2009 r. Niby kolejne sentymentalne zwierzenie o samotności i tęsknocie, któremu jednak ciemny, jakby przydymiony głos Diany Krall nadaje prawdziwie dramatyczny wymiar.

eprasa.pl 309770cdcb

3 MIŁOŚCI

Dysmorfia snapchatowa

ROBERT TEKIELI

Czy wiedzą państwo, co to jest syndrom dysmorfii snapchatowej? Dzieci chcą się poddawać zabiegom chirurgii plastycznej, żeby wyglądać jak na selfie z filtrami.

Według wielu badań istnieje związek między zdrowiem psychicznym a korzystaniem z mediów społecznościowych. Dziesiątki, a może setki milionów ludzi są dziś uzależnione od urządzeń elektronicznych.

Narzędzia stworzone przez człowieka dokonują dezintegracji tkanki społecznej. Dzięki technologii żyjemy w bańkach informacyjnych. Fake newsy są coraz bardziej wyszukane. Cyberataki stały się narzędziem zagrażającym demokracji. Przeszliśmy z ery informacji do ery dezinformacji.

Branża technologiczna to hakowanie wyborów, kakofonia użalania się nad sobą i skandali, polaryzacja, uzależnienia, kradzież danych, fake newsy, dezinformacja i władza. To 50 facetów z Doliny Krzemowej mających wpływ na życie 2 mld ludzi.

Firmy internetowe są najbogatszymi przedsiębiorstwami w historii. Sprzedają swoją umiejętność zmiany świadomości i potrzeb odbiorców. Wychowane zostało pokolenie ludzi, których wyobraźnia, zasób wiedzy i umiejętności są efektem manipulacji. A ma ona na celu jedynie wydłużenie czasu przebywania w świecie wirtualnym, ale co za tym idzie, większy zarobek. I tak kultura współczesna opiera się na manipulacji. Wszystko podszyte jest fałszem i podstępem. Zysk über alles.

Technologię perswazji wykłada się na najbardziej szanownych uniwersytetach. A potem za jej pomocą korygowana jest świadomość miliardów ludzi podłączonych do sieci. Ludzie ci zmieniają swoje zachowania w świecie realnym. A manipulatorzy osiągają to m.in. poprzez sterowanie procesami wyzwalania się dopaminy w naszym organizmie.

Nawiązywanie choćby powierzchownych relacji z innymi ludźmi powoduje uwolnienie dopaminy w układzie nagrody. Mechanizm ten został stworzony, by ludzie łączyli się we wspólnoty, byśmy chcieli znajdować partnerów i podtrzymać nasz gatunek. Ale nadużywany prowadzi do uzależnienia. Stajemy się niewolnikami potrzeby akceptacji, a łączenie serduszek, lajków i kciuków z wartością i prawdą deformuje widzenie świata. Fałszywa, krucha popularność zastępuje rzeczywistość. Ten proces czyni nas pustymi wewnętrznie.

Media społecznościowe wywołują depresję wśród dzieci. Mamy dziś samobójstwa indukowane przez treści zawarte na platformach społecznościowych. W USA nastąpił gwałtowny wzrost depresji i stanów lękowych wśród nastolatków. Zjawisko to zaobserwowano pomiędzy latami 2011 a 2013. Liczba dziewcząt trafiających do szpitali z powodu cięcia się i innych samookaleczeń do tego czasu była stabilna i wynosiła ok. 100 tys. przypadków rocznie. Ale dziewięć–siedem lat temu zaczęła rosnąć. Dziś jest ich o 62 proc. więcej wśród starszych nastolatek i o 189 proc. więcej wśród dziewczynek do 12. roku życia. Czyli trzy razy więcej!

Podobnie jest z samobójstwami. W USA nastąpił ich wzrost o 70 proc. u starszych oraz o 151 proc. u młodszych dzieci. Ten gwałtowny skok jest wynikiem rozpowszechnienia się mediów społecznościowych dostępnych dzięki inteligentnym telefonom komórkowym. Serwisy społecznościowe zabijają ludzi i ludzie się przez nie zabijają.

Pokolenie Z, dzieci urodzone po 1996 r., to pierwsze pokolenie w historii, które już w gimnazjum miało do czynienia z mediami społecznościowymi. Jest to pokolenie osób niespokojnych, nadwrażliwych i przygnębionych. Jego członkowie nie lubią podejmować ryzyka, coraz rzadziej robią prawo jazdy. Gwałtownie podnosi się też wiek osób, które mają za sobą już pierwsze randki lub związek uczuciowy.

I nie jest tak, że rozwój musi pociągać za sobą koszty społeczne. Wynalazek roweru – przedmiotu, który czeka na nasze zainteresowanie – nie zmienił świadomości społecznej. Zmywarka nie uzależniła kobiet od siebie. Media społecznościowe natomiast mają swoje własne cele i swój sposób, żeby je osiągnąć, używając znajomości głębokiej psychologii przeciwko swoim użytkownikom. I nie jest żadnym pocieszeniem, że również ich twórcy uzależnili się od swoich produktów.

Powyższe akapity są parafrazą sporego początkowego fragmentu filmu „Dylemat społeczny", który dostępny jest na Netflixie. Zawieszam narrację w tym momencie, bo muszą państwo ten film obejrzeć.

Wychowywanie dzieci to dziś głównie walka o zmniejszenie ilości czasu, który poświęcają urządzeniom elektronicznym. Ale nie chodzi tylko o dzieci. Kto z nas zamieni na tydzień smartfona na starą komórkę bez internetu? Szczerze. Nie ma się co oszukiwać. Dopamina rulez!

eprasa.pl 309770cdcb

POPKULTURA

Tylko dla dorosłych Na Netflixie pojawił się nowy, piąty sezon jednego z jego najpopularniejszych seriali dla młodzieży w historii. Chodzi o *„Riverdale”*. Tytułowe Riverdale to amerykańskie miasteczko, gdzie non stop popełniane są okrutne zbrodnie, których ofiarą padają mieszkańcy, w tym dzieci i nastolatki. Veronica, Archie, Betty i Jughead przyjaźnią się, chodzą razem do szkoły jak zwykłe dzieciaki i jednocześnie rozwiązują jak detektywi sprawy wszystkich tych morderstw. Fabuła i cały klimat serialu, kostiumy – w zasadzie wszystko jest genialne. Niestety produkcję mocno nafaszerowano ideologicznie. Zło bardzo często przedstawiane jest jako dobro, czarni bohaterowie wcale nie są do końca źli, bo np. są kochającymi rodzicami etc. Mamy też festiwal postaci LGBTQ+ wśród zarówno nastolatków, jak i dorosłych. Moralna ambiwalencja bohaterów, z którymi młodzi ludzie chętnie się utożsamiają, sprawia, że nie jest to serial dla młodzieży. Z drugiej strony w serialu rodzina odgrywa bardzo ważną rolę i zwykle jest przedstawiana jako wielka wartość. Czyli świetny serial z kaleczącą ideologią. Nowy sezon „Riverdale”, który dopiero się zaczął, od swojej premiery nie schodzi z listy najchętniej oglądanych produkcji Netflixa w Polsce.

POPKULTURA

Wątpliwe Na Netflixie pojawił się też całkowicie nowy serial fantasy *„Przeznaczenie: Saga Winx”*, taki „Harry Potter” w wersji dla dziewczyn, ale we współczesnym klimacie typowych opowieści o perypetiach grupy dziewczyn w angielskim liceum z internatem. Serial od razu stał się hitem. Teraz jest trzecią najchętniej oglądaną produkcją Netflixa w Polsce. Zrobiono go na podstawie animacji dla nastolatków z początku lat 2000 zatytułowanej „Klub Winx”. Opowiada o wróżkach posiadających moce żywiołów, m.in. wody, ognia, ziemi, które uczą się magii w szkole Alfea umieszczonej w innym wymiarze. To bajka o pięciu przyjaciółkach, które spotykają się na pierwszym roku w szkole dla wróżek i mierzą się z opanowaniem magii. Jedna z nich – Bloom – jest wyjątkowa i posiada niezwykle silną moc. Wkrótce dziewczyny muszą się zmierzyć z bardzo niebezpiecznymi wrogimi stworami, tzw. spalonymi. Serial ogląda się całkiem dobrze, ma fajny klimat i zupełnie niepotrzebne psują go nadużywane wulgaryzmy. Ponieważ w serialu mamy dość szczegółowo opisane praktyki uwalniania mocy oraz nawiązania do celtyckiej magii runicznej, nie jest to produkcja dla młodzieży. Demoniczna inicjacja może nastąpić nawet w czasie zabawy. A magia nie jest zabawką. Naprawdę.

POPKULTURA

Szalone Disney usuwa ze swej oferty bajki ze względu na rasizm, m.in. „Piotrusia Pana”. To nie żart, serwis Disney+ zablokował dostęp dla użytkowników poniżej siódmego roku życia do klasycznych bajek. Czy wiedzieli państwo, że tytuły takie jak „Dumbo”, „Księga dżungli”, „Aryskotraci”, „Zakochany kundel”, „The Swiss Family Robinson” czy wspomniany już „Piotruś Pan” zawierają rasistowskie podteksty, „ośmieszają lub utrwalają szkodliwe stereotypy na temat mniejszości i osób o innym niż biały kolorze skóry”? Przecież w filmie „Dumbo” możemy zobaczyć „białych bohaterów w poszarpanych ubraniach naśladujących i wyśmiewających zniewolonych Afrykanów”, natomiast „Piotruś Pan” przedstawia „rdzennych mieszkańców w sposób stereotypowy, który nie odzwierciedla ani różnorodności ludów, ani ich autentycznych tradycji kulturowych”. „Pokazuje, jak mówią w niezrozumiałym języku i wielokrotnie nazywa ich czerwonoskórymi, co jest obraźliwym określeniem”. Określenie „czerwonoskóry” jest tak samo obraźliwe jak „białoskóry”?

Jak piszą właściciele, „Disney jest zaangażowany w tworzenie historii z inspirującymi i aspiracyjnymi motywami...”. A wiadomo, że historię najłatwiej się tworzy, paląc książki i cenzurując filmy. Wielki Brat ma własne spojrzenie na to, co było. I co? I nic.

POPKULTURA

Warte Na platformie Netflix pojawią się w lutym m.in. „Dziecko Rosemary”, „Obywatel Jones”, „Desperado”, a na HBO Go wart obejrzenia jest film *„Tolkien”*, opowieść o najważniejszych latach życia młodego pisarza, późniejszego autora sagi Śródziemia. Niestety biali ludzie mają dziś coraz mniej do obejrzenia, no, chyba że zawody sportowe z wygrywającymi facetami, którzy na chwilę poczuli się kobietami. Baba z brodą to oprócz pokładów plastiku symbol naszych czasów, o którym rozprawiać będą nasze prawnuki.

Robert Tekieli
Polskie Radio

eprasa.pl 309770cdcb

Wojciech Stanisławski

Dziewięć dni, które zmieniły świat

Ten świetny tytuł to nie mój pomysł, niestety. Ściągnąłem go od biografa Jana Pawła II, George'a Weigla. Ale jaka fraza pyszniej opisuje tamten czas? Pełniej – na poziomie fascynującej monografii – opisał go Paweł Skibiński

Pysznych fraz, scen i cytatów też w tej pracy nie brakuje. „Jadowity antykomunista" – ocenia bez złudzeń Wojtyłę Borys Aristow, sowiecki ambasador w Warszawie. „Absolutnie zdegustowani naradzają się towarzysze: Kania, Kowalczyk, Olszowski. (...) Konsternacja widoczna. Olszowski wylewa na jasne spodnie filiżankę czarnej kawy. Westchnienia. Ciężkie" – opisuje pierwszą naradę kierownictwa partyjnego po konklawe tow. Kazimierz Kąkol. „Wiatr historii powiał nad krajem, gdzie historia stanęła w miejscu od trzydziestu lat" – komentuje w dzienniku Stefan Kisielewski. Nawet najgodniejszym bohaterom tej historii zdarzały się pełne dezynwoltury skróty myślowe: „Ależ nie mogę na św. Stanisławie dokonywać harakiri!" – miał wykrzyknąć papież podczas rozmowy z zaufanymi biskupami w lutym 1979, kiedy trwało przesilenie między PZPR a Kościołem w kwestii terminu pierwszej papieskiej pielgrzymki.

Takich cytatów można by uzbierać antologię, bo prof. Skibiński dokonał gigantycznej pracy, nie tylko sięgając po źródła dotąd, jak się okazuje, niemal niezbadane (przede wszystkim archiwalia Kościoła polskiego) lub pomijane (jak nagrania, reportaże i niezliczone świadectwa ludzi przeżywających pielgrzymkę), ale i wydobywając z dziesiątków dokumentów źródłowych, syntez i wspomnień pojedyncze, wymowne sceny. Ale nie w tym przede wszystkim siła tej pracy, a w rygorze badawczym, z jakim opisuje to, co było przez dekady przedmiotem zachwytu, wzruszenia, kultu (czasem dość niezgrabnego, co ułatwia ataki nań), lecz niekoniecznie refleksji. Pierwsza pielgrzymka papieska do Polski w 1979 stała się wydarzeniem ikonicznym (okno na Franciszkańskiej...), doczekała się portali, pomników i prześmiewców. Na monografię przyszedł czas dopiero teraz.

„Odnowa..." postawiona została na solidnym fundamencie: dwa wstępne rozdziały opisują Polskę i Kościół, „do których przyjechał papież", bez taryfy ulgowej opisując elitę władzy, episkopat, organizacje i pisma „katolików świeckich" (tych bardziej i mniej koncesjonowanych), najważniejsze składowe systemu sprawowania rządów, sytuację gospodarczą, socjalną i duchową Polski w latach 70., kontekst międzynarodowy. Te wszystkie elementy zaczynają grać w pierwszym rozdziale w pełni „narracyjnym", pokazującym negocjacje prowadzone od jesieni 1978 do wiosny roku następnego i rozpaczliwy opór władz, które przerażała perspektywa pielgrzymki, lecz nie mogły pozwolić sobie na jej zakazanie; pozostawały im żenujące intrygi. Scena, którą papież opisuje w prywatnym liście do prymasa Wyszyńskiego słowami: „Pierwszym człowiekiem, który przyszedł powiadomić Watykan, abym nie przyjeżdżał, okazał się mój rodak", rodzić może tylko oburzenie. Łamańce, których dokonują polscy komuniści, tłumacząc się przed Moskwą z przyjazdu Jana Pawła II (przywołane kilka stron dalej), potrafią z kolei zrodzić w czytelniku uczucie współczucia dla Edwarda Gierka, co jest doznaniem stosunkowo rzadkim.

Dalej jest już tylko lepiej, także w sensie naukowym: Paweł Skibiński, ocalając tom przed „kalendaryjnością", która przytłoczyłaby odbiorców, wydobywa zarazem wszelkie sytuacje o znaczeniu historycznym i politycznym, czy będzie to niezwykle enigmatyczna (co zostało przeoczone przez wielu obserwatorów) refleksja papieża nad tablicą poświęconą rosyjskim więźniom Auschwitz, czy zdumiewająca naiwność i nieroztropność o. Konrada Hejmy, odgrywającego

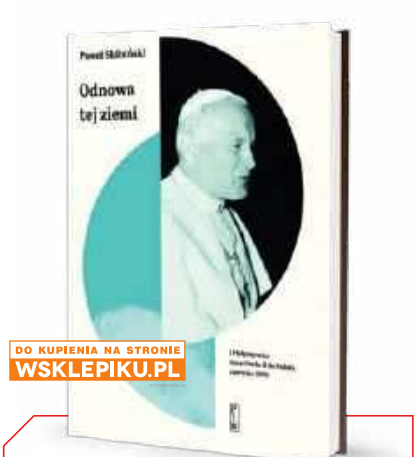

Paweł Skibiński, „Odnowa tej ziemi. I Pielgrzymka Jana Pawła II do Polski, czerwiec 1979"

eprasa.pl 309770cdcb

ważną rolę pośrednika między episkopatem a dziennikarzami. Zdumienie budzi rozdział poświęcony analizie papieskich homilii i wystąpień z historycznego punktu widzenia. Te zdania były przecież badane, komentowane i podziwiane od 40 z górą lat: a jednak okazuje się, że można z nich wyczytać nowe, nieoczywiste treści i przesłania.

Historycy Kościoła, bodaj od czasów Sokratesa Scholastyka z IV w., doświadczają nieznanych innym badaczom dylematów. Rzetelność naukowa sprawdza się jednak zawsze: właśnie tom wolny od bombastycznych przymiotników, od których nieraz puchną laudacje i narracje, zbudowany jak z bloków skalnych, między które ostrza nie da się włożyć, udowadnia, że pierwsza pielgrzymka naprawdę miała epokowe znaczenie dla Polski i świata. Ale nam się wydarzyło.

Na prawo Bierut, na lewo Goldzamt

Marmur z szampanem! – tak pseudowitkacowską frazą podsumowałbym najkrócej ten esej historyczny Andrzeja Kozickiego. Marmur – bo rzecz o architekturze i budownictwie, choć w książce, jako że o Warszawie powojennej traktuje, więcej piaskowca (polecam akapit o tym, dokąd trafiały kremowe piaskowce kunowskie, a dokąd – szarobeżowe szydłowieckie i czerwonawe tumlińskie). A szampan – bo „Odbudowa Warszawy" napisana jest z musującą fantazją: autor odtworzył niemal wymarły gatunek szkicu, skrzyżowanego (a to gwoli podrasowania) z pamfletem. Kilka tygodni temu wspominałem na tych łamach Karola Zbyszewskiego, ubolewając, że nikt już tak nie pisze, a szczutki, fundowane Wielkim Zmarłym Polaków, współcześni „publicyści historyczni" potrafią zamienić co najwyżej na ponure obelgi – i jeszcze się tym szczycą, biedaczyska.

Otóż pisze się tak! – z polotem, ze złośliwością, ze skojarzeniami trzaskającymi w rytmie flippera, z założeniem, że dla autora nie ma świętych krów. A skoro tak, o oficjalnych arcydziełach można napisać „maziaje Picassa", o Peterburku – „stolica budowana według urbanistycznego zamordyzmu, co wszystkim na dobre wyszło", a o jednym z ojców odnowicieli naszej umęczonej stolicy: „Nikt go nie brał poważnie, nikt się z nim nie liczył, bo miał słabą pozycję. Przyjechał przed wojną do Warszawy, ale nie miał tu krewnych, a tym bardziej mieszkania, musiał się wżenić w socjetę, co też trochę potrwało, doktorat pisał długo..." (o kim to, koteczku?).

Ta swoboda nie dotyczy tylko frazy, daje też wolność skojarzeń („Tymczasem historia potoczyła się w inną stronę, niczym głowa Berlioza"), dygresji, które redaktor czasopisma naukowego skreśliłby, choć przeciekawe (naziści a kulty pogańskie; objawienia maryjne na Siekierkach; dokonania Adolfa Hitlera jako akwarelisty – by wymienić pierwsze z brzegu), porównań o poetyckiej mocy (Warszawa jako Aelia Capitolina, miasto wzniesione przez Rzymian na miejscu zaoranej Jerozolimy). Pamflet, niczym czapka błazeńska, wyzwala, daje prawo stawiania ryzykownych tez, konstruowania efektownych puent („Prawdziwe? Mogłoby być, gdyby nie to, że z pociągu z Moskwy wysiadał właśnie towarzysz Goldzamt, który w teczce przywiózł cykl referatów o socrealizmie"), wplatania akcentów osobistych w większej nawet dawce, niż jest to dozwolone w eseju, zawieszania głosu po dramatycznej puencie rozdziału. Autor nie weźmie mi za złe określenia tego szkicu jako „amatorski" – wiedząc, jak i ja wiem, że tytułem „gentleman amateur" szczycili się, jako samoucy, Darwin, Szekspir i Pierre Fermat, prawnik z zawodu. To nie jest wymęczona, mrówcza monografia, to pisanie w rytmie „...bo tak mi się podoba". Owszem, raz i drugi z potknięciem (żart o Dzielnicy Urzędów Państwowych wydaje się nieco wysilony, poemat Sołżenicyna stanowczo lepiej brzmi w przekładzie Michała B. Jagiełły, opublikowanym przed dwoma laty) – ale w pamięci zachwyconego czytelnika zostają przede wszystkim piruety.

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Andrzej Kozicki, „Odbudowa Warszawy opowiedziana na nowo", Fundacja na rzecz Warsztatów Analiz Socjologicznych, 2020

A zarazem, pod warstwą monologu godnego stand-upera urbanisty, mamy do czynienia ze świetnie udokumentowaną rekonstrukcją sporów o kształt powojennej Warszawy. Znalazło się tu miejsce na tragedię miasta, ewolucję postaci, jak na dobrą literaturę przystało (przedwojenny „łowca fuch" wyrasta na bohatera czasu wojny i stalinizmu, służalczy Sigalin ukazuje ludzką twarz) i pasję. Pasję warszawiaka, który jest w stanie ogarnąć wyobraźnią skalę zmarnowanej szansy. Obrócenie Warszawy w perzynę w połączeniu z ambicjami architektów i propagandową niechęcią do „czynszowych kamienic kapitalizmu" stwarzało możliwość wielkich reform miejskich: wzniesienia osiedli z oddechem, zaprojektowania parków, bulwarów, klinów napowietrzających. Te kliny wybiła, dusząc tym samym nasze miasto, deweloperska mafia, zażywająca dziś płucami swych przedstawicieli świeżego powietrza w willach w Wawrze. O tym też jest ta książka.

eprasa.pl 309770cdcb

Hit tygodnia

SSC Tuatara i pobity rekord prędkości!

O miano najszybszego auta ubiega się niewiele modeli samochodów. Jeszcze niedawno tytuł najszybszego pojazdu należał do Bugatti Chirona (wrzesień 2019 r., niemiecki tor testowy Ehra Lessiennie i rekord: 490,48 km/h, ale ze względu na przepisy wymagające uśrednienia prędkości z dwóch przejazdów oficjalnym rekordzistą był Koenigsegg Agera RS – 447,2 km/h, gdyż wynik Bugatti był uzyskany tylko w jednym przejeździe). To już przeszłość. Nowym królem jest SSC Tuatara firmy Shelby Super Cars North America, z wynikiem 508,73 km/h. To wynik uśredniony, gdyż w jednym z przejazdów kierowca Oliver Webb siedzący w SSC Tuatara rozpędził pojazd do... 532,93 km/h!

AUTOFOCUS, czyli co warto wiedzieć

Tablice rejestracyjne dla rowerów? Na taki pomysł wpadła berlińska policja w związku z coraz większą liczbą wypadków, w których biorą udział rowerzyści. „Wobec rosnącej liczby skarg przesyłanych przez pieszych warto rozważyć obowiązkowe oznakowanie rowerów" – mówi dziennikowi „Berliner Morgenpost" szefowa berlińskiej policji Barbara Slowik. Nie wszyscy się zgadzają na wprowadzenie oznaczeń rowerów. Argumentują, że w Berlinie w 2019 r. było 147 306 wypadków drogowych. Rowery brały udział w zaledwie 3,9 proc. wypadków, czyli w 7854. W tym roku jak dotąd 15 rowerzystów straciło życie w wypadkach drogowych w stolicy Niemiec.

Czy ktoś jest chętny na Teslę Model 3? Jak się okazuje, i do naszego kraju można zamówić ten elektryczny samochód, choć trzeba to zrobić trochę naokoło – strona producenta nie obsługuje języka polskiego, a Polska nie jest uwzględniona w lokalizacji, to jednak konfigurator w opcji „docelowe miejsce zakupu" ma nasz kraj. Teraz tylko trzeba sobie wybrać, co nam potrzebne w aucie i poczekać na realizację zamówienia. Trzeba też mieć na karcie tak, lekko licząc, minimum 220 tys. zł do wydania.

Auta Volvo z rocznika modelowego 2021 mają zamontowane ograniczenie prędkości do 180 km/h. Ale nie wszyscy lubią ograniczenia i w dodatku nie wszędzie obowiązują limity prędkości, np. w Niemczech. I właśnie tam znalazła się firma, która zdejmuje blokadę prędkości w wybranych modelach, oczywiście nie za darmo, trzeba się liczyć z wydatkiem od 1,2 tys. do 1,6 tys. euro. Owa firma, czyli Heico Sportiv, daje również ekspertyzę oraz gwarancję właścicielowi auta, który postanowił jeździć bez ograniczeń prędkości.

Czy to możliwe, by Fiat 126 powrócił? Nigdy nic nie wiadomo, w każdym razie jest szansa dla naszego popularnego „malucha". Włoska pracownia MA-DE Studio zaprojektowała Fiata 126 Vision. Autorami projektu są Andrea Della Vecchia i Giuseppe Cafarelli, którzy w ten sposób postanowili oddać hołd

temu modelowi, równie popularnemu we Włoszech. Co ciekawe, nowy „maluch" miałby być pojazdem elektrycznym. Dlaczego nie?

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl 309770cdcb

Nikon Z 6II i Z 7II

Premiera

Firma Nikon zaprezentowała dwa najnowsze pełnoklatkowe bezlusterkowce Z 6II i Z 7II. I chyba pierwszy raz w historii Nikona nowe aparaty w nazwie mają II (Sony stosuje takie nazewnictwo, a właściwie numerację, już od pewnego czasu w niektórych modelach) i chyba ma to sens, gdyż od razu wiemy, że mamy do czynienia z następcami modeli Z 6 i Z 7. Obydwa aparaty korzystają z nowego bagnetu Z, są wyposażone w dwa procesory przetwarzania obrazu Expeed 6, szybsze i większe bufory, umożliwiające wykonywanie szybkich zdjęć seryjnych, a także dwa gniazda kart pamięci, obsługujące karty UHS-II SD oraz XQD lub CFexpress. Aparaty umożliwiają też nagrywanie filmów 4K/60p. Z 7II ma matrycę o rozdzielczości 45,7 mln pikseli i zasadniczo skierowany jest do użytkownika profesjonalnego, z kolei Z 6II ma matrycę o rozdzielczości 24,5 mln pikseli. Jak już wspomnieliśmy, oba aparaty mają bagnet Z, dający większe możliwości przy zastosowaniu specjalnych obiektywów, choć oczywiście nic nie stoi na przeszkodzie, by używać obiektywów dostosowanych do bagnetu F (w zasadzie wszystkich wcześniejszych), za pomocą firmowego adaptera FTZ. Niestety ceny aparatów są wysokie, korpus Z 6II wyceniono na 9999 zł, Z 7II zaś – na 14 999 zł.

Plusy i minusy

+ kolejna odsłona świetnych aparatów
– za które przyjdzie nam sporo zapłacić

Oppo Reno4 Z 5G

Oppo wprowadza do sprzedaży smartfon Oppo Reno4 Z 5G, urządzenie w pełni obsługujące 5G w obu trybach (SA i NSA). Smartfon wyposażono w procesor MediaTek Dimensity 800, który łączy cztery mocne rdzenie ARM Cortex-A76 działające z częstotliwością do 2 GHz z czterema energooszczędnymi rdzeniami ARM Cortex-A55 także o taktowaniu do 2 GHz. Telefon ma ekran o wielkości 6,57 cala, który w 90 proc. wypełnia front urządzenia. Wyświetlacz obsługuje rozdzielczość 2400 x 1080, zagęszczenie pikseli wynosi 401 PPI, częstotliwość odświeżania obrazu to 120 Hz, a pamięć to 8 GB RAM i 128 GB ROM. Aparat oferuje też spore możliwości fotograficzne – przedni aparat: obiektyw główny 16 Mpix i 2-megapikselowy do pomiaru głębi ostrości; tylny aparat to zestaw czterech obiektywów: główny 48 Mpix, szerokokątny obiektyw 8 Mpix, obiektyw monochromatyczny 2 Mpix do portretów vintage i czarno-biały obiektyw portretowy 2 Mpix. Oppo Reno4 Z 5G będzie dostępny w dwóch wariantach kolorystycznych: stalowym niebieskim i białym.

Cena: 1799 zł

Huawei MateBook X i MateBook 14

Premiera

Firma Huawei wprowadza na polski rynek dwa laptopy – MateBook X i MateBook 14. Urządzenie napędza procesor Intel Core 10. generacji, wspierany przez 16 GB pamięci operacyjnej, pamięć wewnętrzna to 512 GB. MateBook 14 wyróżnia się ultrasmukłą konstrukcją, urządzenie waży 1,49 kg, a szerokość obudowy laptopa w najszerszym miejscu wynosi 15,9 mm. Wysoką wydajność zapewnia procesor AMD Ryzen 5-4600H oraz – w zależności od konfiguracji – 8 lub 16 GB pamięci operacyjnej. Pamięć wewnętrzna MateBook 14 wynosi 256 GB lub 512 GB. MateBook X jest dostępny w rekomendowanej cenie detalicznej 6499 zł, natomiast MateBook 14 w zależności od konfiguracji: 3599 zł lub 3999 zł.

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl 309770cdcb

KAMILA I NOEMI GÓRNY*

Bezglutenowe podróże

Świadomość nietolerancji glutenu pojawiła się w ich życiu, gdy były już nastolatkami. Musiały – jak podkreśla Kamila – „totalnie przedefiniować" kulinarne przyzwyczajenia. Z biegiem czasu, poszukując różnych rozwiązań (nie zawsze miały pod ręką tyle dostępnych zamienników co dziś), uczyły się kreatywności. Pomocne okazały się właśnie podróże.

– Ze strony mamy w połowie jesteśmy Węgierkami, więc kuchnia tamtego rejonu (niestety w większości podobnie glutenowa jak polska) towarzyszyła nam od dzieciństwa – mówi Kamila. – Otwierała nas na inne niż polskie tradycje i smaki – mówią autorki książki „Bezglutenowe podróże. Ciasta i desery" (Wydawnictwo AA). Z czasem się zorientowałyśmy, że wśród typowo węgierskich przepisów znaleźć można i takie, w których nie ma glutenu. To np. gesztenyepüré, czyli deser z kasztanowego purée. Węgrzy sprzedają to purée w formie kostek, jak u nas masło. Jest zmrożone, więc jadąc na Węgry, zabierałyśmy z sobą turystyczną lodówkę, by mieć to purée na zapas, do kolejnych domowych smakołyków.

Ponieważ nasi rodzice często przyjmowali gości, nie tylko z Węgier, w ramach rewizyt pojechaliśmy rodzinnie m.in. do Włoch. Na początku, oczywiście, odkryliśmy, że tamtejsza kuchnia ma w sobie wiele glutenu (nawet tiramisu, z racji wykorzystywanych w nim biszkoptów). Ale można przecież upiec biszkopty z mieszanki mąki kukurydzianej, mączki migdałowej i skrobi ziemniaczanej. A potem podać – klasycznie z mascarpone albo w wersji bezmlecznej, w której „bitą śmietanę" przygotowujemy z mleka kokosowego.

Zupełnie inaczej wygląda sprawa deserów w Hiszpanii. Większości wcale nie trzeba przerabiać na wersję bezglutenową. Jest flan, czyli pieczony budyń, macedonia de frutas (sałatka owocowa), arroz con leche, czyli ryż z cynamonem na mleku, a turrón de Jijona (tradycyjny hiszpański nugat) to migdały i miód. Najbardziej zaskakującym dla nas ciastem była tarta de Santiago, pieczona w całości na bazie mąki migdałowej.

USA – kulinarnie – wcale nie okazały się „krajem steków, hamburgerów i frytek". Przekonałyśmy się, że łatwo zrobić brownie w wersji bezglutenowej, podobnie jak chlebek bananowy, muffinki z dyni czy pancakes.

Bardzo intensywnym, choć krótkim, bo raptem dziesięciodniowym doświadczeniem, była dla nas podróż do Izraela. Zasmakowałyśmy tam w oryginalnej chałwie (słodzonej cukrem lub miodem – to zdrowsza opcja) i budyniu (różanym – sachlav czy malabi – z granatowo-malinową galaretką). Przywiozłyśmy przepisy m.in. na barazek, czyli miodowo-sezamowe kruche ciasteczka, tamar mehsze (nadziewane daktyle) i... czekoladowy humus.

Dzięki podróżom w naszych przepisach rozgościł się m.in. agar, substancja żelująca pochodzenia roślinnego. Warto na nią zwrócić uwagę.

Jolanta Gajda-Zadworna

** autorki książki „Bezglutenowe podróże. Ciasta i desery", prowadzą na FB stronę „Bezglutenowe przepisy"*

Panna cotta vegana al cioccolato

czyli panna cotta w wersji wegańskiej o smaku czekoladowym

Składniki na 4 porcje: 500 ml mleka kokosowego gęstego z kartonu, 50 g cukru trzcinowego, 50 g gorzkiej czekolady, ½ łyżeczki agaru, 60 ml gorącej wody, olej kokosowy do wysmarowania foremek

Sposób przygotowania:

1. Do garnuszka wkładamy kostki czekolady, zalewamy mlekiem kokosowym i wsypujemy cukier. Podgrzewamy na małym ogniu, mieszając składniki tak, aby połączyły się na gładką masę. **2.** W gorącej wodzie rozrabiamy agar i wlewamy do naszej lekko gotującej się masy, całość delikatnie mieszamy trzepaczką i przez ok. 3 min trzymamy na małym ogniu. **3.** Zdejmujemy garnuszek z ognia i przelewamy płyn do foremek, wcześniej wysmarowanych olejem kokosowym. **4.** Deser zostawiamy do zastygnięcia w pokojowej temperaturze. Kiedy wystygnie, wkładamy do lodówki, aby się schłodził. Buon appetito!

Fot. JAN STROJNY, archiwum autorek

eprasa.pl 309770cdcb

SŁODKO-SŁONY

Pyszny puder

ANNA MONICKA

Znajomy zabrał kiedyś wiosną dzieciaki na obóz przetrwania, a raczej odwyk od komórek i laptopów. Namioty, śpiwory, karimaty, małe plecaczki, każdy po kocherku i krzesiwku i jazda w las, byle dalej od cywilizacji i nadajników. Zamiast GPS-ów – kompasy i oglądanie mchu na kamieniach. Zamiast jedzenia – jakieś torebki z suszem, jaki zabierają z sobą kosmonauci. I nie były to żadne papki, tylko gulasz z kaszą, bigos, chilli, porządne zupy kremy, ba, nawet jajecznica. Wszystkie dania pozbawione 90 proc. wilgoci. Trzeba było tylko dodać wodę, poczekać aż napęcznieją, podgrzać i zjeść.

Dzieci wróciły zachwycone, nazbierały do tego młodego szczawiu i liści babki na sałatkę. Dowiedziały się, żeby nigdy, przenigdy nie jeść jagód czy poziomek prosto z krzaczka, bo mogą być obsikane przez lisa (co oznacza, że jeśli ich nie umyjemy przed jedzeniem, możemy złapać bąblowca – paskudnego i bardzo groźnego tasiemca). Po trzech dniach byli brudni, szczęśliwi i tak zmęczeni, że nawet nie sięgnęli po swoje ukryte w szufladzie telefony. Padli spać.

A ja obejrzałam sobie torebki po ich jedzeniu. Znajomy zadbał nawet o owoce – mieli z sobą żurawinę zamiast cukierków, na wypadek, gdyby kogoś nagle potrzebował cukru. Przecież to genialny patent na uzupełnianie witamin zimą. Owoce w sklepach są, owszem, ale strach je kupować. Kiedyś połakomiłam się na truskawki, które przyjechały do nas z jakiejś zamorskiej szklarni. Gdy zaczęłam jeść – entuzjazm minął. Smak żaden. Dodałam je więc do sałatki i drapałam się potem przez kilka dni, bo jednak „czyste" to one nie były.

W domu mam zawsze pod ręką liofilizowane owoce – truskawki, porzeczki, jagody. Zazwyczaj mielone, ale można też kupić plasterki czy połówki. Mam też zieloną pietruszkę i koper do zup i sosów. Najprostsze przepisy z nimi są najlepsze – dodajemy do jogurtów kopiastą łyżkę na przykład pudrowanych jagód, doprawiamy miodem i mamy doskonałe drugie śniadanie. Pełne koloru i naturalnego smaku. Albo robimy mus do naleśników. Bardzo cenię miód z liofilizowanymi malinami – działa jak lekarstwo w czasie przeziębienia.

Fot. Shutterstock, archiwum autorki

WILCZYM OKIEM

Podbiał

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Podbiał pospolity *Tussilago farfara* zawsze przyciągał moją uwagę i wzbudzał sympatię. Niepozorny, niewielki, o kilkunastocentymetrowej łodydze, rosnący skromnie na poboczach dróg, skarpach, żwirowiskach, w olszynach, na skrajach zieleńców i na terenach ruderalnych. Podbiał zakwita jako jeden z pierwszych kwiatów już w marcu, a niejednokrotnie nawet w lutym. Na drzewach nie ma jeszcze liści, trawa wciąż jest poszarzała, a nieduże żółte kwiatuszki zapowiadają wiosnę.

Kwiaty podbiału pojawiają się pierwsze. Dopiero po pewnym czasie, w kwietniu, wyrastają liście – spore, okrągławe, płytko klapowane, o ząbkowanym brzegu i bordowym użyłkowaniu. Od dołu okryte są białym kutnerkiem, od którego można wywodzić nazwę „podbiał". Kwiaty przybierają wówczas postać przypominającą dmuchawce, z nasionami utkwionymi w koszyczkach białego puchu – ale to dopiero później.

Od kwitnienia podbiału rozpoczyna się pewien szczególny kalendarz. Pszczeli. Sam podbiał zresztą jest jednym z pierwszych pszczelich pożytków. Żółty pyłek o tak wczesnej porze roku jest wybawieniem – pomaga odzyskać pszczelim rodzinom siły po wyczerpującej dla nich zimie. Kwiaty podbiału nieprzypadkowo zresztą mają kolor żółty – ten kolor jest zauważany przez pszczoły, wiele więc roślin przez nie zapylanych ma kwiaty żółte.

Kwitnienie podbiału zaczyna odliczanie, dzięki któremu pszczelarze wiedzą, kiedy pojawią się kolejne pożytki dla pszczół. Np. 20 dni po podbiale zakwitają mniszki lekarskie (też żółte). Mniszki, kwitnące masowo i zamieniające całe łąki w złociste powierzchnie, są dla pszczół jednym z podstawowych kwiatów – istnieje nawet miód nazywany miodem mniszkowym. A później, w odliczonym od podbiału czasie, zakwitają kolejno drzewa owocowe, dzikie róże, lipy, rzepak...

Podbiał pospolity ma także właściwości lecznicze. Kwiaty i liście zawierają olejki eteryczne, flawonoidy, substancje gorzkie, związki śluzowe i wiele innych substancji. Preparaty podbiałowe pomagają na gardło, przeziębienia i kaszel. Informacja o leczniczych właściwościach podbiału zawarta jest w jego rodzajowej nazwie łacińskiej *Tussilago*, wywodzącej się od słów *tussio* kaszleć, *tussis* kaszel.

eprasa.pl 309770cdcb

W ŚWIECIE LUSTER

HANNA KARP

Ciągle czas przeszły...

Co widzą na swoich ekranach globalni użytkownicy mediów społecznościowych? Co do nich dociera? Jaki twitt znika, jaki kanał z YouTube'a zostaje zablokowany? Mówi się, że winne są tu algorytmy. To one mają decydować o tym, co jest według standardów Facebooka i Google'a powszechnie dostępne, a co nie.

CZYŚCICIELE SIECI

Ale internet lustrują także tak zwani czyściciele sieci. Usuwają fizycznie z cyfrowej przestrzeni cyfrowe śmieci. 18-latkowie z Indii i Filipin – bo to oni są głównie do tej pracy rekrutowani – nie muszą mieć wielkich kompetencji. Ich kilkudniowe szkolenia, poza elementarną obsługą komputera, dotyczą recepcji wskazówek otrzymanych z Facebooka czy Google'a. Mają spisane w swoich materiałach szkoleniowych nazwy organizacji terrorystycznych, ich symbole, flagi, mundury i inne oznaczenia. Ich praca polega także na nieustannym obcowaniu ze złem z tak zwanego darknetu, w tym drastyczną pornografią dziecięcą i wszelką inną przemocą. O wynagrodzeniu decyduje tu wydajność. Za dniówkę powinni usunąć z netu kilkadziesiąt tysięcy zakazanych ilustracji. Pracują na śmieciowych umowach i za śmieciowe stawki. Ten rodzaj zarobkowania jest psychicznie tak wyczerpujący, że są w stanie przepracować maksymalnie pół roku. Działają jak agenci służb – tajnie. Nie mają prawa ujawnić, że pracują na przykład na rzecz Facebooka. Zdradzenie tych informacji grozi nałożeniem kary do 10 tys. dol.

Przypomina mi to prawdę o cenzurze i cenzorach w Polsce Ludowej. Cenzury wtedy także formalnie nie było, nie było też mowy o cenzorach, a w tych czasach to oni byli ówczesnymi „czyścicielami" wszystkiego, co docierało do odbiorcy w formie tekstu drukowanego w gazecie, przekazywanego w radiu czy jako obraz na szklanym ekranie.

Zajmując się cenzurą PRL, wertując akta i archiwa IPN, obserwowałam jednocześnie in statu nascendi nową cenzurę III RP. Już niekojarzoną z systemem totalitarnym, ale równie niszczącą i niebezpieczną. Nowi wydawcy zagarniający rynek polskiej prasy i związany z nim zagraniczny kapitał, własną cenzurę narzucali nieformalnie i bezgłośnie. Część tytułów i redakcji była tak sformatowana, że niejako z definicji nie poruszała spraw i tematów niewygodnych w nowym kraju, w którym przyszło im prowadzić działalność. Tworzone redakcje zakładały taki dobór dziennikarzy, który z góry pozwalał przewidzieć sposób, w jaki te zespoły będą poruszać określone tematy z zakresu ekonomii, gospodarki, kultury, wiary czy Kościoła.

Nie sądziłam, że temat – wydawałoby się – historyczny, zamknięty i odległy, tak szybko przepoczwarzy się i przybierze nowe oblicze. Że nabierze nowej, jeżącej włos na głowie aktualności. Że wtargnie w nasze obecne życie tak nowym i nieoczekiwanym kanałem.

W PRL, kraju okupowanym przez Sowietów, środki komunikacji spełniały funkcje definiowane przez najściślejsze gremia partyjnych sekretarzy. Już zapominamy, niestety, że media totalitarne przez pół wieku kontrolowały polską świadomość. Ideologia ateistyczna określała charakter wszelkich przekazów informacyjnych, rozrywkowych i edukacyjnych. Naturalna na Zachodzie rynkowa walka mediów o odbiorcę w warunkach kraju obowią-

eprasa.pl 309770cdcb

zującej doktryny marksistowskiej była abstrakcją i fikcją. U nas szczególnie ważną rolę odegrała komunistyczna cenzura, będąca rodzajem mentalnej przemocy, przywieziona do Polski w 1944 r. przez sowieckich urzędników i wdrażana według sowieckiego modelu. W PRL system sowiecki wypracował kilka rodzajów cenzury, a każda działała inaczej i powodowała charakterystyczny tylko dla siebie rodzaj mentalno-duchowego spustoszenia w społeczeństwie.

OBCY GOSPODARZE

Także teraz zewnętrzne podmioty medialne, które zawładnęły tak wielkie obszary rynku medialnego w Polsce, dyktują własny sposób opisywania rzeczywistości. Często dowodząc, że nie rozumieją kodów kulturowych, religijnych czy społecznych kraju, w którym przychodzi im prowadzić przedsiębiorstwa medialne. Są tutaj gośćmi, a często czują się już gospodarzami. Mają ambicje dyktować swoim odbiorcom gusta nie tylko artystyczne, lecz także zwyczaje, upodobania, a nawet poglądy polityczne.

Bardzo przestrzegałabym ich przed nadmiernie dobrym samopoczuciem. Polscy odbiorcy mediów mają coraz większą świadomość tego, kto jest gospodarzem, a kto gościem i na czyją rzecz powinny pracować tu przedsiębiorstwa medialne. Chodzi tu bowiem już nie tylko o zwykłą politykę informacyjną, lecz o bezpieczeństwo informacyjne kraju, które w obecnych trudnych czasach oznacza często być albo nie być polskiej racji stanu.

W tym kontekście sporo nadziei budzi także niedawna wypowiedź prezesa Prawa i Sprawiedliwości Jarosława Kaczyńskiego na antenie telewizji wPolsce.pl. W rozmowie dużo miejsca poświęcono własności mediów w Polsce. Kiedy prowadzący wywiad Michał Karnowski zapytał wicepremiera o ocenę sprzedaży przez Niemców firmy medialnej Polska Press, prezes PiS odpowiedział, że jest to jedna z najlepszych wiadomości w ciągu ostatnich lat. „My pozbawiliśmy się w wielkiej mierze mediów, na rzecz czynników pozapolskich, głównie niemieckich, z ogromną stratą dla naszej suwerenności nie tylko państwa, lecz narodu. Proszę zwrócić uwagę, że media niemieckie odegrały w latach 90. ogromną rolę w demoralizowaniu młodzieży. I to takim demoralizowaniu wulgarnym, prymitywnym" – ocenił Jarosław Kaczyński.

Święta racja, chciałoby się rzec, a skutki wspomnianej przez prezesa PiS demoralizacji możemy obserwować od miesięcy na wulgarnych przemarszach podczas tzw. Strajku Kobiet.

Prezes Prawa i Sprawiedliwości przypomniał także podczas tej rozmowy sytuację, gdy jak mówił: „[...] jedna niezbyt znacząca gazeta codzienna została przejęta przez nie-Niemców w Niemczech, uruchomiono potężną kampanię i skończyło się tym, że ta gazeta w ręce niemieckie powróciła". „Czyli oni mają prawo do bronienia swojej suwerenności w tej superważnej sferze, ale odmawiają tego prawa innym" – podkreślał premier.

> Zewnętrzne podmioty medialne są w Polsce gośćmi, a często czują się już gospodarzami. Mają ambicje dyktować swoim odbiorcom gusta nie tylko artystyczne, lecz także zwyczaje, upodobania, a nawet polityczne poglądy

To bardzo cenny przykład, a skoro jest tak często przytaczany na naszym gruncie, to warto go uzupełnić o dodatkowe szczegóły. Historia ta zdarzyła się w 2005 r. w Berlinie i chodziło o dziennik „Berliner Zeitung". Gazetę przejęły wtedy firmy związane z funduszami inwestycyjnymi Wielkiej Brytanii, dokładniej Mecomem, należącym do brytyjskiego magnata prasowego Davida Montgomery'ego, i amerykańskim funduszem Veronis Suhler Stevenson z USA. Do obrony gazety ruszono gremialnie. Przeciwko sprzedaży protestowali nie tylko dziennikarze, lecz politycy i niemieckie elity intelektualne. Grzmiano o niebezpiecznym precedensie zagrażającym wolności słowa i suwerenności państwa. Ostrzegano, że nie może być tak, iż jakiś obcy, zewnętrzny podmiot będzie Niemcom narzucał charakter i język publicznej debaty. W efekcie inwestorzy się wycofali, a gazeta wróciła w ręce pierwotnych właścicieli.

MUSIMY…

Prezes Prawa i Sprawiedliwości podczas cytowanej rozmowy zapewnił widzów: „Musimy mieć własne media, a media niepolskie powinny być w naszym kraju wyjątkiem, rzadkim wyjątkiem. To jest niełatwa i niekrótka, ale jedyna możliwa droga obrony naszej wolności i naszej suwerenności". Wszystko to także święte słowa, choć można wyobrazić sobie, jaką histerię rozniecą wśród niemiecko-amerykańskich inwestorów medialnych.

Przyznam jednak, że wolałabym mimo wszystko posłuchać w stosunkowo nieodległym czasie podczas podobnego wywiadu, gdy polski premier o wszystkich zmianach i przedsięwzięciach dotyczących mediów powiedziałby już w czasie przeszłym dokonanym. Tak jak chociażby jakiś czas temu o swoich reformach na Węgrzech mówił premier Viktor Orbán. Myślę, że gdy to mówił, wszyscy jego wrogowie ostro zazgrzytali zębami. A mówił tak: „Dla zagranicznych firm na Węgrzech zakończyła się era kolonizacji. Banki i duże przedsiębiorstwa korzystające na Węgrzech z pozycji monopolisty muszą się przyzwyczaić do nowej sytuacji. Kiedyś miały silną pozycję i rządy socjalistyczne kłaniały się przed ich potęgą, ale teraz to my jesteśmy ci silniejsi. To one muszą się dostosować do Węgrów, a nie na odwrót".

Święta racja po raz trzeci. Nic dodać, nic ująć.

Autorka jest medioznawcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu

eprasa.pl 309770cdcb

Konflikt interesów

Przestańmy wreszcie traktować lekarzy i naukowców sponsorowanych przez producentów szczepionek jako „niezależnych ekspertów”

Eksperci mówią nam codziennie nieznoszącym sprzeciwu tonem, co mamy o pandemii myśleć i co robić. Wielu z nich było albo jest – bezpośrednio lub pośrednio – sponsorowanych przez koncerny farmaceutyczne, które na szczepionkach zarabiają. Są więc owi eksperci w stanie konfliktu interesów, który – z definicji – wyklucza niezależność. Media i urzędnicy powinni o tym wiedzieć.

Identyfikacja konfliktu interesów to podstawa uczciwości w życiu publicznym i gospodarczym. Ten, kto w imieniu podmiotu X uczestniczy w negocjacjach z podmiotem Y, nie może być opłacany przez podmiot Y. A jeśli jest lub był, podmiot X musi o tym wiedzieć. Mianem konfliktu interesów określa się każdą relację, która może zaburzyć obiektywną ocenę produktu/działania firmy. Zakaz konfliktu interesów jest zabezpieczeniem, że wiemy, kto jest kim.

Lekarze i naukowcy mogą nawiązywać relacje z przemysłem farmaceutycznym, przyjmując zlecenia badań, doradztwa, wykładów etc. Jednak przyjęcie wynagrodzenia czy otrzymanie grantu znosi obiektywizm. Pobierający wynagrodzenie może powstrzymywać się przed krytyką produktu/działań firmy, która mu płaciła. Nawet jeśli sam nie zdaje sobie z tego sprawy albo wydaje mu się, że nie ma to wpływu na jego osąd. Dlatego lekarze i naukowcy mają moralny (a niekiedy prawny) obowiązek publicznego zgłaszania konfliktu interesów, a dziennikarze, redaktorzy, szefowie uczelni powinni informować odbiorców, że autor jest lub był opłacany przez producenta wyrobu, który omawia.

W kampanii promującej masowe szczepienia dopuszczonym warunkowo preparatem prym wiodą eksperci, którzy w ub.r. byli szczególnie aktywni w opisywaniu rozmiarów „pandemii”, budząc powszechne poczucie grozy i wyczekiwanie na szczepionkę jako zbawienie. Niektórzy eksperci w branżowych periodykach zadeklarowali konflikt interesów, ale w masowych mediach odgrywają rolę niezależnych fachowców, których bezstronnej ocenie mamy zaufać. Nie przeszkadza im, że współkreują popyt, a niekiedy wprost zachwalają towar producenta, który im płacił.

Polska kupuje szczepionki od pięciu firm: Pfizer, Moderna, Janssen, AstraZeneca oraz CureVac. Oto krótkie sygnały o zależności aktywnych w tej sprawie ekspertów.

Wszechobecny w mediach prof. Krzysztof Simon nazwał szczepionkę firmy Pfizer „genialną”. 18 grudnia ub.r. prof. Simon napisał w odpowiedzi na zadane zapytanie: „Jeśli chodzi o zakupione przez Polskę szczepionki od kilku znanych koncernów farmaceutycznych, to według mojej wiedzy ani ja, ani moja rodzina nie mam żadnych związków finansowych z tymi firmami”. Tymczasem na portalu Wiley Online Library (Journal of Gastroenterology and Hepatology) czytamy, że prof. Simon otrzymał m.in. od firmy Pfizer granty badawcze. Wedle wykazów firmy Janssen od niej również prof. Simon otrzymywał pieniądze za konsultacje. Na pytanie, czy otrzymywał honoraria za wykłady od firmy Pfizer, odpowiada: „Może kiedyś jakiś wykład wygłaszałem”.

Prof. Andrzej Horban, konsultant krajowy w dziedzinie chorób zakaźnych, główny doradca premiera ds. COVID-19 oraz szef powołanej przez premiera Rady Medycznej ds. COVID-19, w oświadczeniu opublikowanym na portalu Ministerstwa Zdrowia, zadeklarował udział w badaniach klinicznych nad terapiami przeciwko wirusowemu zapaleniu wątroby typu C i HIV sponsorowanych przez firmę Janssen. W raporcie przejrzystości z 2019 r. koncern Janssen informuje, że prof. Horbanowi wypłacał wynagrodzenie.

eprasa.pl 309770cdcb

Pediatra dr Paweł Grzesiowski w pracy „Rotavirus Vaccination in Central Europe" na łamach „Journal of Pediatric Gastroenterology and Nutrition" zgłosił relacje finansowe m.in. z koncernem Pfizer. Wątpliwości co do relacji dr. Grzesiowskiego z przemysłem farmaceutycznym znalazły odzwierciedlenie w interpelacji, w której posłowie Skutecki, Bakun i Szramka zapytali o deklaracje konfliktu interesów członków Pediatrycznego Zespołu Ekspertów ds. Programu Szczepień Ochronnych. Okazało się, że ówczesne „zarządzenie Ministra Zdrowia nie przewiduje podpisania oświadczenia o braku konfliktu interesów i zależności finansowych w odniesieniu do współpracy z firmami farmaceutycznymi". 30 sierpnia 2019 r. minister zdrowia wobec członków Zespołu ds. Szczepień Ochronnych wprowadził obowiązek deklaracji konfliktu interesów.

Konsultant krajowy w dziedzinie medycyny rodzinnej prof. Agnieszka Mastalerz-Migas w oświadczeniu opublikowanym na portalu MZ przyznała, że 29 maja ub.r. zawiązała umowę z koncernem AstraZeneca. Na stronie Polskiego Towarzystwa Medycyny Rodzinnej znajdziemy webinary prof. Mastalerz-Migas sponsorowane przez koncern AstraZeneca oraz jej webinar „Szczepienia dorosłych w dobie pandemii – jakie są priorytety?" sponsorowany przez Pfizera.

Prof. Jacek Wysocki na łamach „Expert Review of Vaccines" zadeklarował otrzymywanie od Pfizera środków na pokrycie kosztów podróży na konferencje naukowe oraz za wykłady, a w oświadczeniu konsultanta wojewódzkiego ds. pediatrii zadeklarował przyjęcie od Pfizera honorarium za wykład, a od AstraZeneki za usługi doradcze. Prof. Wysocki brał także udział w badaniu klinicznym szczepionki Pfizera przeciwko meningokokom.

Prof. Miłosz Parczewski brał udział w badaniu klinicznym sponsorowanym przez Janssena dotyczącym terapii przeciwko HIV. Prof. Parczewski jest jednym z wykładowców Janssen TV. Na łamach „Advances in Medical Sciences" profesorowie Robert Flisiak, Krzysztof Tomasiewicz i Małgorzata Pawłowska zgłosili otrzymywanie pieniędzy za konsultacje oraz granty badawcze od Janssena.

Współautorami prac Fundacji Rozwoju Nauki w Wojewódzkim Szpitalu Zakaźnym są profesorowie Magdalena Marczyńska, Andrzej Horban, Tomasz Laskus oraz dr Tomasz Dzieciątkowski. Darczyńcą fundacji jest Janssen. W raporcie przejrzystości Janssena widnieje, że FRN w latach 2017–2019 otrzymała 305 tys. zł. Prof. Krzysztof Pyrć przewodzi grupie badawczej ViroGenetics Team współuczestniczącej wraz z Pfizerem oraz Fundacją Gatesów w projekcie CARE mającym opracować terapię przeciwko COVID-19. Prof. Bartosz Łoza prowadzi webinar „Jak zadbać o komfort pracy lekarza i pacjenta z migotaniem przedsionków podczas telewizyty?" na portalu Pfizer dla Profesjonalistów. Dr Michał Sutkowski jest członkiem zarządu i rzecznikiem prasowym stowarzyszenia Kolegium Lekarzy Rodzinnych, które otrzymało wynagrodzenia w ramach umów sponsorskich od koncernów Janssen i Pfizer.

Ostatni przykład dotyczy leków. Profesorowie Simon, Flisiak i Horban krytycznie wypowiadali się o stosowaniu amantadyny w leczeniu COVID-19 (koszt kuracji 10 zł) mimo licznych sygnałów, że lek działa. Jednocześnie prof. Flisiak promuje lek remdesivir (koszt kuracji 10 tys. zł) firmy Gilead. Światowa Organizacja Zdrowia, powołując się na badania na 7 tys. pacjentów w 30 krajach, nie zaleca stosowania remdesiviru w leczeniu COVID-19, ponieważ jest nieskuteczny. Z WHO nie zgodził się prof. Flisiak, powołując się na badania Polskiego Towarzystwa Epidemiologów, którego jest prezesem i które „wskazują na przydatność tego leku". Polska remdesivir kupuje, jest zalecany i używany w szpitalach. Prof. Flisiak w dziale „konflikt interesów" firmy Gilead jest wymieniany jako wykładowca i doradca, potwierdził tę relację w Polskich Archiwach Medycyny Wewnętrznej.

Kodeks etyki lekarskiej: „Lekarz powinien ujawniać słuchaczom wykładów oraz redaktorom publikacji wszelkie związki z firmami lub subwencje z ich strony oraz inne korzyści mogące być przyczyną konfliktu interesów"

W rozporządzeniu Prezesa Rady Ministrów o powołaniu Rady Medycznej ds. COVID-19 niestety brak zapisu zakazującego konfliktu interesów. To oczywiste niedopatrzenie, członkowie Rady Medycznej ds. COVID-19 przy premierze nie powinni mieć żadnych finansowych relacji z firmami farmaceutycznymi, od których Polska kupuje szczepionki przeciwko COVID-19. Tymczasem należący do Rady profesorowie Horban, Simon, Flisiak, Mastalerz-Migas, Wysocki, Pyrć, Laskus, Marczyńska, Łoza, Parczewski, Pawłowska, Tomasiewicz – a więc większość jej składu – takie relacje mieli lub mają. To źle, że nie widzą niestosowności uczestniczenia w Radzie w sytuacji konfliktu interesów.

Kodeks etyki lekarskiej: „Lekarz powinien ujawniać słuchaczom wykładów oraz redaktorom publikacji wszelkie związki z firmami lub subwencje z ich strony oraz inne korzyści mogące być przyczyną konfliktu interesów". Polski premier, a z nim my wszyscy jesteśmy niejako słuchaczami wykładów tych ekspertów. I na tej podstawie podejmujemy decyzje dotyczące zdrowia i życia.

Dziennikarzy proszę, by jako niezależnych ekspertów w sprawie pandemii czy szczepionek nie zapraszali osób sponsorowanych przez producentów szczepionek. A jeśli już zaproszą, by przedstawiali ich jako ekspertów sponsorowanych i przez kogo sponsorowanych.

Premiera proszę, by naprawił błąd urzędników i wprowadził do rozporządzenia o Radie Medycznej wymóg braku konfliktu interesów. Czyli zasięgał rady – a my wraz z nim – wyłącznie ekspertów niezależnych.

Maciej Pawlicki

eprasa.pl 309770cdcb

Barbaryzacja języka

Lech Makowiecki

To nieprawdopodobne, jak zmieniają się znaczenia niektórych słów i pojęć. Dosłowne tłumaczenia (niegdyś z rosyjskiego, dziś z angielskiego) kaleczą nasz język. Sformułowanie „strasznie coś tam lubię" długo drapało moje uszy. Strasznie, potwornie to można się czegoś bać! Ale żeby zaraz uwielbiać? Z czasem przestało drapać. Przywykłem. Dziś mówią tak wszyscy: i politycy, i dziennikarze, i literaci. W sumie to najmniejszy problem.

Najgorsza jest zmiana znaczenia jakiegoś słowa na jego zaprzeczenie. Pisałem swego czasu o „tolerancji". Przypominam: tolerare (łac.) – znaczy dosłownie „wytrzymywać", „znosić", „przecierpieć", „ścierpieć". Nie ma tu mowy o aprobacie, bezwarunkowej akceptacji (jako normy), a tym bardziej o admiracji. Odmieniane przez wszystkie przypadki słowo „wolność" oznacza dziś negowanie każdego z przykazań Dekalogu (patrz: lewackie „róbta, co chceta"). A to z kolei prowadzi do anarchii, wyzbywania się obowiązków, upadku moralności, rozmywania odpowiedzialności, uczciwości, prawdomówności itp. filarów naszej cywilizacji. I wiedzie wprost do totalnego zniewolenia, jest zgodą na udział w wyścigu szczurów.

Osobniki o mentalności Kalego zacierają (skutecznie!) granice między dobrem a złem. Negowana jest rodzina, ośmieszany patriotyzm, tradycyjne pojęcie „ojczyzny" zanika w bełkocie kolejnych mutacji łączących się „proletariuszy wszystkich krajów". Miłość – tę naturalną skłonność do największych wyrzeczeń i poświęceń dla dobra najbliższych nam ludzi (idei) – zastępuje egoistyczny seks, uprawiany wyłącznie dla własnej przyjemności. Efektem tegoż jest traktowanie dziecka jako bezwartościowego płodu. Słowo „zabójstwo" zastępuje się określeniami „aborcja" czy „eutanazja". W politycznym żargonie kłamstwo zastąpiło już (oficjalnie!) prawdę, a język parlamentarny? – ***** ***. Może zatem warto by wprowadzić do programów nauczania definicje podstawowych pojęć? Choćby: pandemia...

Głowa z dziurą

Piotr Cywiński

Polskojęzyczny Onet za niemieckie pieniądze ujawnia, że norweskie pieniądze nie wesprą już projektu pod nazwą „Szlak Karpacki – odkrywanie, promocja i ochrona bogactwa kulturowego i przyrodniczego regionu Karpat". Dlaczego nie wesprą? Bo w podkarpackim sejmiku króluje PiS, i to z miażdżącą przewagą nad całą resztą, a skoro PiS, to wiadomo: ciemniaki i wstecznicy jak za króla Ćwieczka, wybrane przez takie same baranie łby jak oni, wszak nikt podążający z duchem czasu na tych jełopów by nie zagłosował. Gwoli ścisłości, o ich niedzisiejszą homofobię poszło, która już „kosztowała Podkarpacie 1,5 mln zł". Nowoczesny, wiadomo, niemiecki portal huknął więc w tytule: „Staszewski – Mieli pół roku na wycofanie uchwały anty-LGBT". A że zacofańce jedne się nie wycofały, to straciły.

„MSZ ukrywa swoją klęskę, ale my nie odpuszczamy. Razem z fundacją Watch Dog pójdziemy do sądu administracyjnego. Wyrwiemy im z gardeł te dokumenty i będą musieli przyznać się do utraty pieniędzy" – zapodał Staszewski. Jeśli ktoś nie wie, kto zacz ten Staszewski, wyjaśniam, że to bardzo pracowity/ta i musi majętny/na młody/a człowiek/czka, który/a jeździł/a po kraju i umieszczał/a pod szyldami miast żółte tabliczki z różnojęzycznymi napisami, przez co zyskał/a sławę w świecie: „Strefa wolna od LGBT". Tak sobie umyślił/a, ten/ta Staszewski, którego/ej płci nie definiuję, aby też nie być posądzonym przez światłych o kołtuństwo, wszak płci jest dziś ponoć z 50. W postępowych Włoszech na przykład wkrótce znikną w ogóle z dokumentów matki i ojcowie, będą bezpłciowi: „rodzic jeden" i „rodzic dwa". Dziewcząt i chłopców też nie będzie, lecz dzieci numer jeden, dwa itd., co zapowiedziała ichnia minister Luciana Lamorgese.

U nas wciąż trwa dzika walka ciemniaków z heteronienormatywnymi progresistami. „Wyrażamy sprzeciw wobec działań zmierzających do promocji ideologii tzw. ruchów lesbijek, gejów, biseksualistów i transgenderowców, których cele pozostają w głębokiej sprzeczności z zasadą wolności i tradycyjnymi wartościami chrześcijańskimi oraz z prawem naturalnym" – plótł podkarpacki radny PiS Jacek Kotula. No i mają, tzn. nie mają. Podobno Staszewski dostał/a info od norweskiego MSZ, że na podkarpacki szlak nie da centa. Ponoć rząd PiS wesprze ten region z Funduszu Sprawiedliwości.

„Ale ile tak można? Ile jeszcze państwo będzie próbowało łatać dziury tam, gdzie je stworzyło?" – jęknął/ęła Staszewski. I ani przyjdzie mu/jej do bezpłciowej głowy, kto i gdzie ma dziurę...

eprasa.pl 309770cdcb

Michał Korsun prezentuje: ***Załamany twardziel***

Wycinki z przeszłości

Żyjemy w czasach powszechnego podlizywania się największym nawet beztalenciom oraz strachu przed prawdą, nikt zatem dziś nie odpisałby amatorowi poecie tak, jak zrobiła to redakcja „Tygodnika Ilustrowanego" w roku 1913 wobec osoby o inicjałach „P/J/H.": „Talentu nie można zdobyć pracą: albo się go ma, albo trzeba zrezygnować z niedościgłych marzeń. Szanownej Pani, niestety, możemy radzić tylko rezygnację. Średnia poprawność wiersza nie jest i nie będzie poezyą".

A paniom „Renie M. i Lili Lubicz w Krakowie" odpowiadano tak: „Z łaskawie nadesłanych utworów nie skorzystamy".

Cóż, szczera odprawa.

Dobrze do tego zestawu pasuje dowcip zamieszczony w tym samym numerze „Tygodnika":

„Podobno żenisz się?

Hm... co prawda miałem się ożenić, ale teraz poważnie się namyślam.

Z jakiego powodu?

Wczoraj ojciec mojej ukochanej wyrzucił mnie za drzwi".

Oto siła interpretacji wydarzeń!

(mk)

W wierszach i w listach...

Leszek Długosz

Baliński przed wojną sporo przebywał z polskimi misjami na Wschodzie. Między innymi rezultatem jego „dyplomacji" okazał się znakomity tom wierszy „Podróż na Wschód".

Stanisław Baliński (1898–1984)
„Ziemia z Jaszun"

Nasza kuzynka z Jaszun, Ludwika Śniadecka,
O której tak nam wiele mówiono od dziecka,
W ostatnich listach – z Turcji do Polski – prosiła,
Tłumiąc łzę sentymentu, bo pewno tęskniła.
Żeby jej przysłać z Jaszun małą ziemi grudkę
I zasuszoną do niej włożyć niezabudkę,
Zerwaną z brzegów wiosny, z brzegów Mereczanki,
Gdzie kiedyś ze Słowackim spędzała poranki.

Lata przeszły. Minęły cztery pokolenia.
Aż raz owe przedśmiertne i czułe zlecenia,
Pisane nad Bosforem wstydliwie, po cichu,
Ktoś w starym sakwojażu odnalazł na strychu.
Dano mi worek z ziemią, dano niezabudki
Powiedziano, gdym wracał latem z Nowogródka:
„Może wyślą cię kiedy (masz okazyj tyle)
Jako kuriera na Wschód – złóż na jej mogile".

Nie wysłano mnie z pocztą nigdy na Wschód Bliski,
Wysłano na – Daleki. A na dnie walizki
Leży ziemia, zaszyta w płótna kawał zgrzebny,
Ostatni romantyczny przedmiot niepotrzebny.
Przyszła wojna. Niewola. Tułaczka. Wygnania.
Dalszy ciąg naszych dziejów, krwawych od zarania.
Wśród nielicznych pamiątek, zebranych bezładnie,
Patrzę... Leży w walizce grudka ziemi na dnie. [...]
I teraz proszę ciebie w podróży noc ciemną,
Tą grudką piasku podziel się, Ludwiko, ze mną.

Ja do ziemi wileńskiej nie wiem, kiedy wrócę,
Więc daj mi garść tej ziemi. Drugą – tobie rzucę.
Rzucę w przestrzeń bez gwiazdy, w przeszłość bez kompasu,
Jak przez most zawieszony nad głębinami czasu. [...]

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 309770cdcb

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

„Cywilizacja” władzy nad życiem

Na okładce ostatniego ubiegłorocznego numeru amerykańskiego miesięcznika „The Atlantic” jest sześcioletnia zamyślona duńska dziewczynka. Dziewczynka urodziła się z zespołem Downa – jej rodzice świadomie zrezygnowali z badań prenatalnych pod kątem tej choroby. Chociaż popierają prawo do aborcji, wiedzieli, że w każdym przypadku chcą mieć to dziecko (najmłodsze z pięciorga).

„Ostatnie dzieci z syndromem Downa” – tak zatytułowany tekst Sarah Zhang jest głęboki i wielowymiarowy. Sprawy ujmuje delikatnie i mądrze. Jesteśmy w stanie odnieść się do jednego tylko wątku z tego materiału. Od kilkunastu już lat Dania jest jednym z pierwszych krajów na świecie, które wszystkim kobietom w ciąży umożliwiają badania pod kątem prawdopodobieństwa urodzenia dziecka dotkniętego taką chorobą. Prawie wszystkie ciężarne kobiety robią takie badania, a 95 proc. z nich wybiera aborcję. W roku 2019 z zespołem Downa w całej Danii urodziło się tylko 18 dzieci. W USA co roku rodzi się ich ok. 6 tys.

„MECHANIKA” CYWILIZACJI

Nie prowadzimy tu analizy moralnej. Nie potrafimy zrobić tego w kilku akapitach. Podchodzimy do tej kwestii z punktu widzenia przemian „mechaniki” cywilizacyjnej.

Oto wraz z rozwojem technologii pojawiła się nowa jakość: możliwość dokonywania przemyślanych wyborów, które były nie tylko technicznie niemożliwe, ale często zupełnie nie do pomyślenia we wcześniejszych fazach rozwoju cywilizacji. Oto z wysokim prawdopodobieństwem można wiedzieć, że dziecko będzie miało taką chorobę i wiedząc to, można się tego dziecka pozbyć. Oto technologia poszerzyła pole wyboru – który zdaje się wyglądać na racjonalny, obudowany wieloma argumentami – czyli władzy nad życiem. Oto technologia umożliwia istotne (chociaż niepełne) zredukowanie pola niepewności. Umożliwia rezygnację z dziecka, które będzie prawdziwym utrapieniem dla rodziców i którego życie samo będzie, być może, pasmem cierpień.

Co taka nowa, dodatkowa możliwość – niedostępna przez tysiące lat naszym przodkom – robi z umysłami, a także społecznymi instytucjami ludzi współczesnych?

MNIEJ CZY WIĘCEJ TROSKI?

Czy takie poszerzenie pola wyboru jest dobre? Czy nie degraduje naszego człowieczeństwa? Co taka nowa, dodatkowa możliwość – niedostępna przez tysiące lat naszym przodkom – robi z umysłami, a także społecznymi instytucjami ludzi współczesnych? Czy naprawdę w ten sposób następuje zmniejszanie niepewności wiążącej się z rodzicielstwem? Zhang pisze: „Rodzicielstwo to zanurzenie się w nieznanym i niekontrolowanym. W ten sposób jest piękne, ale również zniechęcające”. Autorka omawia rozmowy z rodzicami i badaczami, pokazując, że więcej wyboru to – dla istoty refleksyjnej, którą jest człowiek – bardzo często więcej ciężaru.

BUNT I AFIRMACJA

Powiemy w duchu refleksji Bronisława Wildsteina, wyrażanych nie tylko na łamach „Sieci”, ale przede wszystkim w jego książce „Bunt i afirmacja”: jeśli ktoś myśli, że czynniki losowe, że siłę, z jaką uderzyć potrafi los, że „tortury”, jakie może zadać los (że posłużymy się językiem ideologów obecnych protestów) uda się wyeliminować z ludzkiego świata, to znaczy, że z dotychczasowych dziejów ludzkości, z dorobku filozofii społecznej nie wyciągnął żadnych wniosków.

Pomińmy już cynicznych manipulatorów, którzy dla interesów politycznych (zresztą źle pojętych, ale co tam) zdecydowali się budować swoją pozycję na tym podżeganiu do szaleństwa tłumów (świadomie nawiązujemy do tytułu książki Douglasa Murraya, o której w tym miejscu już wspominaliśmy). Niektórzy z ideologów tzw. Strajku Kobiet są na tyle wykształceni, iż wiedzą, że obietnice świata maksymalnej wolności i minimalnych cierpień są nierealizowalne. Ale grają fałszywymi nadziejami.

ROJENIA O RAJU

Czy możliwe jest, by w środowiskach proaborcyjnych wierzono w to, że realne jest zbudowanie świata, w którym żyją sami pełnosprawni ludzie?

Niezależnie jak daleko dotarłby postęp techniczny, raj na Ziemi nie powstanie. Można, rzecz jasna, pławić się w rojeniach o raju, ale pewna dawka pokory wobec sił natury jest każdemu potrzebna – dla zdrowia psychicznego.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | Reklama 39/0121/F

eprasa.pl 309770cdcb

15 lutego

w tygodniku **SIECI**

dodatek o polskich podróżnikach

Polacy *poza horyzontem*

BENEDYKT POLAK – franciszkanin, który w XIII w. dwukrotnie przemierzył Azję wszerz i zmienił całą ówczesną wiedzę geograficzną o krainach i zamieszkujących je ludach, a dokonał tego przed Marco Polo!

MICHAŁ BOYM – nadworny lekarz Zygmunta III Wazy, który po podróżach do Chin stworzył pionierskie mapy, atlasy, zbiory fauny i flory oraz opisy nieznanej w Europie medycyny chińskiej

JAN POTOCKI – na przełomie XVIII i XIX w. naukowo opisał swoje podróże po Europie, Afryce i Azji, był też doskonałym pisarzem („Rękopis znaleziony w Saragossie”)

PARTNER DODATKU

ORLEN

eprasa.pl 309770cdcb

30 SEKUND do nagród

BŁYSKAWICZNA LOTERIA

8 x TOYOTA
Corolla Hybrid

28 x HULAJNOGA
Mi Electric Scooter

28 x DRON
DJI Mavic Mini

200 000 x **mała kawa** lub **napój Dynamic**

Zagraj na stronie **www.blyskawicznaloteria.lotos.pl**

Loteria dla osób, które ukończyły 18 lat i mieszkają na terenie Polski. Promocja trwa od 20.10.2020 do 18.11.2020 oraz od 04.02.2021 do 01.03.2021. Zachowaj kupon z kodem. Lista stacji objętych loterią oraz regulamin Błyskawicznej Loterii LOTOS dostępne na blyskawicznaloteria.lotos.pl. Organizator: Grzegrzółka&Ko Sp. z o.o.

LOTOS

eprasa.pl 309770cdcb